

KAMIL DURCZOK
CORAZ BARDZIEJ PONURY SERIAL Z BYŁĄ GWIAZDĄ TVN

POLSKA ZABŁYSNĘŁA NA FORUM W DAVOS

DONALD TUSK – JUŻ NIE KRÓL EUROPY, ALE PROWOKATOR W STYLU PALIKOTA

DODATEK: POLACY NA IGRZYSKACH OLIMPIJSKICH



SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 5 (374) 2020
27 stycznia–2 lutego 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

HEJTEM W DUDĘ

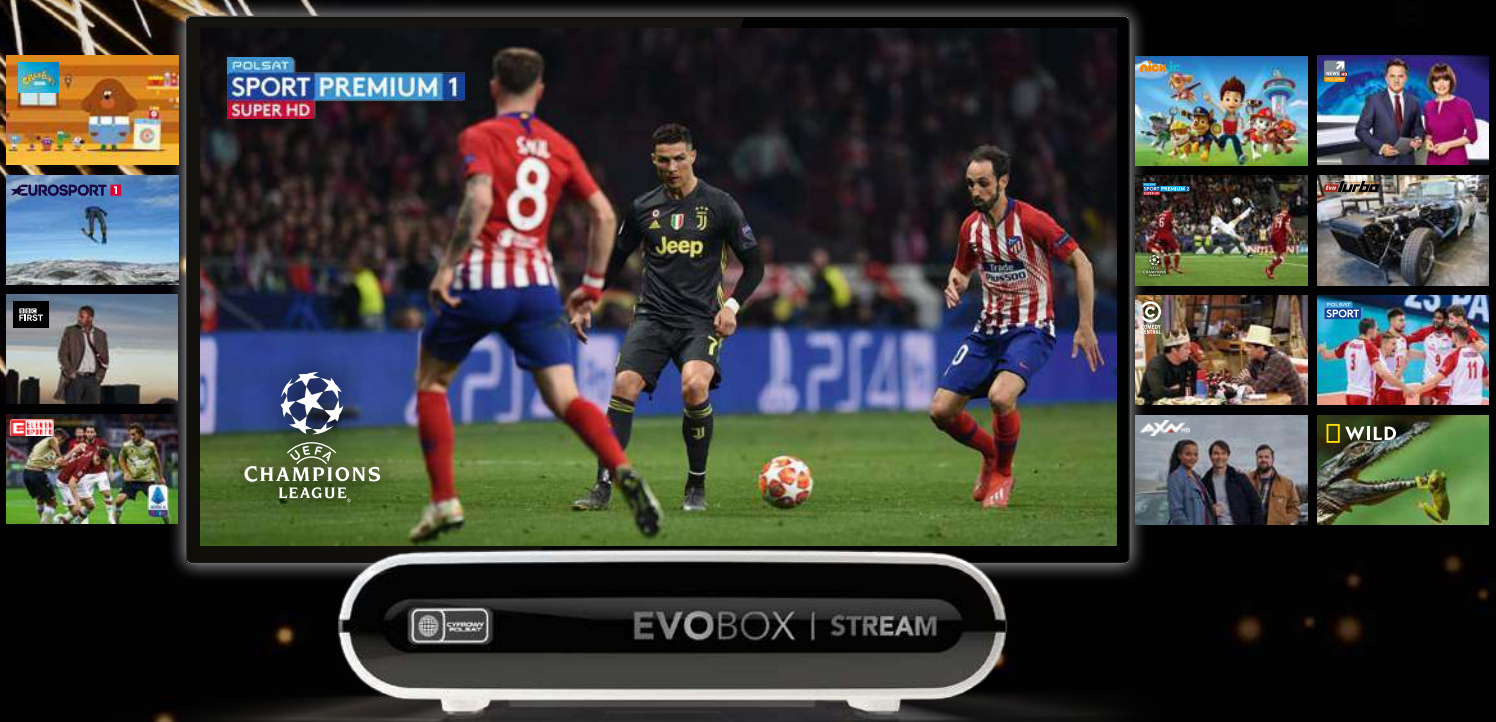
PLAN OPOZYCJI NA KAMPANIĘ WYBORCZĄ JEST PROSTY: WYMIERZONY W PREZYDENTA BRUTALNY I WULGARNY PRZEMYSŁ POGARDY. CZY OPINIA PUBLICZNA BĘDZIE UMIAŁA TO ZATRZYMAĆ?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CYFROWY POLSAT

MASZ INTERNET OD DOWOLNEGO DOSTAWCY?

MAMY DLA CIEBIE TV INTERNETOWĄ!



OTT

Na start ponad 100 kanałów 3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

Włączaj pakiety, kiedy chcesz i płać tylko za te programy, które wybrałeś
Oglądaj wybrane programy nawet do 7 dni wstecz

Usługa wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s na jeden dekoder. Oferta telewizji internetowej dla nowych Klientów przy umowach pisemnych z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe, z opłatą podstawową 10 zł/mies., nieuwzględniającą opłat za dokupywane przez Klienta pakiety i usługi. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty 1 zł za aktywację dekodera oraz opłat za dostęp do internetu. Szczegóły w Regulaminie Promocji i „Regulaminie świadczenia usług telewizji internetowej", dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.
Serie A TIM w ELEVEN SPORTS. Fot. Getty Images. „Carter 2" © 2019 Sony Pictures Television Inc. Wszystkie prawa zastrzeżone.

Przemysł pogardy znów w akcji

Fala nienawiści, jaka wylała się na prezydenta Andrzeja Dudę po jego jasnym przemówieniu w Zwoleniu („Nie będą nam w obcych językach narzucali, jaki ustrój mamy mieć w Polsce i jak mają być prowadzone polskie sprawy"), pokazuje, jaka będzie nadchodząca kampania. Dyszący żądzą zemsty obóz III RP nie będzie polemizował, nie będzie argumentował, nie będzie składał własnych propozycji. Nie będzie tego robił, bo robić tego już nie umie, o ile kiedykolwiek umiał. Nie będzie tego robił także dlatego, że nie ma kandydata, który mógłby pokonać obecnego prezydenta w równym boju. I nawet ludzie opozycji doskonale o tym wiedzą.



Wsłuchajmy się poglądowo w słowa wicenaczelnego „Gazety Wyborczej" Jarosława Kurskiego: „Ten groteskowy człowiek chce »oczyścić do końca nasz polski dom, tak żeby był czysty, porządny i piękny«. Pogromowy język, moczarowski styl, gomułkowska mentalność. Jego skromny umysł nie ogarnia, że prowadzi PL ku tragedii. Prezydent...".

Tak, tak piszą. „Pogromowy język, moczarowski styl, gomułkowska mentalność" – a więc spełnienie najczarniejszych snów środowiska, które – w szerokim sensie – z partią najpełniej identyfikowało się w okresie czysto stalinowskim i wówczas nie używało tak brutalnych słów. Teraz widzą czarną sotnię w prezydencie Andrzeju Dudzie, ignorując, może świadomie, a może nie, to, iż fraza: „Daj nam uprzątnąć dom ojczysty...", pochodzi z „Kwiatów polskich" Juliana Tuwima. Fakty nie mają tu jednak większego znaczenia, bo nigdy nie miały.

Ataki na prezydenta przybierają na sile – i w kraju, i eksportowane po dumpingowych cenach, wyżebrane w zagranicznych redakcjach, wyproszone u wpływowych przyjaciół. Przybierają na sile, bo nie pęka, bo nie dał się kupić, zastraszyć, złamać, zagonić do kąta. Bo do nich nie przystał, a przecież wyraźnie proponowali rolę hamulcowego reform. A skoro nie przystał – skąd my znamy ten typ argumentacji? – to faszysta. Każdy, kto przeciwko nim, ten faszysta. Bo tylko oni wiedzą, na czym polega demokracja i jaki powinien być świat.

Celem jest – zgodnie ze starą receptą Palikota – uderzenie w godnościowe fundamenty prezydentury. Celem jest poniżenie, wyśmianie, wywołanie fali pogardy. Takiej fali, która odbiera w polityce realną zdolność działania. Tak, to ten sam przemysł pogardy, którym zaatakowano śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. I dziś też pewnie byłby zabójczo skuteczny, gdyby nie TVP i inne niezależne media. Pluralizm bardzo utrudnia zadanie.

Utrudnia, ale nie uniemożliwia. Pamiętajmy o tym. I nigdy, ale to już nigdy nie pozwólmy, by tak niewielu – zbyt niewielu – broniło zaszczuwanego prezydenta. Nigdy, ale to już nigdy nie stójmy obojętnie, gdy widzimy, jak rozjuszeni „właściciele" III RP rzucają przeciwko znienawidzonej przez siebie głowie państwa chamstwo, butę, pogardę, najgorsze kalumnie.

Nigdy, ale to już nigdy nie dajcie sobie wmówić, że to nic groźnego. Pamiętajmy: bierność w obliczu tak toksycznego zła, tak bezwzględnie głoszonego, zabija.

To od nas zależy, czy przemysł pogardy znów będzie skuteczny.

Jacek Karnowski

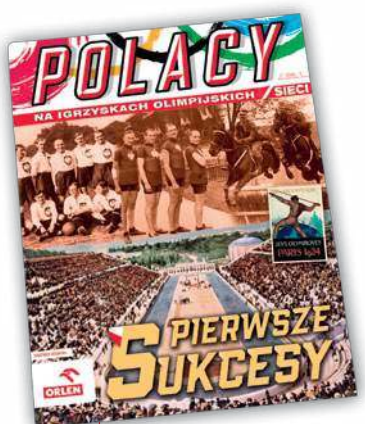
Reklama | 57/1219/F

epress.pl/a5bfae0f4

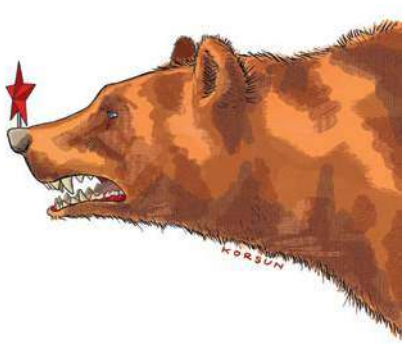
SIECI spis treści



33 ***To Polacy powinni opowiedzieć światu historię Auschwitz*** ***Rozmowa z Markiem Millerem***



53--64 **Polacy na igrzyskach** ***Dodatek, część I***



85 **Wojna, której nie zauważyliśmy** ***Marek Budzisz***

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ROZGRZANY DO NIEZAWISŁOŚCI**
Krzysztof Feusette

9 **LEPSI MY**
Dorota Łosiewicz

10 **SZUFLADA GRODZKIEGO**
Jan Pietrzak

11 **JAK WAŻNE SĄ UNIJNE DOPŁATY**
Bronisław Wildstein

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **POLSKI (NIE)ŁAD PRZESTRZENNY**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **WALIZKA JANA PIETRZAKA**
Michał Korsun

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **SIŁA ZŁEGO...**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

26 **DURCZOK: HAPPY ENDU NIE BĘDZIE**
Maja Narbutt

30 **POLEXIT? JAKI POLEXIT**
Konrad Kołodziejski

33 **Z MARKIEM MILLEREM**
rozmawia Grzegorz Górny

36 **ZNA(CZ)KI OBŁUDY**
Artur Guzicki

38 **PROWOKATOR**
Stanisław Janecki

41 **EUROPEJSKA GRA W ZIELONE**
Jan Rokita

44 **TOMASZ GRODZKI: NADCHODZĄ NOWE PYTANIA**
Jakub Augustyn Maciejewski

46 **Z PAWŁEM PONCYLJUSZEM**
rozmawia Marcin Fijołek

49 **Z KAROLINĄ PILARCZYK**
rozmawia Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

65 **KOCHAM CIĘ JAK IRLANDIĘ**
Jolanta Gajda-Zadworna

68 **„PSY" TYLKO DLA ZAKOCHANYCH**
Łukasz Adamski

70 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

71 **W DRODZE Z LA MANCHY**
Jolanta Gajda-Zadworna

72 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

74 **POLECA**
Łukasz Adamski

OPINIE

76 **CUD BEZRADNOŚCI**
Janusz Andrzejczak

78 **A JAK AMNEZJA**
Hanna Karp

HISTORIA

82 **ZWYCIĘZCA SPOD ŻYRZYNA**
Artur Jagnieża

ŚWIAT

85 **WOJNA, KTÓREJ NIE ZAUWAŻYLIŚMY**
Marek Budzisz

88 **#METOO PRZED SĄDEM**
Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

92 **GŁOS ROSNĄCEJ POLSKI I EUROPY**
Michał Karnowski

96 **KOSMICZNA ROZGWIAZDA**
Marcin Wikło

98 **O CO TU NAPRAWDĘ CHODZI**
Janusz Szewczak

PODRÓŻE

102 **MOJE SZLAKI: KRZYSZTOF PUTERNICKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **GDY OŚWIĘCIM STAŁ SIĘ AUSCHWITZ**
Maciej Pawlicki

105 **PRZECIW HUNWEJBINOM**
Wojciech Reszczyński

106 **POTRZEBNA JEST WIEDZA**
Alina Czerniakowska

107 **UCIEKAM DO WSPOMNIEŃ**
Katarzyna Łaniewska

108 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

109 **SCHIZMA PRAWNIKÓW**
Jerzy Jachowicz

110 **NIE ODPUSZCZAĆ**
Aleksander Nalaskowski

111 **DUCH PIĄTKA**
Wiktor Świetlik

112 **BRONEK W SPÓDNICY**
Ryszard Makowski

113 **NIE WSPOMINAJĄC O POMNIKU?**
Leszek Długosz

114 **DZIECINADA**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 49/0120/F

eprasa.pl 3a5bfae0f4



PKO BANK POLSKI NAJCENNIEJSZĄ POLSKĄ SPÓŁKĄ W 2019 ROKU

Bank Polski

Zakończyliśmy rok z najwyższą kapitalizacją wśród spółek notowanych na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Sygnalista nadaje

„Jak wiemy, Jarosławowi Kaczyńskiemu nie zależy na świecie, na Europie. Jemu zależy tylko na Polsce” – oświadczyła ***Małgorzata Kidawa-Błońska*** w rozmowie z reporterem stacji TVN. W jej słowach słychać było wyraźny ton wyrzutu i pretensji. Cóż, to ten moment, gdy nie sposób nie zgodzić się z kandydatką Koalicji Obywatelskiej na prezydenta. To będzie naprawdę ciekawa kampania.

Małgorzata Kidawa-Błońska sama także sięga po motywy patriotyczne. Z okazji 100. rocznicy powrotu Torunia do Rzeczpospolitej stwierdziła: „To jest taka refleksja, żeby przypomnieć i pomyśleć o naszej historii. O tym, co w niej jest ważne, i przypomnieć, czego musieli nasi przodkowie dokonać, żeby znowu Polska była cała, wolna i niepodległa”. Jak to pogodzić np. z planami rozbicia dzielnicowego, które forsuje jej partia, a które skończą się, wcześniej czy później, ponownym upadkiem państwa polskiego?

Kidawa dodała także, że „w jej ocenie takie święto, uczenie się historii, przypominanie o naszej historii, to czas refleksji o myśli historycznej”. Jakiej konkretnie? Np. takiej: „Zawsze wtedy, kiedy Polska była podzielona, kiedy nie miała sojuszników, nie miała porozumień z sąsiadami, przychodziły dla nas złe czasy”. Głębia tej myśli po prostu poraża.

Kandydatka KO zasugerowała, że nie ma zamiaru wziąć udziału w debacie przed pierwszą turą wyborów prezydenckich. „Stanę w debacie z Andrzejem Dudą w drugiej turze wyborów prezydenckich. Debata ma sens wtedy, kiedy kandydaci stają 1 na 1. Debaty w kilka osób nie mają takiej temperatury” – przekonuje. W pełni rozumiemy to stanowisko.

Donald Tusk też sięga po styl więcej niż męczący. „Wyprowadzają Polskę z Unii, niszczą sądy, by bezkarnie kraść, szczują jednych Polaków przeciw drugim. Głosujesz na nich? Masz prawo. Ale nie masz prawa dłużej udawać, że tego nie widzisz. Bo widzisz” – ogłosił w mediach społecznościowych. Ale świat nie zadrżał. Tu już ludzie wiedzą, kto zaczął szczuć Polaka na Polaka w imię zdobycia i podtrzymania władzy.

Pisarka Maria Nurowska – tak jak Tusk – ma nerwy napięte do granic możliwości. „Nie wiem, jak Wy, ale ja już nie wytrzymuję tego, co się dzieje... Z jednej strony mafia, która rujnuje to wszystko, na co pracowaliśmy 30 lat, na szacunek i godne miejsce wśród wolnych narodów Europy, a z drugiej podzielona, bezradna opozycja!” – ogłosiła. Za dużo tego szacunku III RP się nie dorobiła, skoro wystarczyła zmiana władzy i wilki rzuciły się nam do gardła.

Nurowska ma pomysł, by wrócić do zwyczajów wojennych: „W czasie wojny moi rodzice, oboje byli w podziemiu, a ponadto w lesie, w tunelach do przechowywania sadzonek (ojciec był leśnikiem) ukrywało się kilka rodzin żydowskich. Aby przetrwać, rano wypijali szklankę samogonu. Może pójdę w ich ślady...” A może, podpowiadamy, zamiast łajać Polaków, powalczyć

Europosłanka lewicy Sylwia Spurek (wcześniej zastępczyni Rzecznika Praw Obywatelskich!) opublikowała grafikę, na której krowy prowadzone do rzeźni ubrane są w pasiaki więźniów obozów koncentracyjnych. „Jo Frederiks [autorka grafiki] daje do myślenia, otwiera oczy na to, jak traktujemy zwierzęta. […] czas na poważną dyskusję o traktowaniu zwierząt, o warunkach, w jakich żyją, o tym, jak je zabijamy. Czy to jest humanitarne? Czy to nadal rolnictwo?” – pytała Spurek. A można zapytać: czy to wciąż nasza cywilizacja?

epraca.pl 3a5bfae0f4

trochę piórem o dobre imię pokolenia rodziców tak dziś opluwanego na świecie?

Prawybory prezydenckie w Konfederacji zakończyły się ostrą awanturą w mediach społecznościowych. Janusz Korwin-Mikke wraz z Konradem Berkowiczem zagłosowali przeciwko kandydatowi własnej partii Arturowi Dziamborowi i wsparli Grzegorza Brauna. Trudno było się w sprawie połapać, ale Janusz Korwin-Mikke wszystko wyjaśnił: „Myśmy manipulowali, narodowcy manipulowali, wyszło, jakby nikt nie manipulował. Nawet gdyby nikt nie manipulował, to i tak kandydatem byłby pan Bosak". Proste, prawda?

Krzysztof Bosak mówił o swoich kompetencjach do zajmowania się polityką. „Ekonomią interesowałem się już od liceum, kiedy startowałem w olimpiadach ekonomicznych" – stwierdził kandydat, i dodał: „Widać stały rozwój moich zainteresowań na tym odcinku. Proszę nie kwestionować moich kompetencji w tym obszarze". Z olimpiad nie ma się co śmiać, rzecz wartościowa, ale ta kampania zaczyna się bardzo młodzieńczo.

Z kolei Szymon Hołownia kompletuje sztab. „Gen. Różański będzie koordynował prace mojego zespołu ds. bezpieczeństwa narodowego i zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi, w jego skład wejdą też inni generałowie, admirałowie, dyplomaci, specjaliści od cyberzagrożeń" – ogłosił. Dobrze, że sprawa staje się jasna już teraz. Jak to skomentował pewien internauta: „Jeszcze Dukaczewski i Koziej i będzie komplet".

Tomasz Grodzki wciąż walczy o swoje dobre imię. „Alkohol, jakiś tam taki koniak, zwany »zemstą marynarza«, bo się nazywał »Martino« i był najtańszy w Baltonie, czy innym sklepie wolnocłowym, to pacjenci przynosili, tylko to też jest zjawisko, które powinno zostać wykorzenione. Koperty od ludzi nigdy nie przyjąłem i mam na to dziesiątki oświadczeń, bo ludzie oburzeni tym atakiem piszą, jak to było naprawdę" – stwierdził. Niestety, nawet tysiące oświadczeń od ludzi, którzy nie dali, nie unieważniają oświadczeń tych, którzy dali.

„To są bzdury, które prosiłbym, żeby zostawić portalom prawicowym i tym, którzy się tym zajmują" – przekonuje Grodzki i próbuje sprowadzić całą sytuację do absurdu: „Kompletnie nie mam pojęcia, o co chodzi jakiemuś panu Markowi, Józkowi". Pada też dramatyczne pytanie: „Zastanawiam się, czy ta osoba jest przekupiona, zastraszona, czy kieruje się nienawiścią do kogoś innego niż PiS". Tak to jest „typ idealny" właściciela III RP.











„Władimir Putin swoimi historycznymi kłamstwami na temat Polski mocno wspiera kampanię prezydencką Prawa i Sprawiedliwości. Rosyjski prezydent robi to świadomie, bo rządy PiS w Polsce są mu wyjątkowo na rękę" – napisała na łamach „Gazety Wyborczej" Dominika Wielowieyska. Oczywiście, gdy Putin jest miły dla Orbána, to też znaczy, że go wspiera. Dialektyka, gdy raz wejdzie w krew jakiegoś środowiska, już w niej zostaje na zawsze.

Zdaniem publicystki walka obozu PiS z Putinem pozwala odwrócić uwagę od innych kwestii, takich jak kłopoty ze służbą zdrowia czy pensje nauczycieli. „Opowiadając kłamstwa o tym, że Polska jest współodpowiedzialna za wywołanie drugiej wojny światowej, powoduje całkiem świadomie jednoczenie się Polaków i wzmacnia pozycję prezydenta" – argumentuje. Wynika z tego, że Putin drży przed powrotem do władzy takich herosów polskiej niepodległości jak Tusk, Kopacz czy Komorowski. Nawet zabawne.

Nawyk bronienia Rosji jest na Czerskiej bardzo wyraźny. Paweł Wroński: „To, że Władimir Putin nie został zaproszony na uroczystości 75. rocznicy II wojny światowej, można zrozumieć. Ale to, że nie został zaproszony na uroczystości 75. rocznicy wyzwolenia Auschwitz, mimo że 27 stycznia 1945 r. to żołnierze radzieccy wkroczyli do obozu, było niewybaczalnym błędem. To był cios w godność nie tylko Putina, ale również wszystkich Rosjan odczuwających dumę z własnej historii". Czy doczekamy się podobnej wrażliwości na godnościowe cierpienia Polaków?

Wypowiedział się także były szef MSZ ***Radosław Sikorski***: „Lepiej było dla Polski, gdy prezydent Putin na Westerplatte uznawał, gdzie się zaczęła II wojna światowa i kto był jej pierwszą ofiarą. Albo gdy 7 kwietnia 2010 r., jako pierwszy władca Rosji, oddawał hołd polskim jeńcom wojennym". Niektórym to rzeczywiście w Polsce służyło, ale dla Polski skończyło się to tragicznie, a mogło – gdyby potrwało – jeszcze gorzej. Bo to były hołdy, ale w drugą stronę.

Władysław Frasyniuk poszedł w ślady Wałęsy i zaatakował Kornela Morawieckiego. Twierdzi, że Solidarność Walcząca „obrosła głównie mitami": „Tak się zakonspirowali, że nikt nic o nich nie wie". A także: „Błagam... Za chwilę usłyszę, że to organizacja większa niż AK i bardziej zdeterminowana. Karabin maszynowy, bomby i jeszcze może celowniki optyczne na podczerwień". Cóż, zawiść więcej niż wyczuwalna. Zawiść nie za stan wojenny, ale za to, co później: za wierność idei i ludziom. I w latach 80., i później.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Rozgrzany do niezawisłości



KRZYSZTOF FEUSETTE

Spotykamy się w lesie. Za 17. brzozą od drogi powiatowej, której numeru nie mogę podać z oczywistych przyczyn. Jest sam. Ukrywa się od czterech miesięcy, jedząc tylko to, co oferują przydrożne fast foody albo przyniosą dobrzy kodziarze. Rozpoznali go od razu. Po todze. Nie może ujawnić nazwiska, imienia, numerów rejestracyjnych, tym bardziej zarobków. Wiemy, że jest sędzią z dziada pradziada. Pradziad z dziadem nikomu nie szkodzili, gorzej z ojcem, szczęście w nieszczęściu, że większość skazanych dawno nie żyje. Każdy, jak mówi nasz bohater, jakoś budował to polskie „jutro", czyli nasze tu i teraz. Na dźwięk słowa „reforma" zrywa spotkanie. Odnajdujemy go na parkingu dla tirów, tłumaczymy, jak to niebezpieczne. Parówka wypada mu z hot doga. Nic dziwnego, żyje z dnia na dzień. Niedawno śniło mu się, że pisowcy są we wsi, a do stodoły, w której spał na sianie, wchodzą Ziobro z Dudą. Biorą go do Kiejkutów, gdzie już czeka Macierewicz. Obudził się zlany potem i przedtem. „Wolne sądy, wolne sądy..." – nuci sobie czasami przed snem na melodię ludową. Bo czuje, że ludzie są po ich stronie. A przynajmniej ludzie czytający „Wyborczą". Oni wiedzą, że nie ma dziś w Europie zgody na Polskę bez takich jak on. Ostatnich niezawisłych.

Którzy wiedzą, od kogo odebrać telefon i co mają robić do wyborów. Skazują Śpiewaków za jedno złe słowo o Ćwiąkalskich i uniewinniają Najsztubów, gdy staruszki pędzą jak szalone. Kierują przeciwników politycznych na badania psychiatryczne, jednak sami po części do wiertarek sięgają w sklepie za darmo. Podobnie jak po spodnie. Ślą do więzienia szefa CBA za akcję przeciw korupcji na szczytach władzy, ale woleli poczekać, aż Jaruzelski z Kiszczakiem umrą. Są tak rozgrzani przeciw PiS, że nawet Bronisław Komorowski widzi to bez celownika optycznego. Umawiają się na konspiracyjne spotkania ze znanymi dziennikarzami w celu obalenia rządu, a potem kłamią, że ktoś im się włamał na internetowe konto. I wiedzą, że nie cofa się decyzji kolegi, a jeśli któryś dobił targu z mafią, choćby i reprywatyzacyjną, to wara innym od tego. Którzy wyrzucają na bruk kobietę z siedmiorgiem dzieci i w dziewiątym miesiącu ciąży, by jej mieszkanie mogła przejąć córka księgowej spółdzielni, ale „nie znajdują podstaw", gdy lokalny kacyk ukrywa w zeznaniach kupione „okazyjnie" apartamenty. I którzy w obliczu tego, iż kraj nasz znalazł się nad przepaścią reformy sądownictwa, ukonstytuowali nieformalną Sędziowską Radę Ocalenia Międzynarodowego, w skrócie nie do powtórzenia.

Bo przecież nasz „rozgrzany" nie jest sam. Gdy potrząsnąć sakiewką, zza drzew wychodzą kolejni niezawiśli. Są nieufni – i trudno im się dziwić. Skoro nawet w Warszawie aż 50 proc. mieszkańców nie lubi sędziego Tulei (źródło: sędzia Tuleya), to czego mogą się spodziewać w tzw. Polsce „B"? Dlatego wierzy marszałkowi Grodzkiemu, gdy ten się żali na podobieństwo swego losu do losu ks. Popiełuszki. Albo Harrisona Forda w filmie „Ścigany". Gdyby tylko mógł, oddałby za pana doktora wszystkie życia w grze w „Wiedźmina". Ale baterii w tablecie nie wystarczy na długo. Togę zakłada tylko na marsze, a i to pod piżamę, oraz za duży garnitur (wziął z wieszaka przez roztargnienie). Ociera łzy, gdy opowiada o swoim wielkim szacunku do tych, którzy tamtego dnia opuścili kryjówki, potem udzielali wywiadów, a reżim i tak ich nie namierzył. Sam manifestował lokalnie, ktoś zadzwonił na pogotowie, więc ukrył się w solarium. Ostatecznie, lepsze to od elektrowstrząsów. Wystarczy spojrzeć na Frasyniuka. Mieli go na komendzie raptem dziesięć minut, a 13. tydzień bredzi jak pomylony. I jeszcze myśli, że ma to pod kontrolą. Kiedy opuszczamy naszego bohatera, jest smutny i pogodzony z wieczną tułaczką po studiach telewizyjnych w poszukiwaniu resztek z pańskiego stołu.

I oto nagle dzieje się coś niezwykłego. Kilka dni później dzwoni w środku nocy, bo w jego czerwone serduszko naklejone na czoło znowu wlała się nadzieja. Po raz czwarty w tym tygodniu uwierzył, że nie wszystko stracone. Że może nie zamkną Tulei. Że przywrócą Łączewskiego, zrehabilitują Juszczyszyna, a Gersdorf nigdy nie odejdzie. I że Rzepliński wróci na mecenasie Koniu. Opowiada, jak bardzo się cieszył, jak skakał przez gałęzie i szyszki, gdy 18 europosłów zagłosowało za sankcjami wobec Polski. Jak płakał ze szczęścia, gdy ktoś z Europy nareszcie przyznał to, o czym u niego w domu mówiło się od dawna – że nie mamy, co się równać, pod żadnym względem z Niemcami, Francuzami, Włochami, Holendrami, Szwedami, w ogóle z nikim. Więc i prawo powinniśmy mieć inne. A ci straszni ludzie, te prawicowo-konserwatywno-katolickie watahy, zamiast rzucać się do kolan i po rękach całować delegację ze świata prawdziwej demokracji, że chciała się pochylić na prośbę marszałka Grodzkiego, to jeszcze narzekają?! Pytamy, z czego zatem czerpie nową nadzieję? Rozłącza się. Potem pisze: „Nic nie wiecie?! Nasi zgłosili Kwiatkowskiego z zarzutami prokuratorskimi do Krajowej Rady Sądownictwa! Czyli Gawłowski idzie na ministra sprawiedliwości!". Trzymamy kciuki, by wytrwał. I by odzyskał swój sędziowski łańcuch, którym na parkingu płacił „chyba za toaletę". Żegnaj, rozgrzany. Wolne sądy.

*Jeśli nie jest ci obojętny los ostatnich niezawisłych i chcesz im pomóc przetrwać pisowską okupację, faszystowską dyktaturę, bolszewicką huntę, prawicowy zamach stanu oraz ponury chichot historii demokracji, zadzwoń do Senat TV i opowiedz o tym na żywo. Koszt połączenia: pół koperty za minutę.

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Lepsi my

Podobno tylko 10 proc. osób, które robią noworoczne postanowienia, ich dotrzymuje. A przecież każdy dzień jest dobry, by stawać się lepszym człowiekiem

27 stycznia siłownia wygląda zupełnie inaczej niż jeszcze trzy tygodnie wcześniej. Trochę tak, jakby przeszło przez nią tornado i wymiotło połowę ćwiczących, zostawiając sam sprzęt. A jeszcze na początku stycznia na bieżniach, schodach, wiosłach, stepperach pocili się ci wszyscy, którzy w świątecznym szaleństwie zapomnieli, że zjedzenie trzech talerzy pierogów i blachy szarlotki lub całego sękacza nie pozostanie bez wpływy na ich ciało. Gorzej jeśli nie pamiętali o tym przez kilka ostatnich lat. I nagle, gdy zegar wybijał północ, korki od szampana strzelały w górę, a fajerwerki rozświetlały niebo, oni wszyscy postanowili narodzić się na nowo, podejmując postanowienie noworoczne: jutro schudnę. Niestety z końcem stycznia „postanowienia noworoczne", tak tych ludzi nazywają trenerzy, znikają z siłowni, bo okazuje się, że nie przeliczyli sił na zamiary, a euforia gdzieś wyparowała. Dzieje się to jakoś między 15 stycznia a końcem tego miesiąca.

Noworocznych postanowień jest oczywiście więcej. Pewnie tyle, ile osób je podejmujących. Nie ograniczamy się wyłącznie do banalnego „teraz to już na pewno schudnę". Ludzie postanawiają zmienić pracę, poprosić o podwyżkę, zerwać z nałogiem, żyć zdrowiej, spędzać więcej czasu z rodziną, mniej korzystać z telefonów komórkowych, zdrowiej jeść, więcej spacerować, więcej czytać itd. Tak jakby z tego, że Ziemia właśnie obiegła Słońce, wypływały dla ludzi jakieś supermoce. Albo to, że właśnie przeskoczyła cyferka na kalendarzu, mogło magicznie zmienić nasze życie. I jakby to jedno postanowienie „od jutra wszystko będzie inaczej" mogło się z dnia na dzień spełnić.

Postanawiają także politycy. Akurat oni nie zawsze noworocznie. Na przykład Małgorzata Kidawa-Błońska postanowiła nie debatować w pierwszej turze wyborów prezydenckich, bo podobno debatowanie w grupie jest nudne. Jak się kompromitować, to tylko w parze. Joanna Mucha postanowiła oddać swoje poparcie Borysowi Budce, bo może on jej potem wynagrodzi w stanowiskach. Lech Wałęsa po raz kolejny postanowił przerzucić swoje poparcie. Tym razem z Władysława Kosiniaka-Kamysza na „mniejsze zło", czyli Małgorzatę Kidawę-Błońską. Ciekawe, czy i tym razem klątwa Wałęsy okaże się skuteczna. A w ogóle wszyscy kandydaci w prezydenckim wyścigu postanowili wygrać i tylko jedna z tych osób swojego postanowienia dotrzyma.



Podobno tylko 10 proc. osób, które robią noworoczne postanowienia, ich dotrzymuje. Reszta woli poczekać kolejne 365 dni, żeby znów zdecydować o tym, że nadszedł długo wyczekiwany moment zmiany własnego życia. I by parę dni później machnąć na to ręką. Może problem w tym, że zbyt wysoko stawiamy sobie cele, no bo przecież nie da się w tydzień zrzucić 10 kg i odzyskać młodzieńczej sylwetki. Może brakuje nam motywacji i impulsu do działania, bo zmiany wcale nie chcemy tak bardzo, jak nam się wydaje. A może po prostu koniec starego i początek nowego roku to nie jest najlepszy moment na decyzję o zmianie. Bo jeśli bardzo chcemy, żeby coś w naszym życiu było inaczej, to nie trzeba czekać na jakąś magiczną datę. Dziś jest doskonałe. Lepsze niż jutro. Trzeba po prostu wziąć się w garść i to zrobić. Ja np. któregoś dnia postanowiłam zacząć ćwiczyć. Dla siebie. Od półtora roku trwam w swoim postanowieniu. Schudłam 15 kg i czuję się lepiej. Gdy motywacja jest silna, data postanowienia nie ma znaczenia.

A tak w ogóle to przecież każdego dnia możemy sobie coś postanowić. Może, że dziś nie damy się wyprowadzić z równowagi, że czyjeś niemiłe słowa puścimy mimo uszu, że wbrew przeciwnościom będziemy się uśmiechać, że ugryziemy się w język, zanim siarczyście rzucimy mięsem, siedząc za kierownicą, że nie dociśniemy gazu, widząc włączony kierunkowskaz samochodu na pasie obok, że zanim wrzaśniemy na dziecko, które znów nie posprzątało pokoju, policzymy do dziesięciu. Może wtedy złość zdąży ulecieć? Jeśli nie wyjdzie dziś, może uda się jutro. Przecież każdy dzień jest dobry, by stawać się lepszym człowiekiem.

Dorota Łosiewicz

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Szuflada Grodzkiego



Jan Pietrzak

„Szuflada Grodzkiego” – taki tytuł będzie miała filmowa komedia sponsorowana przez Senat. W roli biurka wystąpi sam zainteresowany. W roli laski marszałkowskiej biuralistka stuknięta w głowę.

Prezydent Rosji Putin ma zamiar zmienić konstytucję. Według obecnej nie zrobił nic dobrego. Według następnej będzie robił dużo więcej tego samego.

Prezydent Warszawy postanowił uczcić byłego prezydenta Gdańska nazwą ulicy. Ludzie zgadują, czym pozytywnym zapisał się Adamowicz w historii tego miasta? Tylko jednym – nie uczestniczył w mafii mieszkaniowej... w Warszawie.

Tusk w paroksyzmie wściekłości naurągał Polakom. Co za pasja, jaka energia u tego emeryta! Z takim zaangażowaniem może pokonać Siemoniaka w konkursie na szefa PO, jeżeli Schetyna pozwoli.

Parlament Europejski nie zamierza się zajmować praworządnością we Francji, gdzie rząd bije ludzi na ulicach. W Polsce rząd nie zamierza nikogo bić, co stanowi niebezpieczny precedens dla władców kontynentu.

Parszywa dwudziestka europosłów z Polski zarejestrowała w Brukseli nowy klub – Targowica. Główne zadanie – pisanie polskich ustaw w obcych językach.

Pewien sędzia, łamiąc normy prawne, obraził prezydenta RP. Wniosek? Jeżeli sędziowie mogą obrażać prezydenta, obywatele mogą obrażać sędziów. Prawda, zakichana kasto?

Olga Tokarczuk zaleca, by zwierzęta wpisać do konstytucji. Pomysł ten wykorzystał już literacko George Orwell. Jego genialne dzieło nazywa się „Folwark zwierzęcy”. Nagrody Nobla nie otrzymał.

Sędziowie Sądu Najwyższego pod dowództwem p. Gersdorf zwołali sobie zamknięte zebranie w celu osądzenia Sejmu, który im „w tym kraju” przeszkadza. Czy to zebranie nie powinno zostać zamknięte na dłużej, z zewnątrz? Uwaga: powyższe zdanie jest żartem, co wyjaśniam na wszelki wypadek.

Z kryminalnym nerwem

Z aktorem Krzysztofem Zarzeckim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Co to jest inkarno?

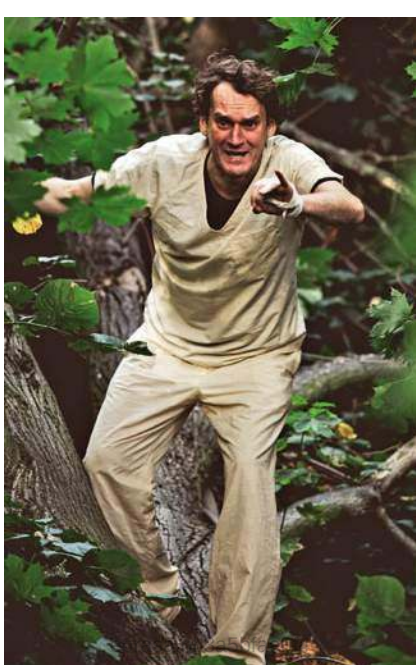
Krzysztof Zarzecki: Metoda, która ma wyzwolić duszę, uzdrowić człowieka psychicznie chorego przez wprowadzenie go w trans.

To też tytuł najnowszej premiery Teatru TV z panem w roli głównej?

Tak – komedii kryminalnej – jak mówił o niej Kazimierz Brandys. Autor sztuki miał zdystansowany stosunek do sposobów ingerowania w psychikę; metod, które zresztą nieustannie się zmieniają.

Akcja rozgrywa się w klinice dla nerwowo chorych...

...na dodatek zamkniętej od kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu lat. Historia mogłaby więc nosić znamiona jakiegoś horroru, ale to nie przypadek tej sztuki. Napisanej tak, że nie można w niej traktować wszystkiego bardzo poważnie, a jednocześnie reżyser Lena Frankiewicz dążyła do tego, żeby nie zabrakło tonu serio.



Na pewno poważna jest obsada. Jak się pan w niej odnalazł?

Znałem wcześniej i Jana Englerta, i Jana Frycza [w spektaklu grają też m.in. Wiktoria Gorodeckaja, Gabriela Muskała, Eryk Lubos, Roman Gancarczyk – przyp. red.], ale i tak poprzeczka była postawiona bardzo wysoko.

Premiera „Inkarno” na telewizyjnej scenie już 27 stycznia, a gdzie poza tym można pana oglądać?

Pracuję w Teatrze Studio i Teatrze Nowym. Wciąż też odbieram reakcje widzów serialu „Ślepnąc od świateł”. I pojawię się w nowych serialach Netflixa, ale szczegółów zdradzić nie mogę.

BRONISŁAW WILDSTEIN

Jak ważne są unijne dopłaty



„Maski spadły” – powiedział Radosław Sikorski w PE po głosowaniu w sprawie potępienia Polski za reformę wymiaru sprawiedliwości. Nie będę kolejny raz wracał do meritum sprawy, o której pisałem już wiele razy, zwłaszcza że atakujący nasz kraj pośrednio przyznają często, że chodzi o coś innego. Piętnowani jesteśmy za rozwiązania, które funkcjonują w zachodnich krajach UE. W Niemczech, we Francji czy w Hiszpanii wpływ polityków na wybór sędziów idzie dalej, niż przewiduje ustawa PiS. Podsumował to minister Ziobro w ocenie dokumentu, który na temat polskich reform przygotowała Komisja Wenecka: „To, co proponują autorzy tego dokumentu, wpisuje się w narrację, którą miałem okazję słyszeć czasami z ust niektórych ministrów sprawiedliwości krajów tzw. starej UE, którzy pouczali mnie z poczuciem wyższości i pewnej buty w głosie, że oni są przedstawicielami dojrzalszej demokracji, przedstawicielami obywateli dużo bardziej cywilizowanych, o wyższej kulturze prawnej (...) i ich obywatelom wolno więcej niż Polakom”.

Rezolucja PE wzywa Komisję Europejską do „wykorzystania w pełni dostępnych narzędzi, w szczególności przyspieszonych postępowań ws. uchybienia zobowiązaniom państwa członkowskiego przed TSUE”. Chodzi o powiązanie dopłat unijnych z tzw. kwestią praworządności, czyli żądaniem, aby Polska swoje rozwiązania w tej mierze dostosowała do... nie, nie do norm i praktyki krajów UE, ale oczekiwań ich establishmentu, a więc faktycznie elit prawniczych w naszym kraju.

Posłowie opozycji, a więc m.in. Sikorski, głosowali za zmniejszeniem przyznawanych Polsce funduszy, powtórzę: nie PiS, ale swojemu krajowi. Maski więc rzeczywiście spadły.

Ja jednak chciałbym zastanowić się nad rolą funduszy unijnych.

Przedstawiane są one w Polsce jako główna sprężyna naszego rozwoju. Stąd kasandryczny ton związany z ich zmniejszeniem. Wszystko to daleko idąca mistyfikacja. Ani fundusze te nie są tak istotnym czynnikiem postępu, ani ich zmniejszenie nie będzie dla nas tragedią.

Przez 15 lat Polska z UE otrzymała ponad 163 mld euro. Do unijnego budżetu wpłaciliśmy 53 mld. Dostawaliśmy więc na czysto (?) niecałe 7,5 mld euro rocznie. To niecałe 2 proc. polskiego PKB – niby sporo, ale traktowanie tego jako istotnego czynnika wzrostu jest nadużyciem. Kwoty te muszą tak czy owak zostać zmniejszone w przyszłym budżecie UE. Ulega on redukcji o składkę wpłacaną przez Wielką Brytanię, a rozwój naszego kraju w naturalny sposób zmniejszać musi skierowaną do niego pomoc.

Nasza wiedza o rzeczywistym znaczeniu dopłat jest radykalnie ograniczona, co spowodowane jest tym, że wszystkie ośrodki europejskie, formalnie funkcjonujące jako instytucje naukowe, mają faktycznie propagandowy charakter. Indoktrynowani jesteśmy, w dużej mierze za własne pieniądze, politgramotą nad temat dobrodziejstw, jakie spływają na nas z UE, a realnych informacji na temat jej działania i problemów brak. Tablice, które oglądamy wszędzie, o tym, że dobry wujaszek z Brukseli zafundował nam to lub owo, są tego najbardziej infantylnym sygnałem.

Aby uzyskać dopłaty, trzeba spełnić określone kryteria. Stosunkowo najprostsze, co nie znaczy proste, dotyczą rolnictwa. Owe biurokratyczne normy wypracowane w unijnych ośrodkach są efektem presji rozmaitych wpływowych lobby, które w ten sposób usiłują zapewnić sobie intratne zamówienia oraz zbyt produktów. Finalne efekty tych przetargów bywają dalekie od racjonalności. W efekcie administracja na różnych szczeblach kraju podejmuje działania w celu ściągnięcia pieniędzy unijnych, często wcale niepowodowana realnymi potrzebami mieszkańców. A do funduszy unijnych trzeba dopłacać. Nie wiemy, ile środków marnowanych jest w ten sposób na co najmniej wątpliwe przedsięwzięcia, czego symbolem stały się budowane bez sensu aquaparki.

W Polsce, jak wszędzie indziej, pojawił się cały przemysł ściągania dopłat unijnych. Aby je uzyskać, potrzeba specjalistycznych umiejętności, gdyż sterowane są one biurokratycznymi, bardzo kosztownymi regulacjami. Nie wiemy, ile pieniędzy pochłania to pośrednictwo ani generalnie, jak bardzo fundusze UE kierowane są niezgodnie z potrzebami naszej gospodarki i jak bardzo deregulują jej mechanizmy.

Pewność natomiast mamy, że w ten sposób w naszym kraju wyrabiana jest żebracza mentalność, wzmacniane są polskie kompleksy, zgodnie z którymi sami nie jesteśmy w stanie się utrzymać ani na siebie zarobić. W rzeczywistości środki unijne mogą pomóc tylko temu, kto sam wcześniej zadba o swój interes. Inaczej prowadzą w odwrotnym kierunku, czego Grecja jest dobitnym przykładem.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3a5bfae0f4


Libia

Mediator z Kremla

Berlińska konferencja poświęcona kwestii uregulowania konfliktu w Libii zakończyła się umiarkowanym sukcesem. Ważne jest to, że strony konfliktu: popierany przez ONZ rząd w Trypolisie Fajiza as-Saradża oraz kontrolująca znaczną część kraju opozycja, której siłami kieruje zbuntowany gen. Chalifa Haftar, w ogóle rozpoczęły dialog. Co prawda nie wprost, bo obaj libijscy liderzy przebywający w Berlinie odmówili bezpośrednich rozmów, zgodzili się za to wyznaczyć swoich przedstawicieli do negocjacji w sprawie zawieszenia broni.

Ostrożny optymizm kanclerz Merkel występującej w roli organizatorki szczytu związany był z tym, że udało się doprowadzić do podpisania 55-punktowego porozumienia, w którym zadeklarowano m.in. wstrzymanie dostaw broni dla walczących stron. Może to mieć duże znaczenie dla utrzymania jedności europejskiej nadwątlonej choćby tym, że Rzym popierał rząd w Trypolisie, a Paryż siły gen. Haftara. Europa nie zdecydowała się jednak na wysłanie kontyngentu sił pokojowych do Libii, o co zabiegał wyraźnie niezadowolony z takiego obrotu spraw prezydent Turcji. Recep Erdoğan podtrzymał wcześniejsze deklaracje o gotowości do militarnej interwencji w obronie rządu as-Saradża, jeśli zawieszenie broni się nie utrzyma. A dosłownie w przededniu konferencji Turcja dostarczyła rządowi w Trypolisie systemy przeciwlotnicze.

Konferencja w Berlinie była też pierwszym spotkaniem poświęconym uregulowaniu konfliktu w Libii, w którym uczestniczył prezydent Rosji. Władimir Putin uznał widocznie, iż nadszedł czas zbierania owoców rosyjskiej polityki w regionie. Chodzi nie tylko o podkreślenie, że o żadnej międzynarodowej izolacji Rosji nie ma mowy, ale też o udowodnienie, że bez udziału Moskwy nie da się myśleć o rozpoczęciu „żmudnego" – jak powiedziała kanclerz Merkel – procesu pokojowego. Rosja wspiera siły Chalifa Haftara, po którego stronie walczą najemnicy z tzw. Grupy Wagnera. Jednocześnie jednak utrzymuje relacje z rządem w Trypolisie, a Fajiz as-Saradż spotkał się z Putinem w czasie ubiegłorocznego szczytu afrykańskiego w Soczi. Moskwa utrzymuje też kontakty z drugim synem zamordowanego dyktatora Muammara Kaddafiego, Saifem, który w razie rozpoczęcia procesu pokojowego i rozpisania nowych wyborów prezydenckich mógłby wziąć w nich udział.

W Berlinie Putin brylował, zwłaszcza na tle pozostającego w cieniu amerykańskiego sekretarza stanu. Oczywiście pomoc Putina w uregulowaniu libijskiego konfliktu nie jest bezinteresowna. Obawiająca się napływu kolejnej fali emigrantów Europa będzie pewnie musiała za nią zapłacić zniesieniem wymierzonych w Moskwę sankcji.

Marek Budzisz

Fot. questions123/Shutterstock.com


Czarnogóra

Kościelny rozwód z Serbią?

Nie ustają spory i demonstracje w Czarnogórze, po tym jak parlament tego bałkańskiego kraju przyjął w zeszłym miesiącu ustawę o wolności wyznania. Prawo to zakłada m.in. nacjonalizację obiektów sakralnych wszystkich wspólnot wyznaniowych wybudowanych do 1918 r., jeżeli nie uda się odnaleźć ich aktów własności.

Głównym przeciwnikiem przyjętego prawa jest Amfilochiusz, metropolita Czarnogóry i Przymorza serbskiej Cerkwi prawosławnej. Nowa ustawa bowiem oznacza, że jego Kościół będzie musiał oddać klasztory, które niegdyś należały do czarnogórskiej Cerkwi prawosławnej, zlikwidowanej w 1921 r. i wchłoniętej przez Cerkiew serbską.

Od momentu wprowadzenia nowego prawa w każdy czwartek i niedzielę metropolia organizuje protesty we wszystkich większych miastach Czarnogóry. Amfilochiusz zapowiada, że będzie je kontynuować do czasu, aż nowe prawo nie zostanie uchylone. Rząd Czarnogóry odrzuca taką możliwość, ale zgadza się na dyskusję z Cerkwią o sposobie jego egzekwowania.

Ta historia ma oczywiście tło polityczne. Czarnogóra, która w 2006 r. ogłosiła swoją niezależność i opuściła wspólne państwo tworzone z Serbią, jest podzielona na większość, która określa się mianem czarnogórców, oraz na serbską mniejszość, która tęskni za jugosłowiańską przeszłością. Podział ten przekłada się bezpośrednio na scenę polityczną kraju. Demokratyczna Partia Socjalistów Czarnogóry, której przewodzi prezydent Mile Đukanović, kierowała projektem niezawisłości Czarnogóry, chociaż wcześniej była zorientowana proserbsko. Z kolei Nowa Serbska Demokracja Andrije Mandicia, wchodząca w skład opozycyjnej koalicji Front Demokratyczny, reprezentuje Serbów.

Analitycy uważają, że nowe prawo nieprzypadkowo uderza w serbską Cerkiew prawosławną w Czarnogórze, ponieważ nigdy nie uznała ona niezależności tego państwa. Đukanović wspiera tym samym powołaną na nowo w 1993 r. czarnogórską Cerkiew prawosławną. Dotąd nie uzyskała ona autokefalii, dlatego prezydentowi, który widzi w niej Kościół narodowy, bardzo zależy na jej wzmocnieniu.

Goran Andrijanić

Fot. shutterstock

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Wielka promocja Trumpa



Fot. Breaking news/Shutterstock.com

„Zamierzamy wynegocjować ogromną i wspaniałą umowę z Wielką Brytanią” – powiedział na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos prezydent USA Donald Trump. Dla premiera Borisa Johnsona te słowa mają szczególne znaczenie. Brexit nadchodzi wielkimi krokami i wzmianki o „specjalnych relacjach” między Wielką Brytanią i USA są na Downing Street bardzo pożądane. Od jakiegoś czasu pojawiają się informacje o dwustronnych negocjacjach prowadzonych między tymi krajami. Bez wątpienia Trump chce osiągnąć porozumienie jeszcze przed jesiennymi wyborami prezydenckimi.

Trump popierał brexit, który – zdaniem prezydenta USA – otworzył drogę do zawarcia „nowej, wielkiej umowy handlowej”, znacznie bardziej lukratywnej niż te, które Londyn zawdzięczał członkostwu w Unii. Wzorem są umowy podpisane przez Stany Zjednoczone z takimi krajami jak Meksyk, Kanada i Chiny. „Ameryka przeżywa boom gospodarczy, jakiego świat wcześniej nie widział. Rozwija się, prosperuje i zwycięża jak nigdy wcześniej” – powiedział w Davos prezydent USA.

Trump podkreśla sukces Johnsona, aby pokazać, że również w Europie wygrywają politycy podobni do niego: ekscentryczni, mający za nic poprawność polityczną i odwołujący się do populistycznych haseł (w USA to słowo nie ma negatywnego wydźwięku). Mówiąc o planach zawarcia umowy z Wielką Brytanią, Trump chce również udowodnić Amerykanom, że nie stracił zmysłu biznesowego i gwarantuje przyszły sukces Ameryki dzięki dobrze wynegocjowanym traktatom handlowym. Umowę z Chinami nazwał w Davos „wzorcową”. Skierował też inny komunikat do swojego elektoratu. „Prezydent Xi jest dla Chin. Ja jestem dla Stanów Zjednoczonych. Poza tym się kochamy” – powiedział. Donald Trump wykorzystuje każdą możliwość, aby przypomnieć slogan, który pomógł mu w 2016 r. zdobyć Biały Dom. „Ja jestem dla Stanów Zjednoczonych” to nieco inaczej sformułowane hasło „America First”.

W Davos przebywała też, a jakże, Greta Thunberg. Trump nie omieszkał wysłać sygnału do miłośników „American way of life”, którzy jeżdżą wielkimi SUV-ami z potężnym silnikiem, pochłaniają wielkie ilości mięsa przyrządzanego na grillu i latają na wakacje samolotami. „Musimy odrzucać proroków zagłady. To nie czas na pesymizm, lecz na optymizm” – dodał prezydent USA. Kampania wyborcza trwa w najlepsze i możemy spodziewać się, że Trump wykorzysta każdą nadarzającą się sytuację, aby zyskać dodatkowe punkty w tegorocznym wyścigu do Białego Domu.

Łukasz *Adamski*

Abchazja

Porządki w protektoracie

Przyszłość Raula Chadżymby, prezydenta nieuznawanej przez nikogo (oprócz Rosji i jeszcze pięciu państw w rodzaju Nauru, Syrii czy Wenezueli) Republiki Abchazji, rozstrzygnęła się w listopadzie ub.r., w ogródku popularnej w Suchumi restauracji San Remo. W środku dnia zastrzelono dwóch 38-letnich „worów w zakonie” (przywódców świata przestępczego).

Opozycja, zdezorganizowana po wrześniowych kontrowersyjnych – delikatnie sprawę nazywając – wyborach prezydenckich, przystąpiła do działania. Na jej czoło wysunął się Achra Awidzba, kuzyn jednego z zastrzelonych i zarazem były dowódca „batalionu ochotniczego” walczącego po stronie separatystów na Ukrainie. W grudniu opozycji udało się doprowadzić do dymisji ministra spraw wewnętrznych i prokuratora generalnego, a niedługo potem aresztowano podejrzanych o egzekucję w restauracji San Remo, wśród których znaleźli się funkcjonariusze osobistej ochrony prezydenta Chadżymby. Już wówczas było wiadomo, że jego przyszłość jest niepewna, tym bardziej że wybory, które dały mu drugą kadencję, pokazały, że jego poparcie jest niewielkie. Chadżymba wygrał przewagą kilkuset głosów, i to mimo posiłkowania się na szeroką skalę „resursem administracyjnym”, czyli korzystaniem z możliwości, jakie daje sprawowanie władzy. Sukces prezydenta był dodatkowo, oprócz oskarżeń o fałszerstwa, osłabiony tym, że zdobył on mniej niż połowę głosów (ordynacja przewidywała możliwość oddania w drugiej turze głosu przeciw obu rywalom), a jego konkurent Alhas Kwicinja był kandydatem zastępczym, bo lider opozycji Asłan Brzanija został zatruty przez nieznanych sprawców metalami ciężkimi i walczył o życie w klinikach Moskwy i Berlina.

Na początku roku wypadki przyspieszyły. Kilkuset przyjaciół i członków rodzin zamordowanych, na czele których stał przybyły z Doniecka komendant Awidzba, przypuściło szturm i zdobyło siedzibę prezydenta. Potem do działania przystąpił Sąd Najwyższy, który – mimo że wcześniej uznał legalność wrześniowych wyborów – tym razem je zakwestionował, a Chadżymba podał się do dymisji.

W całej sprawie zastanawiająca jest postawa Moskwy, dla której oddzielona prawie 30 lat temu od Gruzji separatystyczna Abchazja jest ważna z powodu jej strategicznego położenia. W dniu rezygnacji Chadżymby do stolicy Abchazji przyjechał doradca Putina Władisław Surkow. Zdaniem komentatorów w rosyjskim protektoracie rozpoczęła się zmiana pokoleniowa. Starych i nieskutecznych weteranów lokalnej polityki mają zastąpić młodzi, tacy jak 34-letni Awidzba. W jakim celu? Przekonamy się już niedługo.

Marek *Budzisz*

eprasa.pl 3a5bfae0f4

OGNIEM NA WPROST

Klimatyczni imigranci



Komitet Praw Człowieka ONZ w swoim przełomowym orzeczeniu zdecydował, że nie można zawracać osób starających się o ochronę międzynarodową, a powołujących się na zmiany klimatyczne. Obywatel Kiribati, państwa na Pacyfiku, w 2015 r. uciekł z żoną do Nowej Zelandii, gdzie ubiegał się o azyl. Ponieważ azyl należał się Kiribatyjczykowi jak tryskającemu zdrowiem człowiekowi renta inwalidzka, to wniosek został odrzucony, a on wraz z rodziną deportowany. Sprawą zajęły się jednak właściwe organy, które doszły do wniosku, że Kiribatyjczykowi grozi w rodzimym kraju bardzo poważne niebezpieczeństwo, z utratą życia włącznie. Wszystko za sprawą zmian klimatycznych, których w ogóle nie wzięły pod uwagę władze imigracyjne Nowej Zelandii. Po gruntownym zbadaniu sprawy i pogłębionych konsultacjach organ ONZ uznał, że już same zmiany klimatyczne mogą być warunkiem wystarczającym do przyznania azylu. Przy tym uchodźcy nie muszą udowadniać, że ich życie i zdrowie jest w niebezpieczeństwie. Wystarczy, że oświadczą, iż zagrożone jest prawo do życia. A co by się stało, gdyby Kiribatyjczyk poprosił o azyl w Australii i po osiedleniu spalił się w pożarze buszu? Wszak sama Greta Thunberg, niekwestionowany autorytet klimatyczny na świecie (na szczęście w Polsce głównie w poradniach zdrowia psychicznego), stwierdziła, że Australia płonie z powodu ocieplenia klimatu. Zamienił stryjek siekierkę na kijek, ale brama do zalewu milionów imigrantów powoli otwiera się na oścież.

Dzięki wygranej PiS w 2015 r. zablokowane zostały pomysły lansowane przez takich tuzów opozycji, jak Ewa Kopacz, Joanna Mucha czy Cezary Tomczyk, którzy twierdzili, że Polska jest w stanie przyjąć dowolną liczbę imigrantów. Do naszej świadomości nie trafiły takie nazwy jak: Black Axe (Czarna Siekiera), Vikings czy Maphite. W północnych Włoszech zna je praktycznie każde dziecko. To nazwy odłamów nigeryjskiej mafii. Zgodnie z raportem „Washington Post" z czerwca 2019 r. organizacje te „kontrolują terytorium od Turynu na północy do Palermo na południu. Przemycają narkotyki i przewożą kobiety, zmuszając je do prostytucji na ulicach. Szukają nowych członków wśród kasty ubogich migrantów, nielegalnie rekrutują ich w prowadzonych przez rząd włoskich ośrodkach azylowych". Włoska policja informuje, że tym, co wyróżnia nigeryjskie grupy przestępcze, jest ich brutalność (prowadzą „miejską wojnę partyzancką" w celu utrzymania terytorium) oraz stosowanie rytuałów wudu. Odwołując się do słów wspomnianej wcześniej „klasyczki", „Czarne Siekiery" i kult wudu znacznie ubogaciłyby polskie życie społeczne i religijne.

Wielka i nowa przyjaciółka prof. Tomasza Grodzkiego, spiker Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych Nancy Pelosi, z którą – jak sam stwierdził marszałek Senatu – podczas „inspirującego i ważnego" spotkania w holu krakowskiego lotniska podkreślili „siłę i trwałość sojuszu naszych narodów opartego o wartości i fundamentalne zasady demokratyczne" złożyła na swojej stronie internetowej relację z Polski. Po wizycie w Auschwitz-Birkenau podzieliła się z opinią publiczną swoją wiedzą na temat ludności zamordowanej w obozie przez nazistów. „Ogromne zło popełniane wobec Żydów, Romów, osób LGBTQ, osób niepełnosprawnych" – napisała, nie wspominając kompletnie o drugiej co do liczby ofiar nacji, którą eksterminowano w obozie koncentracyjnym – o Polakach. Jeżeli już marszałek Grodzki czuje nieodparty impuls odgrywania roli księcia Metternicha totalnej opozycji, to byłoby lepiej, gdyby na tle unijnej flagi przypiętej do tła spinaczem do wieszania prania w kanciapie lotniska przypomniał amerykańskim ignorantom o roli swoich rodaków w II wojnie światowej, zamiast pleść te swoje androny o demokracji i trwałości sojuszów w oparciu o wartości.

Nauczyciele z warszawskiego LO im. J. Kilińskiego zabrali swoich uczniów na wycieczkę do Gdańska. Tam spotkały ich nie lada atrakcje. Podczas spektaklu „Śmierć białej pończochy" w Teatrze Wybrzeże, na który zaprowadzili uczniów opiekunowie, młodzież szkolna mogła sobie obejrzeć sceny brutalnego gwałtu sugestywnie zaprezentowane przez aktorów. Już w październiku ub.r. teatr skontrolowała policja zawiadomiona donosem, w którym twórców sztuki oskarżono o prezentowanie demoralizujących treści. Także jak widać, było na co popatrzeć. Ponieważ polski teatr w poszukiwaniu widza coraz częściej stacza się w odmęty tanich, ale bulwersujących chwytów, zabierając w ten sposób chleb pornoshopom, Instytut Ordo Iuris złożył zawiadomienie do mazowieckiego kuratora oświaty. Szkoła została zobowiązana do zmiany praktyk organizacji wycieczek.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Polski (nie)ład przestrzenny



Marta Kaczyńska-Zielińska

Krajobraz kulturowy miast i prowincji Europy charakteryzuje ład przestrzenny, którego początki sięgają średniowiecza. W czasie II wojny światowej część miast uległa znacznym zniszczeniom, ale urbanizacja postępująca w drugiej połowie XX w. zasadniczo następowała w sposób planowy z poszanowaniem ładu przestrzennego i podtrzymaniem terenów pozamiejskich.

W ostatnich kilkudziesięciu latach w Polsce nowo tworzona zabudowa w miastach i gminach podmiejskich stała się chaotyczna wskutek braku spójności i postępującej fragmentaryzacji terenów zielonych. Postępujące rozlewanie się zabudowy jest nie tylko nieestetyczne, lecz przede wszystkim sprzeczne z regułami ekonomii i niekorzystne z punktu widzenia szeroko pojętej ekologii.

Z danych zawartych w raporcie za lata 2016–2018 opracowanym przez działający przy Prezydium PAN Komitet Przestrzennego Zagospodarowania Kraju wynika, że największą bolączkę współczesnego systemu zagospodarowania przestrzennego stanowią wadliwe, rozdrobnione plany miejscowe i „rujnujące przestrzeń" decyzje o warunkach zabudowy.

Ministerstwo Rozwoju, dostrzegając pilną potrzebę budowy nowych mieszkań w Polsce, ale również konieczność zapewnienia miastom i gminom zrównoważonego rozwoju, rozpoczęło pracę nad reformą przepisów prawa odnoszących się do zagospodarowania przestrzennego. Przewidywane jest w szczególności ustanowienie nowego aktu prawa miejscowego w postaci planu zabudowy. Ponadto proces zagospodarowywania terenów ma w znacznie większym stopniu niż aktualnie uwzględniać społeczne opinie, tj. przede wszystkim mieszkańców objętych bezpośrednio nowymi planami. Ministerstwo opiera się zatem na modelu tzw. planowania partycypacyjnego, którego głównym założeniem jest partnerskie podejście do wszystkich zaangażowanych podmiotów i otwartość na merytoryczne wsparcie. Na początku 2020 r. powołano także zespół opiniodawczy składający się z przedstawicieli administracji samorządowej i rządowej oraz architektów, urbanistów i inżynierów. Nowa inicjatywa ma doprowadzić do zintegrowania planowania przestrzennego na poziomie krajowym i wszystkich szczebli jednostek samorządu terytorialnego. Jest ona niezwykle istotna zwłaszcza z perspektywy gmin, które coraz częściej dostrzegają negatywne skutki rozproszenia zabudowy obniżającej jakość życia mieszkańców, nierzadko pozbawionych dostępu do niezbędnej infrastruktury społecznej i technicznej.

Działanie podstawowych jednostek samorządu terytorialnego w ramach wielofunkcyjnego rozwoju lokalnego powinno być oparte na integracji planowania przestrzennego i planowania społeczno-gospodarczego. Pochylając się nad potrzebą zagwarantowania spójności współczesnych polskich miast, warto odwołać się do schematów działania stosowanych od lat w innych państwach europejskich i przyświecających im idei. Warto wziąć pod uwagę np. rozwiązania francuskie, w których ramach miejska polityka przestrzenna dotyczy gruntów komunalnych i państwowych oraz prywatnych. Holistyczne ujęcie problematyki urbanistycznej jest możliwe za sprawą niekwestionowanego aksjomatu w postaci dobra wspólnego, którego ucieleśnienie stanowi miasto – pojmowane jako całość, a nie konglomerat działek należących do różnych właścicieli. Polityka miejska we Francji jest traktowana jako działanie strategiczne obejmujące wieloletnią perspektywę. Czynnikiem warunkującym powodzenie działań opartych na przesłance dobra wspólnego i długofalowej wizji jest ich transparentność i integracja wielu zaangażowanych w nie podmiotów. Miasta francuskie są nadzorowane przez agencje urbanistyczne, współpracują z biurami obrotu nieruchomościami. Ważnym czynnikiem, który jest uwzględniany w ramach projektowania rozbudowy miast, są programy i projekty wspierania rolnictwa miejskiego i podmiejskiego. Rolnictwo jest bowiem postrzegane także jako generator obszarów biologicznie czynnych wymuszający ochronę niektórych przestrzeni przed zabudową.



19 stycznia 2020 roku odszedł od nas

ŚP.
GRZEGORZ JĘDREJEK

profesor, sędzia Trybunału Konstytucyjnego,
członek Państwowej Komisji Wyborczej,
wybitny prawnik, wspaniały człowiek,
niezłomny sędzia, przyjaciel.

Pokój Jego duszy!

Wyrazy najgłębszego współczucia
rodzinie i bliskim zmarłego

składa

Prezes Trybunału Konstytucyjnego
Julia Przyłębska

51/0120/F

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Walizka Jana Pietrzaka

muzyka, barda, artysty kabaretowego

Tak naprawdę to powinienem należeć do Związku Transportowców, a nie Aktorów, ponieważ całe życie podróżuję. Teraz z racji wieku jeżdżę mniej niż kiedyś, ale i tak jest to zawód podróżniczy. Kiedyś nawet myślałem, że jestem kierowcą, który przejechał w Polsce najwięcej kilometrów przed tą całą rewolucją drogową, która się teraz w ostatnich latach rozgrywa.



GITARA



Gitara to jest mój podstawowy sprzęt. Oczywiście grywam często z kolegami, z kapelą, ale bywały lata, że musiałem grać sam, w podziemiu zwłaszcza. Grać nauczyłem się w stanie wojennym, gdy trzeba było jeździć i występować po domach. Jeździłem sam, żeby nie narażać moich znajomych muzyków na przykrości ze strony SB.

KAMERTON itp.



Kiedyś do strojenia gitary używano metalowego urządzenia wydającego odpowiedni ton. Do kamertonu, bo o nim mowa, zaplątała się elektronika, która pozwala na strojenie w każdych warunkach, w każdej sali, nawet przy hałasie czy złym tle akustycznym. Dzięki temu nie mam obawy, a zwłaszcza wstydu, że gram z fałszującym instrumentem.

OKULARY PRZECIWSŁONECZNE



Gdy jest bardzo dużo światła, okulary przeciwsłoneczne stosuję czasami na scenie. Kiedyś miałem nieprzyjemne przygody z oczami, więc to, co może być odbierane jako „gwiazdorski image", jest po prostu formą ich ochrony.

KRAWATY



Ponieważ jestem chimerycznym artystą estradowym i nigdy nie wiem do końca, jaki krawat założę, na koncert zabieram kilka sztuk w różnych barwach. Dobór koloru uzależniam od wystroju sali, publiczności, a zwłaszcza od stanu mojej rozkołatanej psychiki. Ubiór kolegów z kapeli też ma znaczenie.

eprasa.pl 3a5bfae0f4



KOSZULA



Dobór odpowiedniej koszuli ma kluczowe znaczenie, ponieważ w pracy organizm się poci. Generalnie wysiłek męczy i jak się stoi średnio dwie godziny na scenie, a przy owacjach nawet i dłużej, to koszula musi dobrze wyglądać. Muszę przyznać, że nie wszystkie się sprawdzają, dlatego zawsze poddaję je testom organoleptycznym, zanim założę na występ.



PIERSIÓWKA

Niewielka piersióweczka jest przydatna, bo gdy struny głosowe nie chcą brzmieć, warto je przepłukać jakimś preparatem medycznym, czyli dobrym koniakiem. Taki nawyk mam po dziesiątkach lat grywania w lokalach gastronomicznych, gdzie zawsze był bufet.

KSIĄŻKA



Książkę „Jak obaliłem komunę" wykorzystuję do spektakli, w których na koniec rozmawiam z publicznością. Odpowiadając na pytania, sięgam do lektury, cytując akta i wybryki cenzorskie SB, które z perspektywy czasu dokumentują jakiś koszmar. Po latach wydają się zabawne, ale to było moje prawdziwe życie. Przyznaję, że akta SB to są moje najlepsze recenzje, ponieważ piszą w nich wielokrotnie, że moje występy służyły obaleniu ustroju komunistycznego i zerwaniu więzi ze Związkiem Sowieckim.



PREZENT (lalka)

Często dostaję prezenty od publiczności: jakieś zabawki, amulety, osobiste pamiątki. Od jednego Pana z Wybrzeża, gdy się tam pojawiam, dostaję orła wykutego w metalu. Otrzymałem też portrety Jana Pawła II wyrzeźbione w drewnie. Te souveniry są emocjonalnym zapisem moich tras koncertowych i zajmują zaszczytne miejsce w moim domu.

Wysłuchał i spisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

„Zły pan", czyli gorzej niż rasizm



Dominik Zdort

Żółte plakaty na warszawskich przystankach widać już z daleka. Na jasnym tle naszkicowana czarnymi kreskami sylwetka jakiegoś zwierzęcia – gdy pierwszy raz ją mijałem, przypominała mi konia zrzucającego z grzbietu jeźdźca, kawalerzystę, jak mi się zdawało. Wrażenie wzmocnił napis: „Zły pan". Słowo „pan" już właściwie w języku polskim zanika, wszyscy jesteśmy równi, pozostało jeszcze w coraz rzadziej używanym grzecznościowym zwrocie „proszę pana", przyszły mi więc do głowy raczej odniesienia historyczne.

Cóż, pomyślałem, trwa propagandowy spór o genezę września 1939, Putin zarzuca II RP i Polakom antysemityzm i doprowadzenie do wybuchu wojny. Dla Sowietów była to walka z „pańską Polską", może ten „Zły pan" na koniu to alegoria polskiego ziemianina, któremu ołowianą kulą wymierzył sprawiedliwość przedstawiciel „przodującej postępowej ludzkości". Może władze rosyjskie wykupiły miejsce na warszawskich przystankach, aby uświadomić nam, Polakom, jak kończy się próba zapobiegnięcia ruszaniu z posad bryły świata?

Z bliska rzeczywistość okazała się znacznie bardziej trywialna. To nie koń, tylko pies, w dodatku bez siodła i bez jeźdźca. Trzyma pysk przy ziemi, jakby tropił, szukał jakiegoś śladu. I znów przydał się napis „Zły pan". Ten pies nie wącha! To jest słynne zwierzę z frazy „czuć się jak zbity pies". Kto zbił tego psa? Oczywiście „zły pan".

I jeszcze ta gra słów: „Zły pan" odnosi się do tabliczek „zły pies" tak często umieszczanych na furtkach. Sprytnie wykorzystano tu dwuznaczność słowa „zły", które w odniesieniu do psa znaczy, że może ugryźć, jeśli ktoś wejdzie na nie swój teren (a więc spełnia swoje obowiązki), a w stosunku do pana, że jest złym opiekunem (a więc nie spełnia obowiązków).

Na koniec jednak przyszło mi do głowy, że i ta interpretacja nie może być właściwa. Autorka takiego plakatu, osoba pewnie pełna współczucia dla zwierząt, nie mogła przecież wobec właściciela psa użyć słowa „pan". Nie mogła stwierdzić, że zwierzę ma swojego pana, jak kiedyś biali panowie mieli czarnych niewolników.

Gdyby rzeczywiście napisała słowo „pan", mając na myśli człowieka, to dałaby wyraz swojemu wstecznictwu i obskurantyzmowi. Bo wartościowanie istot żywych na lepsze i gorsze, na panów i ich zwierzęta, jest gorsze niż rasizm. To gatunkizm – grzech, który na pewno w kolejnej encyklice potępi papież Franciszek.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 3a5bfae0f4

RZECZY POSPOLITE

„Wyzwolenie”



Tomasz ***Łysiak***

Nie chodzi mi rzecz jasna w niniejszym felietonie o piękny dramat Wyspiańskiego, lecz o tragifarsę autorstwa Władimira Władimirowicza, której kolejne akty mają się tak rozegrać, by finałowa scena wstrząsnęła światem 9 maja. Czyli wtedy, gdy wedle narracji kremlowskiej świat został uwolniony od nazizmu przez Armię Czerwoną. Tyle w tej narracji prawdy, ile w historii słynnego zdjęcia, na którym sołdat umieszcza na szczycie Reichstagu sowiecką flagę. Flaga jest? Jest. Berlin zdobyty jest? Jest. Kilka zegarków na ręku sołdata jest? Jes..., a nie, nie ma, niestety nie ma, wot gdzieś się zapodziały. Znaczy usunięto je w obróbce fotograficznej. Żeby nie wyszło, że tu ktoś „czasy” kradł wyzwalanym połaciom Europy. „Ciężkie czasy – westchnął Wania zdejmując zegar z wieży kościelnej” – przypomniał mi się przy okazji dowcip stary jak truchło Lenina.

Ale właśnie w tych usuniętych zegarkach z ręki sołdata jest clou do zrozumienia manipulacji. Oto, jak opowiedzieć historię „wyzwalania” spod germańskiego buta, żeby zatrzeć ślady własnych łotrostw i wyjść na gieroja: ot takie zadanie musiał Władimir Władimirowicz postawić przed swymi urzędnikami z ministerstw oraz całym batalionem pancernym usłużnych historyków. Ukryć więc złodziejstwa i rabunki (od małych „zegarków” po dzieła sztuki, fabryki i całe miasta), morderstwa i gwałty, niszczenie dóbr kultury, zamykanie do więzień, gnębienie przesłuchaniami, degenerowanie rodzin. Ukryć tak, jak to zrobiono z zegarkami w Berlinie. Lekki fotomontaż, picu-glancu, tam się wytnie, tu się przytnie i wot, kakaja krasiwaja istoricieskaja opowieść dla tych, co może łykną, a tym bardziej łykną, gdy się to wpasuje w antypolskie nastroje w Brukseli. Jaki tam Katyń! Nawet jeśli był, to „słusznie Stalin zdiełał”, mordując polskich oficerów.

Może spektakl o wdzięcznej nazwie „Oswobożdienije” (po naszemu „wyzwolenie”, ale tylko słownikowo, bo inaczej rozumiemy to słowo) znajdzie chętnych widzów? A jak ktoś tam wygwiżdże, to cóż z tego? Gramy na rympał. Bez finezji. Po co? W końcu i tak możemy jechać przez europejskie salony z naszą, sowiecką wersją historii, jak czołg T-34 przez skład brukselskiej porcelany.

Pysk Baśki



Piotr ***Cywiński***

Siema! O jak dobrze „siema” niedoszły kandydat opozycji w stanie rozbieżnym na prezydenta Owsiak Jerzy. Nawet bardzo dobrze. Kandydatem nie został, bo opozycja się nie dogadała, on sam zresztą też się nie rwał do zasiedlenia pałacu w Warszawie. Gadają ludzie, że ma swój, gdzieś poza, co inni prostują, że to nie jego ten gdzieś, bo to tylko jego ośrodek szkoleniowy, tzn. też nie jego, tylko jego dochodowej orkiestry... – w sumie nieważne, ważne, co siema-Jerzy oznajmił po ostatniej zbiórce: „Przypominacie sobie państwo, rok temu, mnie z plasteliny, kradnącego pieniądze? Właśnie sprawę podaliśmy do sądu”.

Nie pamiętam, że był kradnący, ale skoro sam przypomniał, to portale różne przypomniały o nim też: że o Pielę Baśkę chodzi, kuklarkę-kuglarkę, która sobie drwiła, aż się skończyła, gdy rok temu za jeden z jej filmików w „Minęła 20” wymieciono ją z TVP. Prowadzący Michał Rachoń też przez pewien czas sie-nie-miał, ale znów siema, co widać i słuchać. Tylko Pieli w TVP nie ma. A że Owsiak sam ją przywołał, to mu odpowiedziała poprzez portal Wirtualnemedia.pl, że „prawdziwa cnota krytyk się nie boi”, że jego pozew to „próba wprowadzenia cenzury” i „ścigania satyry” tudzież „uczynienia z satyryków zwykłych przestępców”.

A kto tu mówi, że Owsiak jest dziewicą? Kto w ogóle mówi o cnotach i czynieniu przestępców? W „Uchu Prezesa” kpić można? Można! Twórczyni plastusiów nie rozumie, że zależy kto, z kogo szydzi i kto prowokuje? A „Klątwę” pamięta? Masturbowanie się krzyżem, robienie laski figurze papieża i podcieranie się flagą Watykanu to sztuka, i od niej wara! A gdyby tak, czysto hipotetycznie, i co z góry potępiam, wystawić „Klątwę” z figurą chasyda zamiast papieża, a watykańską flagę zamienić na izraelską, też byłaby sztuka i wara...?! Niech sobie Piela odpowie. A lżenie prezydentowi RP, że „brunatny” itd., nazywanie ministra sprawiedliwości „aferzystą tworzącym system korupcyjny”, to co to jest? No...? Może nie sztuka, ale też wolność słowa i też wara! Skoro Baśka nie pojmuje, na pohybel z Baśką! Żeby na niedoszłego kandydata i bożyszcze koalicji „wylewać g...” – jak skomentował jeden z internautów Wirtualnej – nie godzi się! Co innego Kościół czy Kaczor..., satyra – tak, „okołopisowskie dno moralno-etyczne” z „durną babą z Patolewa Dolnego pod Wypiardowicami”, jak dorzucił drugi pod doniesieniem o pozwie Owsiaka – nie! Trzeba umieć patrzeć! Pewien licealista w swym streszczeniu pogoni Tuhajbejowicza z „Pana Wołodyjowskiego” zauważył: „Gdy Baśka jechała na koniu, to piana leciała jej z pyska”... Siema!

eprasa.pl 3a5bfae0f4

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

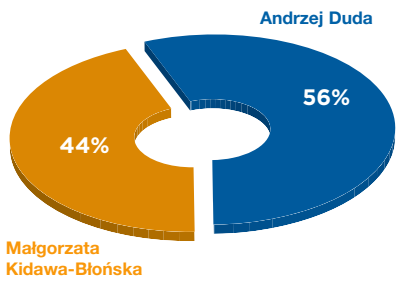
KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

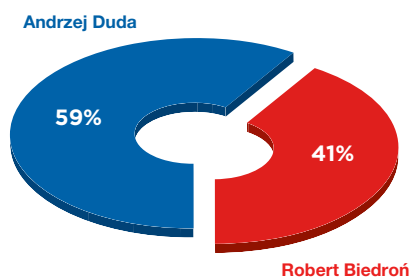
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

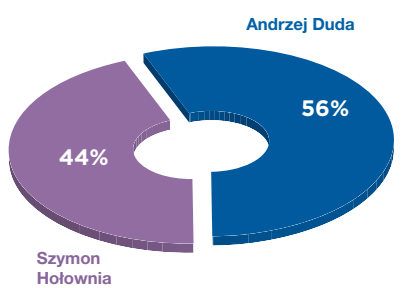
FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR x2, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, PIOTR KAMIONKA/REPORTER X 2, PIOTR NOWAK/PAP, HANNA BARDO/PAP, SHUTTERSTOCK x2

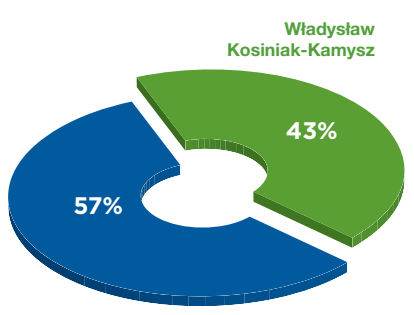
nasz sondaż pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Na którą z poniższych osób oddałaby Pani/ oddałby Pan głos w drugiej turze wyborów prezydenckich?









Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1057.

Zakres czasowy badania 10–14 stycznia 2020 r.

eprasa.pl 3a5bfae0f4



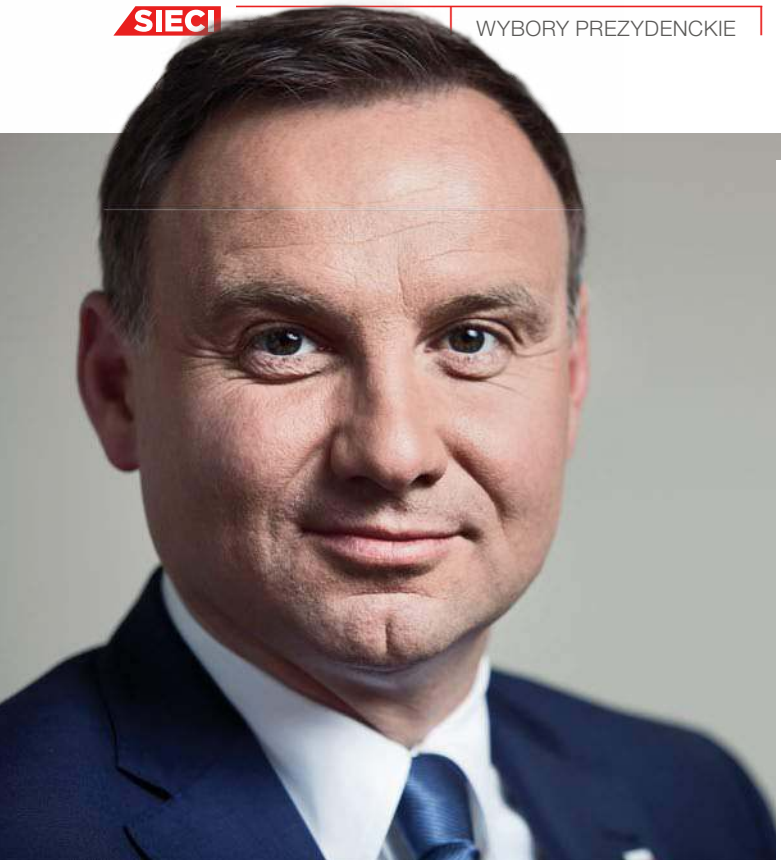
epress.pl 3a5b1de514



Siła złego...

Przed pierwszą turą stworzą pozory współzawodnictwa, ale do drugiej staną już „silni razem". Opozycyjni kandydaci na prezydenta tylko pozornie różnią się od siebie. W kulminacyjnym momencie zewrą szyki, by za wszelką cenę zmienić władzę w Pałacu Prezydenckim. Wykorzystane zostaną wszelkie narzędzia, włącznie z dobrze znanym przemysłem pogardy. Tak będzie wyglądała ta kampania. Bezwzględna, brutalna, wszyscy na jednego. Ta operacja już się zaczęła

eprasa.pl 3a5bfae0f4





MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

115 głosów elektorskich dało Krzysztofowi Bosakowi triumf nad Grzegorzem Braunem i siedmioma innymi uczestnikami prawyborów prezydenckich w Konfederacji, która w ten sposób zdecydowała, że to właśnie niespełna 38-letni narodowiec będzie ją reprezentował w wyścigu o pierwszy urząd w państwie. Tym samym wszystkie partie reprezentowane w parlamencie zadeklarowały już, kto z ich szeregów będzie chciał pobić Andrzeja Dudę. W pierwszej turze przedstawiciele opozycji muszą walczyć między sobą, ale jest jasne, że ostatecznie wszyscy zbiorą się w jedną pięść przeciwko obecnemu prezydentowi. Jest wiele środowisk zainteresowanych tym, „by znów było tak, jak było", a odebrany pałac ma być wraz z większością w Senacie początkiem odwracania dobrej zmiany.

MACZUGA POLEXITU

Jeszcze parę tygodni temu w otoczeniu prezydenta Andrzeja Dudy martwiono się, że nie za bardzo jest o co się spierać na progu kampanii, że brakuje gorących tematów, wokół których można zbudować większe emocje. Dziś już nie ma wątpliwości, że jedną z głównych spraw pozostaną sądy, w sprawie których głowa państwa zajęła zdecydowane stanowisko. „Nie będą nam tutaj w obcych językach narzucali, jaki ustrój mamy mieć w Polsce i jak mają być prowadzone polskie sprawy" – mówił nieco podniesionym głosem prezydent w Zwoleniu o opinii Komisji Weneckiej. Opozycji nie spodobało się, że opowiedział się za suwerennością od zagranicznych wpływów na wewnętrzne sprawy Polski, ale też, że mówił o tym w sposób stanowczy. Rozpoczęło się więc tkanie narracji o agresywnym prezydencie. Jej szczytem był osobliwy klip przygotowany przez Platformę Obywatelską. W niespełna minutę zebrano w nim poszatkowane cytaty z przemówień Andrzeja Dudy. Wyrwano pojedyncze słowa, czasem zupełnie bez kontekstu. Tylko po to, by dorabiać pierwszemu obywatelowi napastliwą gębę. Zbitka wygląda tak:

„Nareszcie wraca normalność./ To nie była zdrowa Polska […] / […] oczyścić do końca nasz polski dom tak, żeby był czysty […] / […] i w tym postkomunistycznym systemie […] / […] taką właśnie skazą podszytą komunistycznym chichotem […] / Nie będą nam tutaj w obcych językach narzucali […] / […] bo to są postkomunistyczne obyczaje […] / Nie wolna, nie suwerenna, nie swobodna […] / […] i powiem, proszę państwa, bardzo mocno […] / Ten stary układ bardzo mocno się trzyma. / […] krzywdząc większość obywateli. / Uzurpują sobie […]/ Niedobrze mi się robi, proszę państwa, kiedy czytam te artykuły w gazetach […] / […] także choroby i gruzy […] / […] takie państwo to nie jest państwo nowoczesne. / Ślady tych skażeń, które powstały wtedy, są do dziś. / […] do tej pory był rozkradany, rozkradany, proszę państwa. / […] Polska nigdy nie będzie państwem sprawiedliwości, nigdy […]".

Sztabowcy PO wyraźnie przestrzelili, bo bez specjalnego ryzyka można postawić tezę, że większość Polaków z diagnozami i stanowiskiem Andrzeja Dudy się zgodzi. I nie przeszkadza im mocny ton głowy państwa.

Prezydent na początku roku obrał bardziej niż dotychczas wyrazisty kurs. W sprawie reformy sądów – jednej z głównych osi debaty publicznej i nadchodzącej kampanii – nie hamletyzuje. Wie, że Polacy czekają na uporządkowanie wymiaru sprawiedliwości i objęcie odpowiedzialnością dyscyplinarną sędziów łamiących prawo czy zasady zawodowej etyki.

Wie też, że nie trafia na podatny grunt straszenie polexitem, do którego ma rzekomo doprowadzić postawa rządu. Co ciekawe, mało kto traktuje ten straszak poważnie. Nawet wspierające KO media. Mimo to realizują one suflowanie Polakom paranoicznych wizji. W niedawnej rozmowie w TVN24 Katarzyna Kolenda-Zaleska, prof. Paweł Śpiewak i Sławomir Sierakowski zgodzili się, że „osią kampanii powinien być polexit" oraz że „to trzeba będzie wykreować". Jeszcze dalej idą w Tok FM, gdzie wiedzą już, iż na groźbę wyprowadzenia Polski z UE nikt rozsądny się nie złapie. Recepta? Wmówić ludziom, że jeśli wygra Andrzej Duda, Zachód zamknie granicę z Polską – postulowali publicyści goszczący w audycji Piotra Kraśki. Mówili śmiertelnie poważnie.

Można mieć wrażenie déjà vu – już to kiedyś przerabialiśmy. W czasie pierwszej kadencji rządów PO-PSL nawet

Fot. Piotr Kamionka/REPORTER, Grzegorz Banaszak/REPORTER, Jan Graczynski/East News, Wojciech Strozyk/REPORTER, Andrzej Skwarczynski, Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3a5bfae0f4

kabarety drwiły z rządowego grożenia, że „jeśli PiS dojdzie do władzy", spadną na nas wszystkie plagi świata. Wraca jeszcze jeden element, obecny przed dekadą i wcześniej – próba odbierania godności prezydentowi, zohydzanie głowy państwa, bazujące na najniższych instynktach.

OD FASZYSTÓW DO MOCZARA

Najbardziej bezpośrednio do tamtej kampanii nienawiści nawiązał reżyser Andrzej Saramonowicz, który zamieścił na Facebooku portretowe zdjęcie wykrzywionej nienaturalnym grymasem twarzy prezydenta zestawione z ziemniakiem. Identycznie jak w okładkowym artykule „Tageszeitung" z czerwca 2006 r. w niewybredny sposób atakującym śp. Lecha Kaczyńskiego.

„Autorytety" przychodzą opozycji z pomocą, bo mogą sobie pozwolić na więcej niż politycy, którzy z tego typu porównań by się nie wytłumaczyli.

Jeden z twórców III RP Leszek Balcerowicz w przepełnionym żółcią wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" twierdzi, że zachowanie Andrzeja Dudy zwiększa ryzyko... zamachów na sędziów. Bo prezydent rzekomo używa „języka Gomułki i Moczara".

Gruszek w popiele nie zasypiają w TVN24. W ramach odwetu za postawę prezydenta w sprawie sądów sięgnięto po prof. Jana Zimmermanna, promotora pracy doktorskiej Andrzeja Dudy, znanego z krytyki głowy państwa. „Zaczął atakować ludzi, wkraczać w teren zostawiony normom etycznym, już nie tylko prawnym, naruszać te normy etyczne. Obraża sędziów, obraża profesorów, obraża przedstawicieli Unii Europejskiej, którzy przyjeżdżają do Polski z dobrą wolą. Używa słów, które są moim zdaniem niedopuszczalne w ustach prezydenta Rzeczypospolitej".

Jacek Jekiel, dyrektor szczecińskiej Opery na Zamku i wiceprezes Stowarzyszenia Polskich Dyrektorów Teatrów, zamieścił na Twitterze film zestawiający fragment przemówienia Benito Mussoliniego ze słowami prezydenta o „obcych językach". Tak bezpośrednich, podpisanych przez osoby publiczne, porównań do faszystowskich dyktatorów jeszcze nie było.

Tego typu zniewagi są oczywiście obecne na anonimowych kontach w mediach społecznościowych (zwykle osób deklarujących walkę o wolność słowa, demokrację). Ale też w publicystyce – padają zarzuty używania przez prezydenta „języka faszystowskiego" czy „parafaszystowskiego" („Kultura Liberalna") w odniesieniu do prezydenckiego cytatu na temat czarnych owiec w wymiarze sprawiedliwości: „Tak jak udało się kiedyś pokonać komunę, tak samo wierzę, że uda się oczyścić do końca nasz polski dom". Kierujący „Gazetą Wyborczą" Jarosław Kurski skomentował je zaś następująco: „Pogromowy język, moczarowski styl, gomułkowska mentalność". Jednak mało który z hejterów przyjmuje do wiadomości, że słowa prezydenta były nawiązaniem do „Kwiatów polskich" Juliana Tuwima, poety o żydowskim pochodzeniu.

To precyzyjnie budowana atmosfera wykluczenia, nienawiści, obrzydzenia. Pielęgnuje ją także kierujący kiedyś „partią miłości" Donald Tusk. „Wyprowadzają Polskę z Unii, niszczą sądy, by bezkarnie kraść, szczują jednych Polaków przeciw drugim. Głosujesz na nich? Masz prawo. Ale nie masz prawa dłużej udawać, że tego nie widzisz. Bo widzisz".

Efekt? Nawet zobligowani do zachowania zupełnej apolityczności sędziowie pozwalają sobie na takie wycieczki, jaką popełnił Jarosław Ochocki z Sądu Okręgowego z Poznaniu: „Panie Duda! Piszę to z całą odpowiedzialnością. Jest pan złym człowiekiem, marnym prezydentem, ziejącym nienawiścią w imię swoich doraźnych i partyjnych, politycznych celów. Szkodzi pan Polsce!".

Spirala się nakręca, Ochocki już znalazł naśladowców. A kampania nawet jeszcze nie wystartowała.

JAKIE SZANSE DZIŚ

Analitycy z lubością wspominają drogę do wyborów z 2015 r. i zaskoczenie, jakim było roztrwonienie przez ówczesnego prezydenta przewagi nad kandydatem Andrzejem Dudą. 13 stycznia 2015 r. „Polityka" z satysfakcją odnotowywała, że „Bronisław Komorowski nie ma dziś poważnej konkurencji", podając badanie Millward Brown dla TVN: Komorowski – 65 proc., Duda – 21 proc. „Początek kampanii kandydata PiS krytykowali powszechnie sprzyjający PiS publicyści za ślamazarność i chaos organizacyjny. Teraz okazuje się, że opinia publiczna oceniła wysiłki Dudy równie surowo" – czytaliśmy w tym tygodniku. Miesiąc później w „Rzeczpospolitej" ukazał się sondaż nieco lepszy dla ostatecznego zwycięzcy (Komorowski – 55 proc.,

Panu

prof. Leonowi Kieresowi

Sędziemu Trybunału Konstytucyjnego

wyrazy współczucia

z powodu śmierci

MATKI
HELENY KIERES

składa

Prezes Trybunału Konstytucyjnego

Julia Przyłębska

wraz z sędziami i pracownikami Trybunału

55/0120/F

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Duda – 25 proc.), ale w analizie czytamy o tym, że „kandydat PiS słabo odrabia dystans", a w sztabie panuje radość, że dystansu też nie traci.

Te porównania, dzisiaj wywołujące uśmiech, są podstawą do spekulacji na temat wyników kampanii 2020. Politycy mają tę rzadką umiejętność interpretowania dosłownie wszystkiego na własną korzyść, dlatego nie dziwimy się, że wśród przeciwników Andrzeja Dudy nikt dziś już nie docenia jego kampanii i triumfu. Słyszymy za to, że „jeśli jemu się udało, to i Małgosia da radę", bo to słowa polityka z otoczenia marszałek Kidawy-Błońskiej. – Poza tym nasza kandydatka startuje z o wiele lepszej pozycji niż prezydent Duda w 2015 r. – mówi jeden z posłów Platformy.

Spójrzmy więc na dzisiejsze notowania. Jak wynika z badania pracowni Social Changes dla portalu wPolityce.pl, Andrzej Duda zwiększa przewagę nad rywalami w hipotetycznej drugiej turze. Obecny prezydent pokonałby najbardziej prawdopodobnego rywala – czyli Małgorzatę Kidawę-Błońską (Koalicja Obywatelska) – w stosunku 56 do 44 proc. Oznacza to, że Duda poprawił swoją pozycję w porównaniu z badaniem sprzed tygodnia (52 do 48 proc.).

W identycznym stosunku Andrzej Duda wygrałby również z zajmującym trzecie miejsce w niektórych sondażach Szymonem Hołownią (kandydat niepartyjny). W poprzedniej fali tych badań przewaga obecnego prezydenta była mniejsza, wynosiła wówczas 4 proc. (52 proc. do 48 proc.).

Kandydat Koalicji Polskiej PSL-Kukiz'15 Władysław Kosiniak-Kamysz w drugiej turze wypada słabiej niż jego konkurenci z opozycji. W obecnej edycji naszego badania przegrywa z Andrzejem Dudą bardzo wyraźnie, zdobywając w drugiej turze jedynie 43 proc. głosów. Tydzień temu odnotował lepszy rezultat – 46 proc.

Jeszcze mniejsze szanse na wygranie z Andrzejem Dudą ma świeżo ogłoszony kandydat Lewicy, czyli Robert Biedroń; w drugiej turze zdobyłby jedynie 41 proc. głosów. To jego debiut w naszym badaniu, które przeprowadzono jeszcze przed wyborem Krzysztofa Bosaka na reprezentanta Konfederacji.

Wspomniany 2015 r. pokazuje, że wszelkie sondaże należy traktować z ograniczonym zaufaniem, ale są ośrodki, które traktują je nie jako odzwierciedlenie nastrojów, tylko – mówiąc wprost – jako narzędzie wpływania na wyborców. Tydzień temu w telewizji WP pokazano badanie pracowni IBSP (Instytut Badania Spraw Publicznych), w którym w pierwszej turze Andrzej Duda ma dużą przewagę nad konkurentami, ale nie na tyle, by zwyciężyć bez dogrywki. W niej zaś obecny prezydent miałby mieć poparcie 50,09 proc., a jego kontrkandydatka Małgorzata Kidawa-Błońska 49,91 proc. Różnica minimalna, to samo w sobie zaskakujące, ale warto zwrócić uwagę, jak przedstawiały to gazety. Eksponowano mniejszy wynik kandydatki opozycji większymi cyframi, dodając jej uśmiechnięty wizerunek. Duda, mimo przewagi, był na grafice mniejszy i z zaciętym wyrazem twarzy. Klasyka manipulacji.

> W tej kampanii wraca jeszcze jeden element, obecny przed dekadą i wcześniej – próba odbierania godności prezydentowi, zohydzanie głowy państwa, bazujące na najniższych instynktach

PEWNA SWEGO

Opisany powyżej sondaż to tylko pojedynczy przypadek, ale pokazujący, jak duże jest parcie na promocję Kidawy-Błońskiej. To prawda, że stoi za nią największa partia opozycyjna, ale nawet to nie oznacza przecież, że wicemarszałek Sejmu automatycznie staje się wspólną kandydatką całej opozycji. To był plan odchodzącego szefa Platformy Grzegorza Schetyny, ucieczka do przodu, by przykryć przykry efekt rozczarowania po kolejnych przegranych wyborach. I jako obietnica pani marszałek nieco napędziła stracha współpracownikom Andrzeja Dudy. W pałacu szeptano, że z nią może być najtrudniejsza przeprawa, bo jak elegancki prezydent ma atakować w kampanii kobietę? Szybko jednak prysł czar posągowej Małgorzaty, porównywanej do Sophii Loren damy, którą, jak się okazuje, znaliśmy bardzo słabo. Rola prowadzącej obrady Sejmu okazała się szczytem jej możliwości, każde przemówienie prekampanijne to już czytanie z promptera i bardzo nienaturalne kwestie wypowiadane bez wrodzonego poczucia humoru. Ale nie to jest w tym wszystkim najbardziej kompromitujące dla przedstawicielki Koalicji Obywatelskiej.

Kandydat na prezydenta, a więc także zwierzchnika sił zbrojnych, powinien mieć jednak większą wyobraźnię na temat bezpieczeństwa i geopolitycznych gierek prowadzonych przez nieprzyjaciół Polski. Tymczasem Kidawa-Błońska – rytualnie krytykując politycznego rywala – uznała, że należy Andrzeja Dudę wepchnąć w scenariusz napisany w Moskwie. Bo jak inaczej odebrać krytykę odmowy wyjazdu prezydenta do Jerozolimy na alternatywne obchody wyzwolenia obozu w Auschwitz, zorganizowane przez Mosze Kantora, przyjaciela Władimira Putina? „Ja zawsze bardzo cenię dialog i możliwość pokazywania polskiej racji stanu i polskiego stanowiska, ale to jest decyzja prezydenta" – mówiła, sugerując, że polski przywódca mimo wszystko powinien tam się znaleźć. Zupełnie bez refleksji, że odmówiono Dudzie możliwości zabrania głosu. O jakim więc dialogu mówimy?

Zabawna w kontekście dialogu wydaje się też informacja, że Kidawa-Błońska już zapowiedziała, że nie weźmie udziału w debacie przed pierwszą turą wyborów. „Sens mają tylko debaty jeden na jeden" – powiedziała pewna tego, że do drugiej tury wejdzie właśnie ona. Jej otoczenie jest o tym tak przekonane, że już przeszło do fazy atakowania Andrzeja Dudy, co wydaje się koniecznością dopiero w finalnej roz-

eprasa.pl 3a5bfae0f4

grywce. Tomasz Siemoniak: „[...] coraz wyraźniej ludzie widzą różnicę między Andrzejem Dudą, człowiekiem, który jest podległy całkowicie swojej partii politycznej, który buduje przekaz na agresji i krzyku, i Małgorzatą Kidawą-Błońską, osobą samodzielną, która mówi wyraźnie: »współpraca, a nie kłótnie«". W tym samym tonie wypowiada się Bartosz Arłukowicz, także członek sztabu kandydatki KO: „Prezydent państwa musi być żywym, prawdziwym człowiekiem. Nie może być cyborgiem, nie może być maszyną, nie może być marionetką". Po doborze współpracowników można domniemywać, że ta kampania będzie prowadzona naprawdę nieczysto. Poza wymienionymi jedną z głównych ról ma grać w tej orkiestrze także Radosław Sikorski, który nie porzucił chyba planu „dorzynania watahy".

JAK JEDNA PIĘŚĆ

Dobór współpracowników może o kandydacie powiedzieć zresztą więcej niż jakiekolwiek słowne deklaracje. Szymon Hołownia najpierw zdradził, że w sprawach gospodarczych ma mu doradzać Piotr Kuczyński, a potem na Twitterze napisał: „Gen. Różański będzie koordynował prace mojego zespołu ds. bezpieczeństwa narodowego i zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi, w jego skład wejdą też inni generałowie, admirałowie, dyplomaci, specjaliści od cyberzagrożeń. Panie Generale, jestem dumny, że mogę z Panem pracować".

„Ustanowienie pana generała jako doradcy Hołowni jest dowodem, że to jest inne wydanie, ale tego samego układu, który przez osiem lat Polską rządził, a można powiedzieć, że z małymi wyjątkami rządził od roku 1989" – powiedział szef MON i wiceprezes PiS Mariusz Błaszczak w telewizji wPolsce.pl.

A przecież Hołownia przebojem wtargnął do prezydenckiego wyścigu, prezentując się jako siła niepolityczna, spoza układu, ktoś, kto nieznośny układ byłby wręcz w stanie skruszyć. A gdy przyszło co do czego, pokazał prawdziwe intencje, biorąc na pokład m.in. byłego dowódcę rodzajów sił zbrojnych, który obecnie zajmuje się krytykowaniem poczynań MON pod rządami PiS. Sam zaś był zdecydowanym przeciwnikiem utworzenia stałych baz NATO w Polsce, a jest to przecież fundament doktryny bezpieczeństwa Polski forsowanej przez Andrzeja Dudę. Czy to będzie przyczółek do ostrzału obecnego prezydenta? Zdecydowanie tak.

Najbardziej „rozsądny" i „koncyliacyjny" z całego grona prezydenckich kandydatów chce być Władysław Kosiniak-Kamysz, który zyskuje w sondażach po dosyć zgrabnym wyjściu z sojuszu ze Schetyną i wchłonięciu kukizowców. Na marginesie: to dobre pytanie, gdzie jest dziś Paweł Kukiz, którego wynik prezydencki z 2015 r. wielu naprawdę zaskoczył i wystarczył do zbudowania dosyć prężnego ruchu?

Lider PSL do znudzenia opowiada o zgodzie i konieczności pojednania, wciąż słyszymy od niego propozycje organizowania „okrągłych stołów" i zespołów do spraw tego i owego. I to można zrozumieć, ale i ten kandydat postanowił dołączyć do frontu atakujących Andrzeja Dudę. Jednak ta krytyka jest taka, jak i sam Kosiniak-Kamysz, mało wyrazista. Opinia publiczna najlepiej może zapamiętać, że prezesowi PSL najbardziej nie podoba się w prezydenturze Dudy to, że ten „pokrzykuje na ludzi". Niewiele. A poza tym to mało oryginalny zarzut. W tej kwestii być może podpisze się nawet pod opisanymi wyżej pomysłami sztabowców PO.

Retorykę wojenną nadchodzącym wyborom próbuje narzucić także Lewica. Wydawałoby się, że największym problemem Roberta Biedronia będzie osiągnięcie wyniku, którego nie trzeba by uznać za kompromitację, a jednak wspierający kolegę szef SLD zapowiada buńczucznie atak na... obecnego prezydenta: „Wchodzimy do drugiej tury i roznosimy Dudę na kawałki. A za trzy i pół roku będziemy rządzili" – grzmiał ze sceny Włodzimierz Czarzasty. Ktoś powie, że to wiecowa euforia, która musi być przerysowana. Może i tak, ale przecież za słowa o konieczności „eliminowania" nieuczciwych sędziów Duda był atakowany z każdej strony. Jak więc potraktować „rozniesienie na kawałki"?

Jak Andrzej Duda ma się przed tym bronić? Czy w ogóle się przejmować? Nie może przecież powiedzieć, że nie ma z kim przegrać, bo wtedy zgrzeszyłby pychą godną ukarania. Historia, i to nie bardzo odległa, zna takie przypadki. Portal wPolityce.pl poinformował, że jego sztabem pokierują znów Beata Szydło i Joachim Brudziński. To jasne nawiązanie do 2015 r., gdy drużyna w tym składzie okazała się zwycięska, choć mało kto na nią stawiał. Przede wszystkim dlatego, że bez względu na sondaże i ataki przeciwników robiła swoje. A któż nie lubi powtarzać zagrywek, które kiedyś się udały.



19 stycznia 2020 roku odszedł od nas

ŚP.
GRZEGORZ JĘDREJEK

profesor, sędzia Trybunału Konstytucyjnego,
członek Państwowej Komisji Wyborczej,
wybitny prawnik, wspaniały człowiek,
niezłomny sędzia, przyjaciel.

Pokój Jego duszy!

Wyrazy najgłębszego współczucia
rodzinie i bliskim zmarłego

składają

sędziowie Trybunału Konstytucyjnego

51/0120/F

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Ujawnił, że cierpi na chorobę alkoholową, i oświadczył, że prokuratura nie zamknie mu ust. Kamil Durczok, który zasłynął ostatnio serią skandali, po miesiącach milczenia zabrał głos i znów szokuje

Happy endu nie będzie



MAJA NARBUTT

Nieoczekiwana aktywność Durczoka w mediach społecznościowych, jego gwałtowne potyczki z internautami, przykuły uwagę. Specjaliści od marketingu i PR zastanawiają się teraz, co oznacza ten fatalny i niespójny przekaz byłej telewizyjnej gwiazdy.

– Nie można oczekiwać konsekwencji od kogoś, kto cierpi na długotrwałą chorobę alkoholową. Chwiejność emocjonalna, zmienne nastroje, uleganie impulsom, to oczywiste symptomy – mówi mi Robert Rutkowski, znany warszawski terapeuta uzależnień.

Brzmi to wręcz okrutnie. Jednak z zaskoczeniem odkrywam, że podczas gdy specjaliści od marketingu i PR głowią się, jaką to dziwną taktykę obrał Kamil Durczok, terapeuci uważają, że sprawa jest

eprasa.pl 3a5bfae0f4



prosta. Osoby z chorobą alkoholową zwykle użalają się nad sobą i skarżą na wrogi świat, szukając w nim przyczyn swoich niepowodzeń. Durczok za swoje klęski wini więc złą prokuraturę, chciwe banki i zbyt krytycznych internautów.

– Ujawnienie publicznie, że cierpi się na chorobę alkoholową, nie jest też wcale dowodem siły, jak sądzą niektórzy. Ja odbieram to jako krzyk rozpaczy, silni sami zmagają się z tym problemem. Jeśli Durczok zrobił to poprzez media społecznościowe, to potraktował internautów jak grupę wsparcia. W takim wypadku musi się liczyć z tym, że otrzyma nie tylko głaski i pochwały, lecz także ostre słowa – mówi Robert Rutkowski.

Można uznać, że nieoczekiwana aktywność Durczoka w mediach społecznościowych, po której znów zamilkł i usunął się w cień, wynika z nieradzenia sobie z emocjami.

Jego sytuacja jest rzeczywiście trudna. Czekają go dwie sprawy sądowe – jedna za jazdę po pijanemu, druga związana ze sfałszowaniem przez niego podpisu żony na wekslu zabezpieczającym wielomilionowy kredyt bankowy. Wyszło to na jaw, gdy bank zwrócił się do niej o zwrot kredytu, o którym nie miała pojęcia.

Ale nie jest też wykluczona inna, dość zaskakująca hipoteza. Ujawniając chorobę alkoholową, Durczok może przygotowywać grunt pod swoją linię obrony.

NIE KOPAĆ LEŻĄCEGO

– Niechętnie wypowiadam się w tej sprawie, bo nie chcę kopać leżącego. Powiem tylko, że minimalny wymiar kary, jaką zagrożone jest sfałszowanie weksla, to pięć lat. Teoretycznie można uznać, że sąd mógłby zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary, ale absolutnie nie widzę żadnych przesłanek – mówi mi prof. Piotr Kruszyński, adwokat i karnista z UW.

Przychodzi mu do głowy tylko jeden hipotetyczny powód, dla którego można by rozważać złagodzenie kary – przewlekła choroba alkoholowa. Jeśli oczywiście miałaby ona skutkować ograniczoną poczytalnością.

Wydaje się to jednak niemożliwe. Oznaczałoby bowiem, że Kamil Durczok, już dziesięć lat temu, fałszując na wystawianym wekslu podpis żony, miał ograniczoną poczytalność. A przecież właśnie wtedy był szefem ważnego programu informacyjnego TVN, czyli „Faktów".

Jak dotąd sąd okazał się dla dziennikarza łaskawy, bo jak przyznaje prof. Kruszyński, w podobnych wypadkach z reguły stosowany jest areszt, który Durczoka jakoś ominął.

Ta łaskawość sądu zaskoczyła też prokuraturę. „Zastosowano immunitet celebryty" – zagrzmiała w oficjalnym oświadczeniu rzecznik prowadzącej śledztwo Prokuratury Regionalnej w Katowicach.

To, co zrobił Durczok, podrabiając podpis żony na wekslu zabezpieczającym kredyt zaciągnięty w banku, przez prawo traktowane jest śmiertelnie poważnie. Dla instytucji państwa jest bowiem równie niebezpieczne jak fałszowanie pieniędzy. Określa się je mianem zbrodni finansowej, a maksymalna kara – której wysokość nie chciała przejść prof. Kruszyńskiemu przez usta – to nawet 25 lat.

Opinię publiczną znacznie bardziej bulwersuje inna skandaliczna sprawa, która kompromituje Durczoka – pijacki rajd sportowym BMW, którym w lipcu ub.r. przejechał prawie 400 km, wracając znad morza do Katowic. Kiedy pod Piotrkowem Trybunalskim wpadł na pachołki oddzielające pasy ruchu, okazało się, że w wydychanym powietrzu ma ponad 2,6 promila alkoholu.

Podobne sprawy działają na wyobraźnię. Jednak prawnicy, z którymi rozmawiałam, uważają, że w tym wypadku Kamil Durczok wywinie się karą w zawieszeniu albo grzywną.

Takiej możliwości nie ma w przypadku sfałszowania weksla.

Durczoka czeka nieprzyjemna batalia sądowa. W pewien sposób powinien być do niej przygotowany – kilka ostatnich lat upłynęło mu bowiem na procesach z tygodnikiem „Wprost".

To właśnie „Wprost" zadał medialnej karierze Kamila Durczoka morderczy cios. Ściśle rzecz biorąc, trzy ciosy, bo tyle było szokujących okładkowych artykułów poświęconych ówczesnemu szefowi „Faktów".

Już pierwszy był mocny – na podstawie anonimowych relacji opisano przypadki molestowania w jednej ze stacji telewizyjnych. Nazwisko Durczoka jeszcze w nim nie pada. Drugi cios był nokautujący – ujawniono, że chodzi właśnie o Durczoka. A trzeci, jak uważa wielu, był faulem – obnażono bowiem prywatne życie dziennikarza i jego znajomej, opisując wynajmowane przez nią mieszkanie, znajdujące się tam seksualne gadżety i torebki z pozostałościami białego proszku.

– Mojego klienta skazano na infamię, został wykluczony towarzysko, zalała go fala hejtu – opowiadał mi wówczas reprezentujący Durczoka mecenas Jacek Dubois. Żądał rekordowego odszkodowania, wydawcy tygodnika mieli zostać praktycznie zniszczeni.

Jednak sąd uznał, że ustalenia wewnętrznej komisji TVN, która potwierdziła przypadki mobbingu i zachowań mających cechy molestowania oraz doprowadziła do odejścia ze stacji Durczoka, potwierdzają tezy dwóch pierwszych artykułów. Za trzeci tekst dziennikarze musieli przeprosić, zasądzono też odszkodowanie, choć znacznie mniejsze niż domagał się Durczok.

– Podczas procesu sprawiał wrażenie zupełnie rozluźnionego, przynajmniej na korytarzu sądowym. Na sali demonstrował już emocje, miałem wrażenie, że je odgrywa – opowiada mi Michał Majewski, który razem z Sylwestrem Latkowskim pisał tamte teksty.

Sytuacja Durczoka jest już jednak znacznie mniej komfortowa – wtedy to on chciał dopaść i zniszczyć swoich prześladowców, którzy wywołali aferę nazywaną durczokgate.

Teraz to on jest ściganym, przeciwko któremu prokuratura wytoczy ciężkie działa.

POD JEDWABNĄ KOŁDERKĄ

– Nie chcę komentować, czy Kamil Durczok ma szansę na wyjście z kryzysu wizerunkowego. Byłoby to nieetyczne, biorąc pod uwagę, że jest naszym byłym klientem – mówi mi Monika Janowska-Mleczko z agencji Point of View.

Ta powściągliwość trochę dziwi, jeśli weźmie się po uwagę, że cztery lata temu jej agencja PR zachowywała się inaczej. Kiedy Durczok desperacko walczył o zminimalizowanie fatalnych skutków publikacji „Wprost", ujawniła nie tylko, że została wynajęta, ale nawet jakie działania podjęła.

Strategia była dość prosta: dziennikarz oświadczył, że jest w separacji ze swoją żoną, co sprawiło, że opinia publiczna

Fot. Hanna Bardo / PAP

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Fot. Bartosz Krupa / Eeast News

znacznie łagodniej potraktowała wszelkie wątki obyczajowe. Udzielił tylko jednego wywiadu Tok FM, podkreślając, że jest „facetem zdemolowanym psychicznie".

Po wyjściu ze studia zresztą zasłabł i trafił do szpitala, co oczywiście musiało budzić współczucie.

Teraz sytuacja jest z punktu widzenia PR zdecydowanie trudniejsza. Nie można już mnożyć wątpliwości, czy Durczok jest winny przypisywanych mu czynów ani oburzać się, że odziera się go z prywatności. Sprawa jest prosta: bez wątpienia prowadził samochód, mając we krwi ponad 2,6 promila alkoholu, i także bez wątpienia fałszował weksle.

– Przy kłopotach, w jakie wpakował się Durczok, potrzebny jest dobry prawnik i dobry lekarz. Sprawy wizerunkowe? Są w tej sytuacji drugorzędne. Wizerunek tworzy się w konkretnym celu, a czy jest on w stanie taki wyznaczyć? Powiedziałam kiedyś przy okazji innej afery, że nie da się jedwabną kołderką przykryć g... A specjaliści od PR nie są cudotwórcami i nie wymażą gumką myszką faktów – mówi mi Anna Garwolińska, szef agencji Glaubicz Garwolińska Consultants, specjalizującej się w PR kryzysowym i korporacyjnym.

Podkreśla też, że nawet najlepsi specjaliści PR nie zdołają przekonać wszystkich, że ktoś z chorobą alkoholową może być równocześnie godnym zaufania profesjonalistą, w którego bezstresowo może zainwestować kolejna stacja telewizyjna.

Przekonanie, że Kamil Durczok znalazł się w sytuacji, w której troska o reputację jest najmniejszym z jego kłopotów, jest w kręgu profesjonalistów od wizerunku dość powszechne.

– To, co się z nim dzieje, nie jest serią pojedynczych, niezwiązanych ze sobą fatalnych incydentów. Można mówić o efekcie kuli śniegowej, która toczy się z coraz większą szybkością w dół. Historia upadku Kamila Durczoka stanowi case study, akademicki przypadek, który będę omawiał ze swoimi studentami – mówi mi Wiesław Gałązka, doradca wizerunkowy i wykładowca.

Jak uważa, najnowsze kłopoty Durczoka nie będą budziły współczucia: potępienie dla jazdy po pijanemu jest powszechne, a zwykły Kowalski z zasady z satysfakcją przyjmuje kłopoty ludzi, którzy byli na świeczniku.

Ujawnienie przez Durczoka, że zmaga się z chorobą alkoholową, też może przynieść skutki inne, niż mógłby oczekiwać. Zwłaszcza że podkreślił przy tej okazji, że od czterech miesięcy zachowuje abstynencję.

– Jego zmagania będzie teraz bacznie obserwować spore grono osób, zastanawiając się, czy na pewno wytrwa w trzeźwości. W pewien sposób przypomina to historię Tomasza Sekielskiego, który poinformował o swym drastycznym odchudzaniu. Tyle że w wypadku powrotu do picia, w przeciwieństwie do zjedzenia ciastka, konsekwencje będą znaczne poważniejsze. Zwłaszcza gdy np. znów siądzie się po alkoholu za kierownicę auta – uważa Anna Garwolińska.

ZŁY PROGNOSTYK

Durczok nie znosi porażek i nie potrafi zaakceptować niepowodzeń. Ostatnia jego medialna aktywność jest fatalnym prognostykiem na przyszłość.

Po durczokgate wrócił na Śląsk. Tu nikt nie zadawał mu niewygodnych pytań. Przyjęto go ciepło, uświetniał rozmaite gale i kongresy. Był nadal tym Kamilem, który wychował się w Kostuchnie, dzielnicy familoków na obrzeżach Katowic, zaczął od pracy w akademickiej rozgłośni radiowej i błyskawicznie zrobił zawrotną telewizyjną karierę.

W sposób naturalny Śląsk miał być więc trampoliną, z której się odbije i wróci na szczyt. Rozmach, z jakim Durczok przystąpił do swej medialnej reaktywacji, oszołomił wielu.

– Zaczął z przytupem. Olbrzymi bilbord z jego twarzą w centrum Katowic. Dziennikarze podkupywani w innych redakcjach. Musiał im płacić duże pieniądze, skoro rzucali etaty w renomowanym „Dzienniku Zachodnim" i szli do zakładanego przez niego internetowego portalu – opowiada znany śląski dziennikarz.

Wszystko miało być najlepsze, najnowocześniejsze technicznie, nie żałowano środków na prestiżową siedzibę portalu.

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Dziennikarzom dano do dyspozycji iPhone'y, drony i świetne komputery.

Ale szybko stało się jasne, że nie przekłada się to na jakość samego portalu Silesion ani prezentowane tam treści. Ten rozmach pokazywał jedynie ego Durczoka, który zachowywał się, jakby nadal działał w skali całego kraju, a nie lokalnie.

Jednak, mimo zaangażowanych olbrzymich środków, przez dwa i pół roku działania portalu nie udało się przebić z własnym śledczym materiałem do mediów centralnych. Degradował się coraz bardziej, aż nie różnił się od lokalnych, skromnych portali informujących o wypadkach i dziurach na drodze.

Ta historia pokazuje też, że Durczok odnosił sukcesy, wtedy gdy – jak w TVN – pracował na niego sztab ludzi. Ale kiedy sukces medialnego przedsięwzięcia zależał głównie od niego, efekty były znacznie gorsze.

Koniec Silesionu był żenujący. Pojawiły się informacje o niezapłaconych fakturach i niemal z dnia na dzień portal zniknął z internetowej przestrzeni. Durczok nie pożegnał nawet czytelników, niczego nie wyjaśnił. Tak jakby nie umiał publicznie przyznać się do porażki.

Rynek boleśnie zweryfikował więc biznesowe kompetencje Durczoka, tak samo jak wcześniej zweryfikowali go widzowie Polsatu News, dokąd dziennikarz trafił po odejściu z TVN. Z odcinka na odcinek oglądalność „Durczokracji" spadała, w końcu stacja nie przedłużyła z nim umowy.

Historia portalu Silesion ma też swoje obyczajowe tło. Nieoczekiwanie Durczok zaczął gościć w plotkarskich rubrykach, wszystko za sprawą wrzucanych przez niego na Instagram romantycznych zdjęć ze swoją zastępczynią. Eksponowane w internecie love story przyjmowano na Śląsku bez zachwytu, wydawało się dalekie od tradycyjnych śląskich wartości.

Jeśli ktoś się łudził, że po durczokgate, kiedy żona dziennikarza Marianna Dufek-Durczok lojalnie stanęła przy jego boku, bohater niedawnego skandalu się ustatkuje, szybko stracił złudzenia.

– Gdyby Marianna wiedziała o nim to, co wiadomo teraz, zapewne zachowałaby się wtedy inaczej. Chyba uważa, że od dłuższego czasu właściwe już go nie znała. Myśli o nim jako o kimś, kto zniszczył sobie życie we wszystkich aspektach – mówi mi jedna z jej znajomych.

Sama Marianna Durczok jeszcze przez trzy lata nie będzie mogła się wypowiadać na temat byłego męża. Tak stanowi umowa, którą zawarła z nim przy rozwodzie. Jak pisze mi w e-mailu, gdyby nawet nie było umowy, to i tak pewnie nic by nie mówiła. Po pierwsze, nie ma w tym żadnego interesu, bo takie wynurzenia zawsze szkodzą. Po drugie, wypowiadanie się o chorym człowieku, który ujawnił zresztą chorobę, nie jest etyczne.

BEZ SENTYMENTÓW

– Kiedy w grę wchodzą pieniądze, a tak jest w wypadku mediów, nie ma sentymentów. Nikt też nie chce kłopotów. Kto zaryzykuje powierzenie prowadzenia stałego programu telewizyjnego alkoholikowi, na pierwszym etapie leczenia choroby? Może przecież nie wytrzymać presji, złamać abstynencję i zawalić nagranie? – pyta Anna Garwolińska z Glaubicz Garwolińska Consultants.

Specjaliści od marketingu i PR są bezlitośnie szczerzy: szanse, by Kamil Durczok mógł wrócić tam, gdzie czuł się najlepiej, czyli do wielkiej stacji telewizyjnej, są znikome.

Kiedy pytam, jak właściwie ma wyglądać dalsza kariera Durczoka, rozkładają ręce lub przedstawiają scenariusze, które wyglądają jak science fiction.

Garwolińska uważa, że dziennikarz powinien usunąć się w cień i zacząć pisać pod pseudonimem. – Jako kompletnie nieznana osoba mógłby publikować błyskotliwe, wybitne teksty, ciekawe felietony, może wnikliwe analizy. A po kilku latach, powiedzmy po trzech, zdradziłby, że autorem tych tekstów jest właśnie on, Kamil Durczok. Ale to tylko pomysł, a nie strategia czy porada – mówi.

Słabą stroną pomysłu jest to, że nic nie wskazuje, że Durczok ma potencjał, który pozwalałby mu na tworzenie takich tekstów. Jego medialny fenomen polegał na zupełnie czymś innym, pewnej charyzmie telewizyjnej, która sprawiała, że widzowie mieli ochotę go oglądać, nawet gdy czytał teksty z promptera.

Inną sugestię ma specjalista od wizerunku Wiesław Gałązka. – Mógłby pójść szlakiem przetartym przez tych, którym coś się w Polsce nie udało i poszukali szczęścia za wschodnią granicą. Tam jego umiejętności mogłyby zostać docenione, a pewne problemy byłby mniej rażące – mówi.

Ale ten pomysł także ma zasadniczą wadę – przykład portalu Silesion pokazuje, że biznesowa i menedżerska wiedza Durczoka ma spore braki.

Przez pewien czas, po odejściu z TVN, Durczok dość nieoczekiwanie wypłynął jako ekspert od budowy wizerunku. Szkolenia „Budowa wizerunku z Kamilem Durczokiem" były reklamowane nawet na stronie firmowanej przez państwową Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości. Zrobiło się o nich głośno po pijanym rajdzie Durczoka na autostradzie A1.

Prezes śląskiej firmy Heksagon, która organizowała szkolenia, mówiła wówczas, że jeden błąd nie może przekreślić człowieka i jest zainteresowana dalszą współpracą. Jednak dziś jest znacznie bardziej powściągliwa. – Nie było żadnych reklamacji. Przedsiębiorcy, którzy brali udział w szkoleniu, nie żądali zwrotu pieniędzy – mówi mi Magdalena Balcerzak.

Pomysł, że Durczok mógłby prowadzić szkolenia o budowie wizerunku i zaufania do firmy, wydaje się karkołomny. Był zresztą dziwny od początku, bo przecież sam Durczok w momencie kryzysu wizerunkowego po publikacjach „Wprost" zwrócił się o pomoc do profesjonalnej firmy.

– Jedyną szansą dla Durczoka może być to, że wyciągnie wnioski z ostatnich wydarzeń. Nieubłaganie przesunął się z kategorii poważnych dziennikarzy do kategorii skandalistów. Może więc jechać po bandzie, szokować, znaleźć nowe audytorium i swoją niszę – mówi jeden z moich rozmówców.

Trudno jednak wyobrazić sobie sytuację, w której były wieloletni szef „Faktów", a wcześniej „Wiadomości" TVP – czyli kiedyś jeden z najbardziej wpływowych ludzi, przed którym drżeli politycy – nie uznałby tego za upokarzającą degradację.

Najlepszą radę dla Durczoka ma chyba ktoś, kogo on sam z pewnością uważa za wroga.

– Chyba przyszedł dla niego czas na refleksję. Gdyby potrafił się zdobyć na maksymalną, bezwzględna szczerość, mógłby napisać książkę, jak wchodzi się na szczyt i z niego spada, co się za tym wszystkim kryje. Zaręczam, że znalazłaby wielu czytelników. Może napisze to zresztą jakiś reporter, choć już nie ja – mówi Michał Majewski, były dziennikarz „Wprost".

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Polexit? Jaki polexit

Po ponad 15 latach członkostwa Polski i innych państw naszego regionu w Unii Europejskiej staliśmy się ważnym elementem wewnętrznej równowagi wspólnoty, którego wyjęcie może doprowadzić nawet do jej dezintegracji. I choćby dlatego wszystkie przestrogi o tym, że nas wyrzucą z UE „za karę", można włożyć między bajki. Podobnie jak groźby, że PiS dąży do polexitu



KONRAD KOŁODZIEJSKI



„Jak wiadomo, Jarosławowi Kaczyńskiemu nie zależy na świecie, na Unii Europejskiej, jemu zależy tylko na Polsce" – powiedziała tydzień temu w rozmowie z TVN Małgorzata Kidawa-Błońska. „Zarzut" postawiony prezesowi PiS zabrzmiał wyjątkowo niefortunnie, bo można było z niego wywnioskować, że dla kandydatki PO na prezydenta troska o własny kraj jest poważnym przewinieniem. Jednak nie było to przejęzyczenie. Kidawa-Błońska, podobnie jak duża część jej środowiska, utożsamia interes Polski z interesem Unii Europejskiej. I z tej przyczyny jakiekolwiek konflikty lub różnice zdań z czołowymi państwami europejskimi są przez to środowisko przyjmowane jako działania antypolskie.

Rozpatrując ten punkt widzenia, można w nim dostrzec dwie motywacje. Pierwsza z nich, nazwijmy ją państwową, opiera się na założeniu, że dla Polski nie ma alternatywy poza UE. Wyjście poza jej obręb oznaczać

eprasa.pl 3a5bfae0f4

może dla Polski znalezienie się w niebezpiecznej geopolitycznej pustce ciążącej ku Wschodowi. Tę motywację podziela większość Polaków, co więcej – podziela ją także sprawujący dziś władzę rząd PiS. Jednak w odróżnieniu od PO i innych środowisk opozycyjnych PiS dostrzega również istnienie różnych sprzecznych interesów w Europie i próbuje – owszem, popełniając czasem błędy – na równych zasadach włączyć Polskę do toczącej się gry.

Ślepota PO w tej kwestii nie jest skutkiem braku rozeznania, lecz wynika z drugiej motywacji, którą można umownie nazwać oportunistyczną. Otóż dla dużej części opozycji członkostwo w Unii ma być nie tylko dobre dla Polski, lecz również dla niej samej. Ma oznaczać gwarancję przywilejów i władzy. Z tego powodu woli ona unikać jakichkolwiek sporów zagrażających jej pozycji, podobnie jak robi to podwładny, który w obawie przed utratą premii unika konfliktu z przełożonym. Dobrym przykładem takiej postawy może być Donald Tusk, który gładko i bez żadnych pytań zinternalizował unijne standardy, za co został wynagrodzony stanowiskiem przewodniczącego Rady Europejskiej, a później szefa Europejskiej Partii Ludowej.



Krótko mówiąc – różnica między obiema głównymi stronami sporu politycznego w Polsce nie polega na sporze o to, czy nasz kraj ma pozostać członkiem UE, czy też nie, lecz na tym, że PiS dąży do układu partnerskiego z Unią, a większość opozycji stawia na klientelizm.

PRANIE MÓZGÓW

Ta różnica ma ogromny wpływ na temperaturę politycznego sporu w Polsce. Największym zagrożeniem dla opozycji byłaby bowiem sytuacja, w której Unia pogodziłaby się z trwałą obecnością PiS u władzy i doszła do jakiegoś porozumienia z tą partią. Jak łatwo przewidzieć, znacznie obniżyłoby to rankingi PO oraz wielu innych ugrupowań opozycyjnych. Dlatego sztucznie jest kreowany, zarówno na użytek wewnętrzny, jak i zewnętrzny, obraz PiS jako formacji dążącej do wystąpienia z Unii. Opozycja próbuje przedstawiać się na tym tle jako formacja „europejska", chroniąca Polskę przed tym katastrofalnym scenariuszem. W maju PO wystartowała w wyborach do Parlamentu Europejskiego pod szyldem Koalicji Europejskiej, a Małgorzata Kidawa-Błońska – jak twierdzą złośliwi – nieprzypadkowo występuje dziś publicznie w lazurowych płaszczach przypominających barwą flagę Unii. Skojarzenie ma być proste: opozycja to demokracja i Europa, a PiS to rozbrat z Unią i staczanie się ku wschodniemu autorytaryzmowi. Wyborcy, z których znakomita większość – jak dowodzą tego kolejne badania opinii publicznej – opowiada się za członkostwem Polski w UE, nie powinni mieć przecież żadnych wątpliwości, na kogo oddać swój głos, aby pozostać we wspólnocie.

Oczywiście nikt nie wspomina tutaj, że konflikt z instytucjami unijnymi związany m.in. z próbą zmian w sądownictwie, który – zdaniem opozycji – tak bardzo zagraża jakoby członkostwu Polski w Unii (mówi się przy tej okazji o „prawnym polexicie"), został przez tę samą opozycję cynicznie podgrzany, aby zmusić Brukselę do interwencji (co się udało) i aby nastraszyć Polaków (co okazało się trudniejszym zadaniem). Niewykluczone jest przy tym, że część działaczy i sympatyków opozycji rzeczywiście sądzi, że jeśli rząd będzie stawiał opór, to Unia nas ze swojego grona w końcu wyrzuci.

Rzecz jasna nikt nas z UE nie wyrzuci. A przynajmniej nie z powodu PiS. Nie zostaliśmy przyjęci do wspólnoty z powodów altruistycznych i w naszych relacjach – co akurat PiS dobrze rozumie – liczy się głównie obopólny interes. W tej chwili Polska próbuje wyszarpnąć dla siebie większy niż dotąd kawałek tortu, a nasi partnerzy niezbyt chętnie chcą go oddać. Droga do porozumienia jest jednak zawsze otwarta, bo scenariusza polexitu nikt nie przewiduje. Wiedział o tym nawet – i przyznawał to publicznie – wiecznie rozkojarzony Jean-Claude Juncker, do niedawna szef Komisji Europejskiej. A skoro on wiedział, to wiedzą o tym również wszyscy liczący się liderzy unijni.

UNIJNA RÓWNOWAGA

Jednak zafałszowany przez naszą opozycję obraz podziału politycznego w Polsce i kierowane do Unii nieustające wezwania o pomoc w obronie demokracji nie mogły zostać w Europie pominięte milczeniem. Pisowski rząd nie budzi sympatii wśród większości liberalnych elit unijnych, wielu europejskim graczom nie odpowiada również jego polityka zagraniczna i nazbyt asertywne dążenie do wzmocnienia i uniezależnienia polskiej gospodarki. Dlatego podjęto ingerencję w polskie sprawy wewnętrzne, licząc na to, że wsparcie dla opozycji i jej ewentualna wygrana mogą przywrócić poprzedni stan rzeczy, gdy Polska była posłusznym i niesprawiającym problemów uczniem europejskiej szkoły. Gdyby jednak ten scenariusz nie został zrealizowany, to na pewno nikt w Unii nie będzie rwał włosów z głowy. Po prostu trzeba będzie jakoś się porozumieć z PiS i jeżeli rząd zagra tu dyplomatycznie, co wymaga czasem zrobienia tu i ówdzie kroku wstecz, to do porozumienia na pewno dojdzie.

W tej chwili nikomu nie zależy na rozbijaniu Unii. A już najbardziej nie zależy na tym Niemcom, które są bodaj

eprasa.pl 3a5bfae0f4

największym – spośród dawnych członków – beneficjentem poszerzenia UE na wschód w 2004 r. I to właśnie dlatego Berlin jest żywotnie zainteresowany sytuacją w Polsce oraz – szerzej – w całym naszym regionie. Jego skłonność do wspierania antypisowskiej opozycji ma oczywiście szerszy niż tylko ekonomiczny czy geopolityczny wymiar i wynika również z przyczyn ideowych, co poważnie zakłóca oficjalne relacje polsko-niemieckie. Niemcy woleliby z pewnością, aby władzę w Polsce objęła sprzyjająca im formacja, ale z braku alternatywy gotowi byliby się porozumieć i z PiS, jeśli pozwoliłoby im to utrzymać dotychczasową pozycję w Europie. Bo ta pozycja w dużej mierze zależy od naszego regionu.

Nie trzeba wielkiego umysłu, aby dostrzec, że Niemcy są silne nie tylko własną gospodarką i własnym państwem, lecz także stojącą za nimi Europą Środkowo-Wschodnią. Dokładnie z tego samego powodu Francja była największym przeciwnikiem poszerzenia UE i do dziś Paryż intryguje, aby rozwodnić Unię i rozluźnić relacje z naszą częścią wspólnoty. Nie bierze tylko pod uwagę tego, że Niemcy „uwolnione" od bagażu Europy Środkowej nie tylko nie wejdą potulnie pod skrzydła Francji, lecz wręcz przeciwnie – że takie próby mogą doprowadzić do pęknięcia starej Europy. Chcąc nie chcąc, po ponad 15 latach członkostwa Polski i innych państw naszego regionu w Unii staliśmy się ważnym elementem wewnętrznej równowagi wspólnoty, którego wyjęcie może doprowadzić nawet do jej dezintegracji.

Choćby dlatego wszystkie przestrogi o tym, że nas wyrzucą z Unii „za karę", można włożyć między bajki. Podobnie jak groźby, że PiS dąży do polexitu. I Polska, i Unia mają tu zbyt wiele do stracenia, aby taki scenariusz był w ogóle możliwy i przez kogokolwiek myślącego poważnie rozpatrywany. Rzecz jasna, nie mam przy tym złudzeń, że ta wiedza dotrze do żyjących we własnej bańce histerycznych oponentów PiS, których nic i nikt nie zdoła wyrwać z głębokiej wiary w to, że obecny rząd świadomie dąży do opuszczenia Unii.

NIEBEZPIECZNA ZABAWA

Nie oznacza to oczywiście, że w Polsce nie ma sceptyków rozczarowanych polityką Unii oraz otwartych przeciwników członkostwa Polski we wspólnocie. Ostatnio wiele zamieszania wywołał sondaż Eurobarometru, z którego wynikało, że aż 47 proc. Polaków uważa, że Polskę czeka lepsza przyszłość poza Unią Europejską. Dawało to nam miejsce w absolutnej

> Największym zagrożeniem dla opozycji byłaby sytuacja, w której Unii udałoby się porozumieć z PiS. Dlatego sztucznie kreowany jest obraz PiS jako formacji dążącej do wystąpienia z UE

czołówce przeciwników UE wraz ze Słowenią (48 proc.), Włochami (44 proc.) i Wielką Brytanią (42 proc.). Sondażem ekscytował się m.in. Nigel Farage, lider Brexit Party i czołowy przeciwnik Unii w Wielkiej Brytanii, dla którego wyniki badania miały być dowodem, że Unia Europejska sypie się w posadach, a jej mieszkańcy – w tym Polacy – chcą pójść w ślady Brytyjczyków.

Badanie wzbudziło też nadzieje wśród naszych rodzimych eurosceptyków oraz gwałtowne przerażenie u liberałów. Leszek Jażdżewski, znany głównie ze swojego kabotyńskiego przemówienia w Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie w obecności Donalda Tuska przyrównał katolików do świń, napisał, że sondaż Eurobarometru jest „najbardziej przerażający, jaki zdarzyło mu się widzieć".

Można oczywiście było się spodziewać, że wraz z upływem czasu będzie w Polsce rosnąć liczba eurosceptyków, zwłaszcza w odpowiedzi na zbyt obcesowe ingerencje Unii w polskie sprawy wewnętrzne, jednak podane w sondażu 47 proc. musiało się wydawać się zupełnie niewiarygodne. I rzeczywiście było niewiarygodne. Ale głównie z tego powodu, że z sondażu Eurobarometru (zresztą wcale nie najnowszego, bo przeprowadzonego w lipcu ubiegłego roku) wyciągnięto tylko jedno pytanie.

Gdyby ktoś zadał sobie trud i zajrzał od razu do całości badania, to okazałoby się, że Polacy wcale nie przestali być entuzjastami członkostwa w UE. To jedno pytanie, które miało być rzekomo dowodem na gwałtownie rosnący sceptycyzm Polaków, świadczyło wyłącznie o tym, że niemal połowa Polaków wierzy w siłę własnego państwa i ufa, że nawet bez Unii da sobie ono radę. W tym sensie można uznać to nawet za sukces polityki PiS, która polega na wzmacnianiu podmiotowości państwa. Na pewno jednak nie świadczy to o niechęci do Unii.

Potwierdzają to zresztą inne badania, w tym te opublikowane pod koniec grudnia na portalu wPolityce.pl, gdzie ankietowanym zadano pytanie o to, czy zgadzają się ze zdaniem, że wyjście z Unii Europejskiej stanowi zagrożenie dla Polski. Okazało się, że większość badanych (68 proc.) odpowiedziała twierdząco, przy czym wśród zwolenników opozycji było to aż 94 proc. wskazań, a wśród wyborców PiS – 60 proc. Nic się zatem nie zmieniło, wśród większości Polaków nie ma zgody na polexit, a ich sympatie polityczne nie mają w tej kwestii zbyt wielkiego znaczenia.

Dlatego uparte powtarzanie wydumanego hasła polexitu i tworzenie wokół członkostwa Polski w Unii Europejskiej osi sporu politycznego są działaniami bardzo szkodliwymi. Opozycja próbuje sobie w ten sposób torować drogę do władzy, ale w dłuższej perspektywie jest to strategia samobójcza, niekorzystna zarówno dla Polski, jak i dla Unii. Jeśli ktoś mógłby na tym zyskać, to byłaby to wyłącznie putinowska Rosja. Warto więc pomyśleć zawczasu i przyhamować. Tylko czy opozycja jest jeszcze do tego zdolna?

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Nikt do tej pory nie napisał historii Auschwitz, opowiedzianej wyłącznie głosami więźniów i ich oprawców. Dobrze, by ta opowieść po raz pierwszy wyszła właśnie z Polski

To Polacy powinni opowiedzieć światu historię Auschwitz

Z szefem Laboratorium Reportażu Uniwersytetu Warszawskiego Markiem Millerem rozmawia Grzegorz Górny

Najważniejszym na świecie ośrodkiem badań nad historią mówioną jest Columbia Center for Oral History – placówka naukowa działająca przy Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Cztery miesiące temu Laboratorium Reportażu UW – jako pierwsza ekipa z Polski – zostało tam zaproszone, żeby zaprezentować swoją metodę zarówno kadrze naukowej, jak i studentom. Przedstawiliście projekt „Europa według Auschwitz", którego jesteś autorem. Jak się tam dostaliście?

Marek Miller: Ponieważ od lat zajmujemy się historią mówioną (oral history) oraz opowiadaniem historii (storytelling), postanowiliśmy skonfrontować swój dorobek z największymi specjalistami na świecie w tej dziedzinie. To nie było oparte na żadnych znajomościach czy układach. Wystartowaliśmy do nich po amerykańsku, czyli z ulicy. Napisaliśmy maila. Oczywiście dołączyliśmy opracowania w języku angielskim i bardzo szybko otrzymaliśmy odpowiedź, że są zainteresowani spotkaniem i zapraszają nas na prezentację uniwersytecką. Pojechaliśmy tam razem z szefem naukowym wyprawy prof. Jackiem Wasilewskim, reżyserem dokumentalistą Michałem Bukojemskim i menedżerem Anną Figurą.

Ale może dlatego was zaproszono, że wasz projekt dotyczył Holokaustu, a to dziś najważniejszy temat historyczny dla Ameryki?

Tylko że nie zaprosiło nas Centrum Badań nad Holokaustem, ale Centrum Badań nad Historią Mówioną. Chodziło o zaprezentowanie metody, której „Europa według Auschwitz" jest tylko przykładem. Chodzi o metodę, która umożliwia opowiadanie wielkich narracji. Dziś pisarze zatracili tę umiejętność. Świat jest poszatkowany, dominuje widzenie fragmentaryczne, nikt nie ogarnia całości.

Amerykanie stoją przed wyzwaniem, jak opowiedzieć o ataku na World Trade Center w 2001 r. Wciąż nagrywają relacje świadków. Planują zebranie tysięcy wywiadów. Kto to wszystko obejrzy? Kto tego wysłucha? Kto to opracuje? W jaki sposób? Te same pytania dotyczą także innych ważnych wydarzeń. Na całym świecie pęcznieją archiwa, rosną liczby dysków z nagraniami, ale nie ma możliwości tego wszystkiego ogarnąć. W kulturze nadmiaru, w tym zalewie informacji, nie ma możliwości opanowania materiału, a więc nie ma możliwości dokonania syntezy. Co zrobić, żeby tę zebraną wiedzę uprzystępnić w taki sposób, by ludzka świadomość mogła to wchłonąć?

To są pytania, które zadają sobie także w Ameryce. Dlatego nas zaprosili. Bo nasza metoda jest próbą zmierzenia się z tym wyzwaniem. Dlatego, że z analogicznymi pytaniami stanąłem kiedyś w Muzeum w Auschwitz naprzeciw archiwum z 3 tys. teczek. Pomyślmy: 3 tys. unikatowych, jedynych w swoim rodzaju relacji z piekła, zamkniętych w teczkach. Jak je ożywić? Jak sprawić, żeby przestały milczeć? Żeby zabrały głos w panoramicznej opowieści?

Nikt tych teczek nie otwierał?

Oczywiście, że otwierali naukowcy, ale to są specjaliści, którzy zajmują się jakimś wybranym wycinkiem rzeczywistości Auschwitz, np. choroba głodowa, ruch oporu w obozie czy eksperymenty na kobietach, ale

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3a5bfae0f4

nikogo nie interesował cały zbiór jako opowieść. Sądzę, że nasza metoda polifonicznej powieści dokumentalnej na to pozwala.

Co to za metoda i skąd się wzięła?

Jej początków można szukać w roku 1980. To był czas pierwszej Solidarności, czas szalonych pomysłów. Wtedy jako młody dziennikarz założyłem w Łodzi z przyjaciółmi Pracownię Reportażu. Definiowaliśmy ją jako rodzaj dziennikarskiego laboratorium pracy zespołowej nad tekstem. Naszym pierwszym materiałem był reportaż pt. „Będzie tydzień w mieście Łodzi", który po interwencji cenzury został zdjęty z tygodnika „Polityka".

Najważniejszym naszym osiągnięciem stała się książka „Kto tu wpuścił dziennikarzy", która została wydana w 1984 r. w drugim obiegu i doczekała się nagrody podziemnego SDP. Opowiadała o narodzinach Solidarności oczami dziennikarzy, którzy znaleźli się podczas strajku w Stoczni Gdańskiej. Wtedy wykrystalizowała się nasza metoda pracy. 18 reporterów Pracowni przeprowadziło 41 wywiadów z dziennikarzami obecnymi wówczas w stoczni. Potem nastąpiła selekcja materiału i coś w rodzaju montażu. Powstała polifoniczna opowieść złożona z kilkudziesięciu relacji uporządkowanych w dramaturgiczną całość. Kiedy czytało się książkę, miało się wrażenie, jakby wszyscy bohaterowie siedzieli przy jednym stole i wspólnie snuli opowieść, niekiedy wchodząc sobie nawet w słowo, a przecież wywiady z nimi nagrywane były osobno przez różnych reporterów.

Drugim naszym wielkim doświadczeniem zespołowym była praca nad książką „Filmówka", która ukazała się w 1992 r. Była to opowieść o Szkole Filmowej w Łodzi, a właściwie o historii polskiego kina po II wojnie światowej, widziana oczami wykładowców i uczniów tej uczelni, takich jak np. Wajda, Polański czy Skolimowski. Tak się złożyło, że kiedy w stanie wojennym zostałem zweryfikowany negatywnie i nie mogłem pracować w zawodzie dziennikarza, znalazłem zatrudnienie właśnie w Szkole Filmowej na Wydziale Reżyserii. Dzięki temu nawiązałem bliski kontakt z tematem.

Pracownia Reportażu przestała jednak istnieć.

Rozwiązaliśmy się w 1993 r. Jednak kontynuowałem tę metodę w Laboratorium Reportażu, które powstało w 2001 r. na Wydziale Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego. Tam powstały opowieści m.in. o fenomenie dominikanina o. Jana Góry, o działalności sekt w Polsce czy o historii bazaru Różyckiego w Warszawie. Od 10 lat zajmujemy się jednak przede wszystkim zagadnieniem Auschwitz, a właściwie szerzej: Holokaustu. Chcemy stworzyć o tym powieść dokumentalną. Różnica z poprzednimi naszymi pracami polega na tym, że nie rozmawiamy z żywymi świadkami, ale oddajemy głos nieżyjącym. Hanna Krall powiedziała nam: pracujecie w podtrzymywaniu głosu, dzięki wam te teczki przemówiły.

Ale przecież – można powiedzieć – te „teczki mówią", ponieważ relacje świadków historii drukowane są w różnych zbiorowych wydaniach czy pracach naukowych.

Tu nie chodzi o drukowanie zbiorów relacji, ale skonstruowanie z nich wciągającej opowieści przy wykorzystaniu środków, jakie daje np. scenariusz filmu dokumentalnego. Dzięki montażowej technice konstruowania reportażu zyskujemy wartkość narracji, unikamy powtórzeń, osiągamy efekt „kondensacji ludzkiego doświadczenia", zderzamy z sobą opinie i punkty widzenia. W rezultacie wybrane fragmenty relacji układają się w ciąg, który ma swoją specyficzną dramaturgię. Jest epicką opowieścią pozostającą nadal historycznym dokumentem.

Czym się różni wasza metoda od pracy Swietłany Aleksijewicz?

To było pierwsze pytanie, jakie zadali nam Amerykanie na Uniwersytecie Columbia. Nagroda Nobla dla Swietłany Aleksijewicz w 2015 r. stanowiła pewien przełom w dziejach literatury. Można powiedzieć, że nobilitowała ona reportaż, uznała sztukę dziennikarską, non fiction, za rodzaj literatury równoprawny z beletrystyką. Być może dzieje się tak dlatego, że dziś literatura faktu zastępuje powieść. Zauważmy, że obecnie powieść zrezygnowała z tworzenia wielkich narracji, panoramicznych fresków epickich. Moim zdaniem to miejsce może zająć reportaż, powieść dokumentalna, literatura faktu. Swietłana Aleksijewicz ma podobne intuicje. Zaczynaliśmy zresztą w podobnym czasie.

Kto był pierwszy: Laboratorium Reportażu czy Aleksijewicz?

Jeśli ktoś mówi, że coś odkrył albo wymyślił jako pierwszy w humanistyce, to znaczy, że czegoś nie przeczytał. Podstawowa różnica polega na tym, że Aleksijewicz pracowała sama, a my zbiorowo. Praca zespołowa ma swoje niepowtarzalne zalety. Moje przekonanie do tej metody wyniosłem ze studiów, a z wykształcenia jestem socjologiem. Wiele wybitnych książek socjologicznych powstało w ramach kilkuosobowych zespołów, w wyniku wspólnych dyskusji, burzy mózgów i podziału zadań. Bliska metodzie reporterskiej wydawała mi się też socjologia humanistyczna, reprezentowana m.in. przez Floriana Znanieckiego czy Józefa Chałasińskiego. Opisywała ona mechanizmy życia społecznego, opierając się na tzw. metodach antropologicznych w socjologii humanistycznej, jak np. studiowanie listów, pamiętników czy pogłębionych wywiadów. Generalnie nasza praca zmierzała w kierunku dziennikarstwa obiektywnego.

Czy jest w ogóle możliwe dziennikarstwo obiektywne?

Oczywiście absolutny obiektywizm nigdy nie jest możliwy. Nawet samo ustawienie kamery jest subiektywne. Dążymy natomiast do tego, żeby maksymalnie się zbliżyć do idei obiektywizmu w odróżnieniu od sztuki subiektywnej, która preferuje oryginalny, autorski punkt widzenia. My spoglądamy na świat oczami świadków. Jeden człowiek może kłamać, ale jeśli 20 osób mówi to samo, to mówią prawdę. Dążymy więc do tego, żeby z możliwie wielu relacji wydobyć pewne uniwersalne modele zachowań. Chcemy zrekonstruować

eprasa.pl 3a5bfae0f4

konkretne wydarzenia, patrząc na nie jak gdyby z lotu ptaka.

Dawanie świadectwa prawdzie?

Tak. A zarazem coś więcej. Opowieść powinna pełnić społeczną funkcję mitu, czyli podtrzymywać więzi społeczne. Wielkie narracje są zawsze wspólnototwórcze. Tak jak w czasach pierwotnych opowieści przy ognisku integrowały plemiona, tak dziś reportaż może łączyć społeczność, uświadamiając ludziom, że są bytami relacyjnymi, stworzonymi do relacji z innymi. Dziś mało jest w mediach wspólnych historii. Dominują historie własne, i to najczęściej o sobie samych.

Za tym stoi jednak określona wizja człowieka.

Jeśli ktoś twierdzi, że jego przekaz jest neutralny światopoglądowo, to kłamie, świadomie lub nie, ale kłamie. Dlatego ważne jest jasne zasygnalizowanie swego światopoglądu jako podstawy interpretacji zdarzeń. W moim przypadku jest to światopogląd chrześcijański, a konkretnie katolicki. Traktuję wydarzenia jako mowę Boga do ludzi. Reportaż jest próbą odczytywania tej mowy.

Jakie są efekty waszej 10-letniej pracy nad projektem „Europa według Auschwitz"?

Trzeba pamiętać, że praca nad książką „Kto tu wpuścił dziennikarzy" trwała dwa i pół roku, a oparta była na 41 wywiadach. Tutaj mamy do czynienia z 3 tys. relacji. Przy tamtej książce pracowało 18 reporterów. W tym projekcie wzięło udział już ponad 200 studentów, w tym wielu przyszłych dziennikarzy. To z pewnością ważny element ich życiowego i zawodowego doświadczenia. Głównym celem jest jednak napisanie historii KL Auschwitz. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale do tej pory nikt jeszcze nie napisał historii Auschwitz, opowiedzianej wyłącznie głosami więźniów i ich oprawców. Dobrze, by ta opowieść po raz pierwszy wyszła właśnie z Polski.

Dlaczego?

Ponieważ to my jesteśmy strażnikami tego miejsca – Auschwitz. Ponieważ nikt lepiej od nas nie jest predysponowany do tego, by opowiedzieć tę historię. Mamy wiele wspólnego z Żydami, podobny typ rozumienia historii, specyficzne poczucie humoru. Przede wszystkim jednak możemy zrozumieć sytuację Żydów w czasie wojny, ponieważ sami byliśmy wówczas ofiarami niemieckiego terroru. Pewne rzeczy są nieprzekładalne dla Belgów, Francuzów czy Holendrów, natomiast dla nas są całkowicie zrozumiałe. Tam za pomoc Żydom groził areszt lub grzywna, a u nas za to samo całe rodziny szły pod mur na rozstrzelanie. Rozumiemy więc specyfikę tej sytuacji na jej najgłębszym, najbardziej tragicznym poziomie skomplikowania.

Możemy zrozumieć sytuację Żydów w czasie wojny, ponieważ sami byliśmy wówczas ofiarami niemieckiego terroru. Pewne rzeczy są nieprzekładalne dla Belgów, Francuzów czy Holendrów, natomiast dla nas są całkowicie zrozumiałe

Na jakim etapie jesteście teraz?

Podczas prac projekt nabrał charakteru multimedialnego, zaczęły się wyodrębniać poszczególne dzieła. Powstało m.in. sześć filmów dokumentalnych (w tym jeden w technice 3D) w kilku wersjach językowych, spektakl teatralny, wiele audycji radiowych czy publikacji prasowych. Kiedy pracowaliśmy nad kroniką Auschwitz, okazało się, że zebraliśmy olbrzymi materiał na temat dwóch innych miejsc, dlatego postanowiliśmy poświęcić im osobne książki. Pierwsza z nich – „Europa według Auschwitz. Litzmannstadt Ghetto" – ukazała się już drukiem i otrzymała Nagrodę Miasta Łodzi dla najlepszej książki roku. Dostaję sygnały od Żydów, którzy przeżyli łódzkie getto, że jest to najlepsza książka, jaka się na ten temat ukazała. Druga książka poświęcona obozowi w Terezínie jest już gotowa i czeka na druk. Teraz przed nami ostatni etap, czyli dokończenie historii Auschwitz.

Czy wizyta na Uniwersytecie Columbia jakoś wam w tym pomoże?

Ta wizyta uświadomiła mi przepaść między naszym a tamtejszym światem akademickim. Podstawowym sprzętem na naszym uniwersytecie jest wciąż tablica i kreda. Działamy metodą partyzancką. Od kilkunastu lat opieramy się na wolontariacie studentów. W ten sposób, przy olbrzymim nakładzie pracy, da się napisać jedną książkę lub drugą. Ale nie osiągnie się skoku jakościowego. Do tego potrzebna jest pomoc państwa.

O jakim skoku jakościowym myślisz?

Książki zbudowane są na podstawie bazy faktograficznej, która została zgromadzona i przez 10 lat odpowiednio posegregowana. Można ją wykorzystać w taki lub inny sposób, np. w formie multimedialnej. Jest to idealna baza, aby nauczyć młodych ludzi mediów na naszym kontynencie, czym był naprawdę Holokaust. Mamy wieloletnie doświadczenie pracy z dziennikarzami i studentami dziennikarstwa. Na tej podstawie jesteśmy w stanie opracować specjalne kursy, szkolenia i warsztaty dla szkół dziennikarskich w Europie na poziomie wyższym. Część zajęć byłaby multimedialna, a część na miejscu – w Auschwitz. Takiego atutu nie ma nikt na świecie. Dziennikarz po takich szkoleniach nigdy nie napisze o „polskich obozach śmierci". Tego nie da się jednak osiągnąć za pomocą tablicy i kredy. Tu potrzebne jest zaangażowanie państwa.

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Zna(cz)ki obłudy

W połowie stycznia Dolny Śląsk obiegła sensacyjna wiadomość. Pod koniec wojny w piwnicy jednej z kamienic Liegnitz, czyli dziś Legnicy, została ukryta kolekcja znaczków. Warte dziś fortunę zbiory miały być zrabowane Żydom wywożonym do obozów koncentracyjnych. Na trop tych znaczków natrafili filmowcy z Hollywood, którzy swoje rewelacje ogłosili na konferencji prasowej. Problem w tym, że w opowieści Amerykanów jest wiele fałszywych nut



ARTUR GUZICKI

Takich konferencji lokalne media nigdy nie ignorują. Spotkanie z amerykańską ekipą filmową, w skład której wchodzą twórcy nominowani do Oscara, to nie lada gratka. Amerykanie opłacili polską agencję PR, wynajęli salę w najdroższej w mieście restauracji i 15 stycznia 2020 r. ruszyli do medialnej ofensywy. Gary Gilbert, scenarzysta i producent – ma w swoim dorobku kilka znaczących nagród filmowych, w tym nominację do Oscara – opowiedział dziennikarzom, jak wpadł na trop legnickiego skarbu. Oto przed laty jego przyjaciel – lekarz psychiatra – zrelacjonował mu historię swojej pacjentki, córki niemieckiego oficera.

„Oficer to dawny mieszkaniec Legnicy Rudolf Wahlmann, który na początku 1945 r., uciekając przed Sowietami, ukrył w piwnicy swojego legnickiego domu zrabowane obiekty o wielkiej wartości historycznej. Przedmioty te zostały wcześniej skonfiskowane przez wyspecjalizowane oddziały niemieckie przeszukujące żydowskie mieszkania w getcie warszawskim i łódzkim. Major Wahlmann, narażając własne życie, ukradł je i ukrył w piwnicy swojego domu w Liegnitz, mając nadzieję na ich odzyskanie po wojnie. Liegnitz jednak stało się Legnicą, a major nigdy już do swego domu nie wrócił" – snuł swoją opowieść Gary Gilbert.

OSZUKAŃCZE WYKOPKI

Amerykanie postanowili tę historię rozwikłać i nakręcić o niej film. I – jak stwierdzili na konferencji prasowej – chcieli znalezione znaczki oddać prawowitym spadkobiercom ofiar Holokaustu.

„Znaczek pocztowy jest jak odcisk palca. Bardzo łatwo zlokalizować jego właściciela. Są katalogi, jest dokumentacja z aukcji, na której był zakupiony. Nawet po 75 latach jest to możliwe" – zapewniał Gilbert.

W Legnicy Amerykanie po raz pierwszy pojawili się w 2015 r. Wtedy nawiązali kontakt z mieszkańcami kamienicy przy ul. Tatarskiej (przed wojną Thebesius Strasse). Poprosili ich o zgodę na nakręcenie filmu w piwnicach budynku.

– Zgodziliśmy się. Zapłacili wspólnocie mieszkaniowej 2 tys. zł za udostępnienie pomieszczeń. Cały czas utrzymywali nas w przekonaniu, że kręcą film miłosny. Opowiadali, że przed laty mieszkańców naszej kamienicy połączyło płomienne uczucie, a że był to związek zakazany, więc kochankowie spotykali się potajemnie w piwnicy – opowiada właściciel jednego z mieszkań.



Filmowcy weszli do piwnic, ale oprócz kamer zabrali ze sobą... georadar i wykrywacz metali. Z pomieszczeń zaczęły dochodzić dziwne odgłosy. Okazało się, że ekipa rozkuwa ściany, rozbija podłogi. Efekt był taki, że zaniepokojeni mieszkańcy poprosili filmowców o opuszczenie piwnic. To wtedy właściciele budynku dowiedzieli się, o co tak naprawdę chodzi Amerykanom.

– Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, co nas czeka – mówi przedstawiciel wspólnoty mieszkaniowej.

JAK NA DZIKIM ZACHODZIE

Amerykanie, relacjonując podczas konferencji prasowej swoje dokonania w legnickiej kamienicy, zapewniali dziennikarzy, że są one całkowicie legalne. Twierdzili, że mają odpowiednie pozwolenia, są w kontakcie z konserwatorem zabytków i współpracują w tej sprawie z Fundacją Auschwitz-Birkenau.

„Uzyskaliśmy wsparcie władz miasta, a mimo tego mieszkańcy tego domu nie chcą z nami rozmawiać" – żalili się przedstawiciele ekipy filmowej.

Tymczasem stanowisko przedstawiciela służb konserwatorskich, które wydają pozwolenia na podjęcie wszystkich poszukiwań zabytkowych przedmiotów, przeczy tym słowom.

– O sprawie dowiedziałem się z lokalnych mediów. Nikt nie występował do mnie o wydanie jakiejkolwiek decyzji w tej sprawie – twierdzi Leszek Dobrzyniecki, szef legnickiej delegatury Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków we Wrocławiu.

To ważna informacja, zapisy ustawy o ochronie zabytków nie pozostawiają bowiem wątpliwości. Każdy, kto podejmie tego typu działania bez zgody właściciela nieruchomości, pozwolenia konserwa-

Fot. Alex Churilov/Shutterstock.com

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Fot. Lilla Sadowska (lca.pl)

Konferencja prasowa amerykańskiej ekipy filmowej „Liegnitz Plot" w Legnicy, 15 stycznia 2020 r. Od lewej: Gary Gilbert, scenarzysta, i Dan Sturman, reżyser

tora i nadzoru archeologicznego, popełnia przestępstwo! Także pomysł, żeby ewentualne znaleziska, jak chcą Amerykanie, oddać spadkobiercom ofiar Holokaustu, jest niezgodny z polskim prawem, które mówi wprost, że każdy przedmiot odnaleziony podczas takich poszukiwań staje się własnością skarbu państwa.

O tym, jaki Amerykanie mają stosunek do przekazywanych dziennikarzom informacji, świadczy także to, że o ich poszukiwaniach nic nie wiedzą w Fundacji Auschwitz-Birkenau, na którą się powołali podczas konferencji prasowej.

– Nic nie wiemy o tej ekipie – krótko odpowiada Katarzyna Kulig, koordynator biura zarządu fundacji.

ŁAPAĆ PAZERNEGO ANTYSEMITĘ

Filmowcy pieniądze na swój projekt zgromadzili poprzez zbiórkę prowadzoną na amerykańskim portalu. Uruchomili także profil na Facebooku. Pod hasłem „The Liegnitz Plot – a Holocaust mystery" (Działka Legnica – tajemnica Zagłady) opisali swoje poczynania. Relacjonując sytuację, kiedy oszukani przez nich mieszkańcy wyprosili ich z piwnicy – stwierdzili, że „odkryli sekrety, kłamstwa i otaczającą ich chciwość" oraz niestety „współczesny antysemityzm".

– No tak. Teraz będą robili z nas pazernych antysemitów, zapominając, że oni nas oszukali i że to oszustwo jest jedynym powodem, że nie chcemy z nimi rozmawiać – mówią mieszkańcy kamienicy. Nie ukrywają, że od czasu pojawienia się ekipy z USA ich życie stało się koszmarem. Amerykanie czyhali z kamerami przed domem, polowali na nieprzyjazne

> Amerykańcy filmowcy weszli do piwnic, ale oprócz kamer zabrali ze sobą... georadar i wykrywacz metali. Ku zaskoczeniu mieszkańców kamienicy z pomieszczeń zaczęły dochodzić dziwne odgłosy

gesty, które natychmiast utrwalali na taśmie filmowej. Kiedy wyjeżdżali, nasyłali na mieszkańców wynajętych prawników. Proponowali pieniądze. W pewnym momencie na negocjacyjnym stole leżało 100 tys. zł, które miały być ceną za powrót ekipy do piwnic.

– Nie wzięliśmy tych pieniędzy. Gdybyśmy je wzięli, to też by z nas robili pazernych antysemitów, którzy dorabiają się na nieszczęściu Żydów.

Na stronie internetowej prowadzonej przez filmowców co chwilę można natknąć się na informacje o antysemityzmie Polaków. Świadczyć o tym mają zdjęcia z palenia kukły Żyda na wrocławskim Rynku czy fotografie z Marszu Niepodległości. Co to ma wspólnego z projektem filmowym o ukrytym przez nazistę skarbie?

Czego tak naprawdę szukają w legnickiej piwnicy amerykańscy filmowcy? Wiele wskazuje na to, że sami nie wierzą w swoją opowieść, że do dzisiaj w miejscu tym ukryte są cenne znaczki. Nawet jeśli ów Niemiec ukrył je tam pod koniec wojny, nie miały szans na przetrwanie. Po pierwsze dlatego, że piwnice starych kamienic w tej części miasta są bardzo wilgotne; wystarczy kilka dni deszczu, żeby gromadziła się tam woda. Po drugie, miejsce to podczas powodzi w 1977 r. było kompletnie zalane. Poziom wody na tej ulicy przekroczył metr, a więc piwnice były zalane po sam sufit. Bzdurą jest też pomysł odszukania spadkobierców ofiar Holokaustu.

– Nie ma takiej możliwości, żeby po tylu latach odszukać kogoś, kto był w posiadaniu jakiegoś znaczka – słyszymy w Polskim Związku Filatelistycznym.

ABSURD GONI ABSURD

Historia opowiedziana polskim mediom przez Amerykanów jest pełna wątpliwych stwierdzeń i nieudokumentowanych tez. Gary Gilbert zaprezentował np. dziennikarzom kapelusz, który miał być własnością nazisty Rudolfa Wahlmanna. „To pod tasiemką tego kapelusza Walhmann wynosił najcenniejsze znaczki ukradzione wcześniej Żydom" – stwierdził Gilbert.

Naiwność tego stwierdzenia zdumiewa. Jaki niemiecki oficer w czasach III Rzeszy, będąc na służbie, chodził w kapeluszu? Zagadkowo rysuje się także sama postać Rudolfa Wahlmanna. Jedyna pewna, bo łatwa do zweryfikowania informacja, to fakt, że człowiek o takim nazwisku w 1939 r. mieszkał w kamienicy przy Thebesius Strasse. Potwierdzają to zachowane księgi adresowe, w których Wahlmann występuje jako kupiec. Tymczasem w materiałach przekazanych przez Amerykanów jest fotografia oficera Wehrmachtu. Czy to Wahlmann? Tego nie udało się ustalić. Zdjęcie zostało zrobione w działającym do dzisiaj paryskim atelier, którego pracownicy nie są w stanie podać nazwiska sfotografowanej osoby. Wątpliwości pogłębia też to, że mieniem zrabowanym Żydom zajmowali się z zasady członkowie SS.

Czego zatem szukali Amerykanie w piwnicy legnickiej kamienicy? I dlaczego dopiero po pięciu latach ogłosili to światu na konferencji prasowej? Znamy odpowiedź tylko na drugie z tych pytań.

„Upubliczniając tę historię, chcemy wywrzeć presję na polskich mieszkańcach Legnicy" – stwierdzili Amerykanie.

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Prowokator

Donald Tusk przechodzi zaskakującą ewolucję: od „króla” Polski, przez „króla” Europy, po nowego Janusza Palikota



STANISŁAW JANECKI

Już tydzień po odejściu z funkcji przewodniczącego Rady Europejskiej Donalda Tuska w Brukseli nie wspominał praktycznie nikt. Bardzo szybko uznano, że na tym stanowisku, istniejącym ledwie od dekady, jest lepiej, gdy sprawuje je były premier Belgii, w tym wypadku Charles Michel. Podobnie jak było przed Tuskiem, gdy Radą Europejską kierował inny były belgijski premier Herman van Rompuy. Nie dziwi więc, że osiem tygodni po zmianie Tusk właściwie w instytucjach UE nie istnieje, mimo że został przewodniczącym Europejskiej Partii Ludowej. Wprawdzie jako przewodniczący organizuje spotkania szefów partii wchodzących w jej skład przed zebraniem się Rady Europejskiej, gdzie teoretycznie uzgadnia się wspólne stanowisko w kwestiach będących przedmiotem późniejszych obrad, lecz taki koordynator ma tu akurat niewiele do powiedzenia. Tym bardziej że najważniejsze sprawy uzgadniają nieoficjalnie przywódcy najsilniejszych państw. A na spotkaniach szefów partii przed szczytami Rady Europejskiej głos liderów ugrupowań niebędących u władzy

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3a5bfae0f4

w swoich krajach jest zdecydowanie słabszy niż tych rządzących.

Kongres EPL 20–21 listopada ub.r. w Zagrzebiu uznał, że Donald Tusk powinien zreformować tę partię. Manfred Weber, szef frakcji EPL w Parlamencie Europejskim, stwierdził wtedy, że Tusk powinien na nowo zdefiniować, czym współcześnie jest i powinna być chrześcijańska demokracja. Powinien też przygotować dla EPL propozycje programowe uwzględniające m.in. zmiany klimatyczne i koncepcję europejskiej armii. Czyli Donaldowi Tuskowi zlecono pracę programową, która nigdy nie była jego mocną stroną.

Po teatrze jedności, siły i wielkich oczekiwań wobec nowego przywódcy EPL, jakim był kongres w Zagrzebiu, szybko się okazało, że przewodniczący partii wchodzących w skład EPL nie traktują Donalda Tuska na tyle poważnie, żeby ustalać z nim jakieś fundamentalne lub ważne programowo kwestie. Poza tym do najbliższych wyborów do Parlamentu Europejskiego są ponad cztery lata, więc Tusk nie musi się spieszyć, co oznacza, że na najbliższą przyszłość nie ma żadnych sprecyzowanych zadań. Dlatego się nudzi, ale głównie frustruje. I dlatego zapowiedział intensywne włączanie się w polską politykę, choć faktycznie nikt go w kraju nie chce, bo ciągnie się za nim negatywny bagaż. Tym bardziej w roli jakiegoś rewizora. To też pogłębia frustrację, gdyż trudno pogodzić się z rolą czarnego charakteru, gdy wciąż chce się być jaśniejącą gwiazdą. To wszystko sprawia, że Tusk przechodzi zaskakującą ewolucję: od „króla" Polski, przez „króla" Europy, po nowego Janusza Palikota.

NIEUDANY POWRÓT ZBAWCY

Kiedy Donald Tusk był przewodniczącym Rady Europejskiej, jego zdanie w polskich sprawach, szczególnie wypowiadane w kraju, miało znaczenie. Było ważnym elementem strategii antypis. Ale europejskie stanowisko go ograniczało. Teraz nic go nie ogranicza, tylko że nie ma popytu na jego „szpile" wbijane rządzącym, a nawet jeśli jest popyt, jego interwencje nie mają większego znaczenia jako głos politycznego emeryta. Tym bardziej że w Platformie trwają generalne porządki, co oznacza pozbycie się nie tylko Grzegorza Schetyny, ale i spuścizny Donalda Tuska. To on, nawet w większym stopniu niż Schetyna, wpuścił partię w kanał, z którego od blisko pięciu lat nie może wyjść.

Dla nowej PO Donald Tusk jest więc co najmniej takim samym obciążeniem jak Grzegorz Schetyna. Jako szef Rady Europejskiej był przyzwyczajony, że co najmniej od 2005 r. jest jedną z najważniejszych postaci polskiej polityki, także w czasie urzędowania w Brukseli mieszającą się w polskie sprawy, w partyjne gry i ustawiającą PO. To do niego jeździli przeciwnicy Schetyny i sam Schetyna udający, że ma dobre relacje z byłym przewodniczącym PO, żeby w ten sposób mitygować partyjnych rywali. I w takiej roli Tusk czuł się znakomicie, tym bardziej że nie musiał wiele robić. Stanowisko i przypisywana mu ranga decydowały o wszystkim. Teraz Tusk się nudzi i irytuje, szczególnie po tym, jak zrezygnował z powrotu do polskiej polityki, nie widząc w niej dla siebie żadnych szans na role pierwszoplanowe, a tylko takie go interesowały.

> Dla nowej Platformy Obywatelskiej Donald Tusk jest co najmniej takim samym obciążeniem jak Grzegorz Schetyna

Donald Tusk bardzo przeżył nieudane próby występowania w roli zbawcy i najważniejszej osoby opozycji wobec rządów PiS w 2019, ostatnim roku swego urzędowania w Brukseli: 3 maja po tzw. wykładzie na Uniwersytecie Warszawskim, który przyćmił wyskok Leszka Jażdżewskiego; 18 maja podczas i po Marszu dla Europy w Warszawie, gdy zapewniano go o 100 tys. uczestników, a było w porywach 10 tys.; 4 czerwca w Gdańsku, gdy liczono na ogłoszenie nowego projektu politycznego pod jego patronatem i z udziałem ważnych samorządowców, a skończyło się miałkim przemówieniem o niczym; 17 czerwca, gdy jego zeznania przed sejmową komisją śledczą ds. Amber Gold nie zrobiły z niego męczennika, dla którego rekompensatą mogłaby być tylko prezydentura Polski.

Tuska irytuje też, że jego książka „Szczerze", mająca premierę w połowie grudnia ub.r., nie stała się przedmiotem ważnej debaty publicznej, lecz obiektem drwin i kpin, szczególnie wobec autodenuncjacji, że to łże-dziennik, a przez to nie stała się elementem jego triumfalnego powrotu do polskiej polityki, mimo rezygnacji z ubiegania się o prezydenturę. Książka miała pokazać Tuska jako wielkiego męża stanu obcującego wyłącznie z możnymi tego świata, a okazała się rejestrem kompleksów leczonych dużą dawką narcyzmu i jeszcze większą pensjonarskiej pretensjonalności.

Donald Tusk stracił też wieloletniego przeciwnika Grzegorza Schetynę. To on mobilizował go do wtrącania się w politykę partii opozycyjnych, szczególnie PO, i uzasadniał jego rolę mentora, rewizora, arbitra, a czasem wręcz prokuratora.

STRACONE ZŁUDZENIA

W ostatnich miesiącach urzędowania w Brukseli Donald Tusk miał nadzieję, że tak jak jego poprzednikowi Hermanowi van Rompuyowi różni „przyjaciele" załatwią bardzo dobrze płatne wykłady, że będzie miał swojego agenta od takich spraw. I taką perspektywą był łudzony przez kilka miesięcy. Gdy jednak objął stanowisko przewodniczącego EPL, żadne uniwersytety, organizacje ani instytucje nie chcą go zapraszać, słuchać ani tym bardziej płacić, przez co popada w jeszcze większą frustrację. Tusk, choćby z powodu tego, co i jak pisały o nim światowe media, gdy był przewodniczącym Rady Europejskiej, spodziewał się, że przez kilka lat będzie mógł dyskontować status politycznego celebryty. Może nie aż tak jak były przewodniczący Komisji Europejskiej José Manuel Barroso, który poza świetnie płatnymi wykładami dostał jeszcze lepiej

eprasa.pl 3a5bfae0f4

opłacane stanowisko doradcy w banku Goldman Sachs, ale przynajmniej tak jak Herman van Rompuy, poprzednik na stanowisku szefa Rady Europejskiej. Ten idealny i cichy biurokrata do dziś jest wysoko opłacanym wykładowcą. Występy w roli globalnego politycznego celebryty miały być pewne, a poza tym lekkie, łatwe i przyjemne. I miały się wiązać z zarobkami rzędu nawet 50 tys. euro za jeden występ.

Realia okazały się podobne do tych, jak w maju i czerwcu ub.r., gdy uczestnictwo w żadnym organizowanym wtedy w kraju wydarzeniu nie okazało się sukcesem. Gdy to połączyć z fiaskiem kampanii prowadzonej przy okazji promocji książki „Szczerze", mamy pasmo porażek, mimo że nowy etap w życiu i karierze Donalda Tuska miał być pasmem sukcesów.

Oczywiście dla wielu polityków w Polsce, zwłaszcza opozycyjnych, z Radosławem Sikorskim na czele, stanowisko przewodniczącego EPL jest wciąż czymś wielkim i godnym pozazdroszczenia. Jednak ambicje Donalda Tuska sięgały znacznie wyżej, także te materialne, mimo że zagwarantował sobie świetną europejską emeryturę – ok. 21 tys. zł miesięcznie (plus ok. 9 tys. zł emerytury krajowej).

Poobijany, niedoceniony, podgryzany, a często wykpiwany Donald Tusk praktycznie nie ma innego wyjścia, jak stać się najważniejszym w Polsce prowokatorem. Ma zresztą w tej dziedzinie już całkiem spore osiągnięcia. W czasie gdy był przewodniczącym Rady Europejskiej, w sytuacji wzrostu politycznego napięcia w Polsce Donald Tusk nie tonował nastrojów, lecz prowokował do ich eskalacji. Prowokował 19 stycznia 2016 r. w wystąpieniu w europarlamencie, otwarcie przyznając instytucjom UE prawo do ingerowania w polskie sprawy. Prowokował 17 grudnia 2016 r. podczas tzw. puczu sejmowego opozycji, wygłaszając we Wrocławiu mowę w istocie zachęcającą do zamiany okupacji Sejmu w powszechną rewoltę przeciw władzy. Prowokował w styczniu 2017 r., gdy mówił, że przyjęty w Sali Kolumnowej budżet można uznać za nielegalny, co daje opozycji oraz instytucjom UE powody do „karnych" działań przeciwko Polsce, także na poziomie środków unijnych. Również w styczniu 2017 r. straszył rząd Beaty Szydło, że poniesie on konsekwencje, także finansowe, jeśli nie zgodzi się na przymusową relokację uchodźców.

Gdy w lipcu 2017 r. opozycja w Polsce po raz kolejny zmobilizowała ulicę, Donald Tusk zwrócił się „do prezydenta Dudy z propozycją pilnego spotkania w celu omówienia kryzysu politycznego w naszym kraju i jego groźnych konsekwencji dla międzynarodowej pozycji Polski". Prowokował 19 listopada 2017 r., gdy na Twitterze napisał: „Alarm! Ostry spór z Ukrainą, izolacja w Unii Europejskiej, odejście od rządów prawa i niezawisłości sądów, atak na sektor pozarządowy i wolne media – strategia PiS czy plan Kremla? Zbyt podobne, by spać spokojnie". Chyba nikogo nie zdziwiło zatem, gdy 17 stycznia br. napisał na Twitterze: „Wyprowadzają Polskę z Unii, niszczą sądy, by bezkarnie kraść, szczują jednych Polaków przeciw drugim. Głosujesz na nich? Masz prawo. Ale nie masz prawa dłużej udawać, że tego nie widzisz. Bo widzisz".

Poobijany, niedoceniony, podgryzany, a często wykpiwany Donald Tusk praktycznie nie ma innego wyjścia, jak stać się najważniejszym w Polsce prowokatorem

KŁOPOTLIWY POMOCNIK

Donald Tusk nie będzie prowokował dokładnie tak, jak Janusz Palikot, bo sztuczny penis, świński ryj czy różne zachowania obsceniczne to nie jego styl. Ale były premier i szef PO zapewne dobrze pamięta, że to on stworzył Palikota i pozwalał mu na przekraczające wszelkie granice ataki na prezydenta Lecha Kaczyńskiego, a potem także na Jarosława Kaczyńskiego. Palikot był dla Tuska bardzo wygodnym narzędziem walki politycznej mocno poniżej pasa, nawet gdy potem się politycznie usamodzielnił. Przecież na początku projekt Ruchu Palikota był Donaldowi Tuskowi na rękę i stanowił dla niego swego rodzaju rezerwę kadrową czy też kontrolowanego koalicjanta.

Donald Tusk jeszcze nie wie, jak będzie funkcjonował w kampanii prezydenckiej, bo to zależy głównie od personalnych przetasowań w PO, ale zapewne wesprze Małgorzatę Kidawę-Błońską typowymi dla siebie metodami, czyli prowokacyjnymi wypowiedziami i wpisami. Ma w tym doświadczenie, wie już, jakie efekty można wywołać, ale przede wszystkim będzie to zemsta za to, że nie udał mu się triumfalny powrót do polskiej polityki. Trudno oczywiście oczekiwać, że Donald Tusk w znaczący sposób wpłynie na kampanię prezydencką, lecz jego prowokacyjne działania będą cytowane w Polsce i za granicą, co potem wróci z większą mocą poprzez różne pudła rezonansowe. W ten sposób mógłby zostać wartością dodaną w kampanii Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, jej pikantną przyprawą i panaceum na miałkość obecnej fazy tej rozgrywki. Tego nie jest w stanie zagwarantować sobie ani sama kandydatka, ani jej partia.

Powstaje jednak problem, czy Donald Tusk w roli prowokatora i z całym swoim negatywnym bagażem jest w stanie pomóc Małgorzacie Kidawie-Błońskiej. Ona sama takiej pomocy nie odrzuci, ale ważni politycy PO uważają, że Donald Tusk nie będzie atutem. Poza tym obawiają się, że w ten sposób otworzy się przed nim furtka do wtrącania się w sprawy partii i jej meblowania po swojemu, na co nikt nie ma ochoty. Uważają więc, że lepiej gdyby Donald Tusk trzymał się z dala od kampanii prezydenckiej PO (KO) i w ogóle od polskiej polityki, chyba że jako bicz na PiS. W każdym razie na wielu musi robić wrażenie ewolucja Donalda Tuska – od najdłużej urzędującego premiera w III RP, przez „prezydenta" Europy, po mściwego prowokatora przypominającego Janusza Palikota.

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Europejska gra w zielone

Przed polskim rządem stoi w ciągu tego półrocza decyzja – kto wie, czy nie najbardziej zasadnicza i dalekosiężna w ciągu dwóch kadencji Morawieckiego – o skali zaangażowania Polski w Europejski Zielony Ład

Resztki starożytnego nadreńskiego lasu Hambach zostaną ocalone, chociaż koncern energetyczny RWE wyburzy sześć okolicznych wsi, by móc kontynuować rozbudowę potężnej kopalni Tageban, eksploatującej odkrywkowo węgiel brunatny. Nawiasem mówiąc, RWE ma całkiem zręcznych piarowców, którzy z burzenia wsi pod kopalnię potrafią urządzić rozrywkowy happening, na który koncern ściąga turystów. Dla ekologów wymiar symboliczny ma jednak kwestia samego lasu rozciągającego się między Akwizgranem i Kolonią, gdyż to tutaj trwały w ciągu ostatnich lat spektakularne starcia policji z zielonymi aktywistami, którzy zamieszkali w prowizorycznych domkach, zawieszonych wysoko na drzewach. Policyjne akcje przerwał tragiczny wypadek z 2018 r., w wyniku którego z takiego wiszącego domku spadł i zabił się dziennikarz relacjonujący przebieg konfliktu.

NIEMIECKI PAKT

Finalna decyzja co do losu resztek lasu Hambach zapadła 16 stycznia, gdy rząd Merkel i rządy czterech landów wydobywających węgiel porozumiały się co do likwidacji całego niemieckiego przemysłu węglowego do roku 2035 (a najpóźniej do 2038).



JAN ROKITA

To porozumienie jest doniosłe i ciekawe także z polskiej perspektywy. Regionalne rządy Brandenburgii, Saksonii, Saksonii-Anhaltu i Nadrenii Północnej-Westfalii zobowiązują się w nim do wcielenia polityki pełnej neutralności klimatycznej, co w praktyce oznacza zamykanie kopalni oraz radykalną technologiczną transformację elektrowni i ciepłowni, w zamian za co Berlin zapłaci im przeszło 40 mld euro. Znaczną część tych pieniędzy dostaną poszczególne firmy jako swoistą formę odszkodowania, nietraktowanego jako zabroniona w Unii Europejskiej pomoc publiczna, np. sam sektor elektrowni otrzyma 4,5 mld euro. Efektem porozumienia ma być teraz niemiecka ustawa sankcjonująca prawnie to, co stało się przedmiotem politycznej zgody. A po niej kolejne umowy zawierane przez państwo z poszczególnymi firmami precyzujące tryb ich zamykania albo programów restrukturyzacyjnych.

W ten sposób Niemcy, których gospodarka jest dziś ciągle jednym z największych emitentów gazów cieplarnianych w UE, decydują o ostatecznym zamknięciu epoki węgla w swoim kraju. I co szczególnie warte zauważenia, dzieje się to w trybie wielostopniowych kontraktów zawieranych pomiędzy władzami publicznymi (jak umowa berlińska z 16 stycznia) bądź pomiędzy państwem a koncernami i firmami. A wszystkie te kroki poprzedzone były jeszcze wcześniejszą polityczną decyzją specjalnie stworzonej komisji węglowej, w której debatowali ze sobą politycy, działacze gospodarczy, aktywiści ruchów społecznych i lobbyści różnych sektorów gospodarki.

Taki typowo niemiecki model postępowania sprawia, że nowa strategia ekonomiczna kraju nie jest nikomu narzucona, a wielki program przekształcenia i unowocześnienia gospodarki kraju staje się budującym solidarność przedsięwzięciem narodowym. Przy polskim charakterze narodowym

eprasa.pl 3a5bfae0f4



i naszym ostrym konflikcie politycznym byłby to pewnie model trudny do pełnego naśladowania, ale warto, by służył co najmniej jako swego rodzaju inspiracja dla rządzących.

Odszkodowania, do których zobowiązał się rząd niemiecki, będą zapewne częściowo finansowane z pieniędzy unijnych. Dla nowej Komisji Europejskiej ogłoszony w styczniu program Europejskiego Zielonego Ładu jest najważniejszym stawianym sobie przez nią celem politycznym. Ursula von der Leyen zapowiada takie zmiany w projekcie siedmioletniego budżetu Unii, w których wyniku na zieloną strategię przeznaczona zostanie jedna czwarta ogółu wydatków w latach 2021–2027. Będą się na to składać (przynajmniej na razie) trzy główne elementy. Po pierwsze, JTF (Just Transition Fund), czyli specjalny fundusz „sprawiedliwych przekształceń" w sektorze energetycznym; po drugie, program inwestycyjny InvestEU, finansujący ekologiczne inwestycje i miejsca pracy; po trzecie wreszcie, unijny bank EBI, który w listopadzie ub.r. (wbrew protestom Polski, Rumunii i Węgier) zrezygnował z finansowania inwestycji w rozwój sieci gazowej, a od 2021 r. zajmie się wyłącznie przedsięwzięciami z dziedziny „zielonego ładu". W Europie przegra więc teraz rywalizację każdy, kto odpowiednio wcześnie nie dostrzeże strategicznego odwrócenia kierunku, w jakim płynąć będą fundusze w ciągu najbliższej (a zapewne także następnej) dekady. Odtąd to, co nie będzie mieć pieczątki: „zielone", po prostu nie zyska finansowania. To jest rewolucja, ot i tyle.

POLSKA MA CZAS DO CZERWCA

Jeśli wstępne szacunki zostaną potwierdzone, Polska ma już obecnie szanse na finansowanie energetycznej przemiany z tych trzech źródeł na kwotę ok. 27 mld euro. Jak widać, nie jest to suma jakoś drastycznie odbiegająca od 40 mld obiecanych właśnie przez rząd w Berlinie niemieckim landom. Powołanie w drugim gabinecie Morawieckiego Ministerstwa Klimatu i powierzenie go Michałowi Kurtyce było posunięciem nie tylko politycznie rozumnym, ale jeszcze podjętym w najlepszym czasie: u samego początku negocjacji nad podziałem pieniędzy z JTF. Morawiecki nie tylko wpasował Polskę w ten sposób w absolutny priorytet przyjęty przez nową Komisję Europejską, ale także obsadził w roli zielonego ministra polityka cenionego wśród zielonych ministrów z całego świata jako akuszera kompromisu zawartego na konferencji katowickiej 2018 r., nazywanego teraz mianem Katowice Rulebook.

Podczas katowickiej COP 24 udało się skomplikowane ustalenie procedur monitoringu i raportowania przez państwa poziomu emisji gazów cieplarnianych, co jest tym bardziej spektakularne, że rok późniejsza madrycka COP 25, gdzie do sprecyzowania pozostały głównie reguły tzw. handlu emisjami, zakończyła się fiaskiem. Ale w grudniu ub.r., gdy Unia decydowała o definitywnym przyjęciu strategii dojścia do neutralności klimatycznej do połowy stulecia, na prośbę Morawieckiego kwestię polskiego akcesu do tej strategii odłożono do czerwca 2020 r.

Po tamtym grudniowym zebraniu Rady Europejskiej wytworzono w Polsce stan niejasności co do treści i znaczenia podjętych decyzji. Ową niejasność wzmocnił jeszcze sam Jarosław Kaczyński, który po powrocie premiera do kraju gratulował mu „dokonań z Brukseli", dzięki którym „udało się uniknąć ogromnego niebezpieczeństwa: bardzo kosztownej transformacji energetycznej". Także sam Morawiecki w swoich relacjach sugerował, iż dzięki jego postawie Polska została wyłączona z obowiązku pełnego dostosowania swojej gospodarki do reguły klimatycznej neutralności przed rokiem 2050. Dlatego kubłem zimnej wody była logiczna zapowiedź Macrona, że owszem, Polska w czerwcu może się wyłączyć z zielonej strategii, ale to znaczy, że wyłączy się także z uczestnictwa we wszystkich funduszach na tę strategię przeznaczonych.

Wkrótce potem stało się jasne, że publiczne sugestie Kaczyńskiego i Morawieckiego co do zgody Unii na dłuższy proces dostosowawczy dla Polski nie były ścisłe. Konkluzje grudniowej Rady Europejskiej wyraźnie bowiem

eprasa.pl 3a5bfae0f4



stwierdzają, że wszystko, co postanowiono tam w sprawie Polski, to odłożenie polskiej decyzji (na prośbę polskiego premiera) do czerwcowego zebrania Rady Europejskiej.

Jednak obecnie sytuacja wydaje się już dość klarowna. Przed polskim rządem stoi w ciągu tego półrocza decyzja, kto wie, czy nie najbardziej zasadnicza i dalekosiężna w ciągu dwóch kadencji Morawieckiego. Po tym, jak w Europie niemal powszechnie uznano, że zielone przekształcenie energetyczne w naszym kraju będzie najtrudniejsze i najbardziej kosztowne w całej Unii, Polska ma spore szanse, aby stać się kluczowym graczem przy wszystkich dalszych politycznych i finansowych uzgodnieniach w tej materii.

SZANSA NA GOSPODARCZY SKOK

Całkiem prawdopodobne, że w najbliższych latach to bynajmniej nie udział w strefie euro (jak twierdzi wielu ekonomistów i euroentuzjastycznych polityków), ale skala zaangażowania w Europejski Zielony Ład będzie kluczowa dla realnego układu sił wewnątrz Unii. Jak zwykle najjaśniej widzą to w Berlinie, stąd też tak szybkie dojście Niemców do wewnętrznego porozumienia. Co więcej, owa klimatyczna gorliwość Niemców wcale nie stoi na przeszkodzie, aby

W Europie niemal powszechnie uznano, że zielone przekształcenie energetyczne w naszym kraju będzie najtrudniejsze i najbardziej kosztowne w całej Unii

w okresie przejściowym wykorzystywać własny potencjał węglowy z maksymalnym pożytkiem dla niemieckiej gospodarki. Tylko pozornym paradoksem jest więc to, że dzień po tym porozumieniu – 17 stycznia niemiecki minister gospodarki (i zaufany człowiek Merkel) Peter Altmaier wydał zgodę na rozpoczęcie pracy przez węglową elektrownię Datteln 4 należącą do koncernu Uniper, położoną w Westfalii. Uzasadnienie jest proste i logiczne: nowa elektrownia jest bardziej zielona od tych, które Uniper właśnie zamierza zamykać. Zieloność może być przecież stopniowalna.

Polską szansą jest nie tyle bierny akces do Europejskiego Zielonego Ładu podczas czerwcowej Rady Europejskiej, wymuszony pogróżkami Macrona i strachem przed odcięciem od funduszów, ile raczej wykorzystanie uznanej pozycji kraju obarczonego handicapem energetycznym, aby przyjąć rolę tego, czyje starania i postępy koncentrują uwagę całej Europy wymagają nieustannego wsparcia i stawiają w centrum unijnej polityki.

Niegdyś w latach 90. Polska całkiem nieźle zbudowała swoją pozycję w świecie na roli prymusa w przekształceniach demokratycznych i gospodarczych w postkomunistycznej Europie. Europejski Zielony Ład otwiera przed Polską nieco podobną, tyle że ekologiczną, koniunkturę. Z polskiej perspektywy nie chodzi dzisiaj o to, czy słuszna, czy niesłuszna jest owa swoista klimatyczna ideologia, która zawojowuje właśnie umysły europejskich polityków i społeczeństw. Ani nie o to, jak dziwaczni bywają jej co niektórzy fanatyczni wyznawcy (zwłaszcza sfanatyzowane dzieci). Von der Leyen mówi ostatnio o kwocie biliona euro, jaką Europa jej zdaniem w ciągu dekady nieuchronnie przeznaczy na Europejski Zielony Ład. Nawet jeśli szefowa Komisji Europejskiej przesadza, to i tak politycznie istotne jest tylko to, że obecna faza europejskiej „gry w zielone" ma wszelkie szanse przesądzić, które z unijnych państw coś będą znaczyć w Europie i potrafią złapać zielony wiatr w żagle dla wykonania gospodarczego skoku. Które zaś znajdą się w klimatycznej ariergardzie, a tym samym zostaną dla nich tylko resztki przy dystrybucji funduszów, inwestycji i technologii.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 3a5bfae0f4



JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI

Tomasz Grodzki: nadchodzą nowe pytania

Terror psychiczny, nagonka, cierpienie i hejt – otoczenie marszałka Senatu już zrobiło z niego męczennika i wyolbrzymiło krytykę swojego nowego idola. Salony III RP, które przez dekady dehumanizowały prawicowych Polaków, nie radzą sobie z kilkoma prostymi pytaniami o przeszłość i karierę Tomasza Grodzkiego

„Jest chamem, to postać psychopatyczna, jest alkoholikiem, niedomyty, rozmemłamy, nieestetyczny, z zepsutymi zębami, niedouczony, agresywny, cwany" – takie oburzające słowa padają w komentarzach politycznych od wielu lat. Ich adresatem nie jest jednak prof. Tomasz Grodzki, ale... Jarosław Kaczyński, a wcześniej prezydent Lech Kaczyński. O tysiącach (!) publicznych wypowiedzi szkalujących prof. Kaczyńskiego powstały nawet dwa tomy z samymi cytatami, zebranymi przez Sławomira Kmiecika. Wobec prawicy, PiS, katolików nie ma i nie było w mediach liberalnej żadnej litości – a z mainstreamowej kultury, drwin celebrytów i salonowych autorytetów upokarzanie przenosiło się do szkół, firm, na spotkania towarzyskie. Każdy moher, każdy pisowiec doskonale zna to uczucie.

Powyższe inwektywy rzucał nie tylko Janusz Palikot, ale także (te o niedomytym polityku) dziennikarz TVN24 Jacek Pałasiński. Maria Nurowska też nie oszczędza w słowach: „ten Macierewicz to ropiejący wrzód na ciele Rzeczypospolitej!", wyborcy PiS „mają ordynarne ryje". Widać z tego wyraźnie, że przemysł pogardy się nie skończył, ale przybrał minę niewiniątka płaczącego nad mową nienawiści.

ZDZIWIONY GRODZKI

Tymczasem dziennikarze pytają prof. Grodzkiego, jak ustosunkuje się do kolejnych wypowiedzi jego dawnych pacjentów. Czy kiedy był ordynatorem oddziału torakochirugii (1995–1998), a potem dyrektorem (1998–2016) szpitala w Szczecinie, brał łapówki? Do TVP Info i Radia Szczecin zgłosiło się już blisko dziesięciu pacjentów lub członków ich rodzin, którzy wspominają o wręczaniu pieniędzy – ze szczegółami. „Leżałam tam przez cały miesiąc, to człowiek się trochę nasłuchał. Że każdy bierze, że trzeba lekarzowi dać cegiełkę" – wspomina pani Józefa, dodając, że ta „cegiełka" to przynajmniej 5 tys. zł. Prof. Agnieszka Popiela jako pierwsza, jeszcze przed publicznymi pytaniami w mediach, wspomniała o 500 dol., które trzeba było przed zajęciem się jej mamą przekazać na jakąś fundację. Pytania pojawiają się więc coraz częściej, a każdy, kto pamięta lata 90. XX w., ten zna powiedzenie, że „tylko ryby nie biorą" (łapówek), i to także w odniesieniu do ówczesnych realiów szpitalnych. Potwierdzał to raport Open Society Institute z 2002 r., monitorujący kraje mające wstąpić do Unii Europejskiej. W Polsce badania opinii publicznej wskazywały, że „korupcja jest najbardziej rozpowszechniona w służbie zdrowia, sądownictwie, samorządzie lokalnym i państwowej administracji centralnej". Lekarze mieli gorszy wizerunek niż sędziowie i politycy. Czy prof. Grodzki był częścią tej korupcyjnej patologii w ochronie zdrowia? Czy w jego szpitalu miały miejsce takie przypadki?

Jeśli sąsiad kocha drogie auta, a wkoło ludzie gadają, że bierze w łapę, to jedynie plotkarstwo, ale gdy marszałek Senatu jest oskarżany o korupcję, a publicznie chwali się, że do drogich samochodów ma „osobisty stosunek", to staje się normalne, że dziennikarze zaczynają zadawać pytania. „Jak wpłaciłem 10 proc., wyjechałem pięknym autem, o którym marzyłem" – opowiadał marszałek Grodzki w listopadzie Robertowi Mazurkowi, gdy redaktor pytał go o słabość do luksusu. I jeśli istnieje podejrzenie, że Senatem kieruje osoba nieuczciwa, która dla korzyści majątkowych stawiała swoich pacjentów przed upokarzającym dylematem wręczania dodatkowych pieniędzy, to co mają robić dziennikarze, jeśli nie to, co teraz: pytać? Choć opozycja stara się wytworzyć wrażenie, że marszałek Grodzki jest przedmiotem brutalnych ataków, to tak naprawdę wiele nieuchronnych pytań jeszcze nie padło.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3a5bfae0f4

BIOGRAFIE DO PRZEGLĄDU



Czy Tomasz Grodzki był członkiem Solidarności w latach 80.? Sympatyzował z Niezależnym Zrzeszeniem Studentów czy wolał legitymację Zsypu – peerelowskiego Zrzeszenia Studentów Polskich? Wbrew naturalnej postawie politycznej polskich parlamentarzystów Grodzki nie opowiada o okresie studenckim, choć w Pomorskiej Akademii Medycznej studiował m.in. w czasie stanu wojennego. Tymczasem w sprawozdaniu uczelnianym jako przedstawiciel Rady Uczelnianej Socjalistycznego Związku Studentów Polskich w 1980 r. do Komisji Opiniującej w sprawach zatrudnienia absolwentów uczelni figuruje Tomasz Grodzki – czy chodzi o obecnego marszałka Senatu?

Przecież to oczywiste, że jeśli politycy aspirują do władzy, to dziennikarze mają obowiązek prześwietlać kandydata, zwłaszcza pod kątem ewentualnych kompromitujących epizodów, aby nikt nie mógł szantażować polityka czarnymi kartami jego życiorysu.

Dojrzałe społeczeństwa potrafią pytać o szczegóły życia polityków. Dick Cheney, w latach 2001–2009 wiceprezydent USA, a wcześniej kongresmen przez pięć kadencji, na początku kariery przyznał się do swoich młodzieńczych problemów z alkoholem oraz tego, że był aresztowany oraz wyrzucany z uczelni – bo właśnie w duchu transparentności polityków działa dojrzała demokracja. Można powiedzieć, że jest ona mierzona liczbą znanych faktów o swoich politykach. I tak jak członkowie Kongresu USA spowiadają się nawet z rodzaju zabaw na uniwersytetach, tak we wschodniej Europie politycy mają biografie zupełnie sfałszowane, trudno czasem ustalić nawet miejsce i datę urodzenia albo oficjalną ścieżkę kariery. To właśnie z tego modelu korzystało wielu postkomunistycznych polityków w Polsce. To Rzeczpospolita pookrągłostołowa była krajem, gdzie o pewne rzeczy nie wypadało pytać, a inne należało zatajać, w stosunku do konserwatywnych polityków można zaś było zakładać teczki („szafa Lesiaka", czyli afera z inwigilowaniem prawicy w latach 90.). To w III RP Aleksander Kwaśniewski mógł przez sześć lat (!) wypierać się lub przemilczać, że na państwowych uroczystościach nad grobami w Charkowie był pod wpływem alkoholu, mógł też zataić swoje wykształcenie podczas kandydowania na urząd prezydenta.

> Polityczny mainstream jeszcze nie zrozumiał, że okres szczególnego uprzywilejowania się skończył – mamy prawo pytać, szukać i ujawniać fakty z życia tych, którzy chcą rządzić naszym państwem

Ci, którzy nazywają się w Polsce „obrońcami demokracji", definiują ten wolnościowy ustrój głównie przez pryzmat nietykalności – ani lustracja, ani dekomunizacja, ani wreszcie jawność biografii ich liderów już w tym pojmowaniu demokracji nie występują. Polityczny mainstream jeszcze nie zrozumiał, że okres szczególnego uprzywilejowania się skończył – mamy prawo pytać, szukać i ujawniać fakty z życia wszystkich tych, którzy chcą rządzić naszym państwem.

STRACH PRZED ODWETEM

Osiem lat temu publicystka Agata Bielik-Robson przyznała w swojej książce, że „zawsze była przerażona dezynwolturą, z jaką w latach 90. poniżano przeciwników z prawicy i wdeptywano ich w ziemię". Wyraziła także obawę, która jest udziałem większości elit zaangażowanych w zwalczanie konserwatywnych środowisk: „Myślałam sobie: Boże, oni jeszcze tak się odwiną, że my się nie pozbieramy". I zapewne niejeden złamany życiorys polityczny i dziennikarski mógłby za stanie się ofiarą przemysłu pogardy chcieć zemsty albo przynajmniej ostracyzmu wobec liberalnych monopolistów medialnych, którzy wobec prawicy skrupułów nie mieli. Tymczasem odwetu nie ma – jest wreszcie normalna, choć czasem ostra, dyskusja oraz pytania o fakty z życia polityków.

A przecież nie tylko Grodzkiego próbowało się otoczyć murem medialnego azylu, także Paweł Adamowicz i Adam Bodnar mieli być ludźmi symbolami, wziętymi poza nawias politycznej debaty. „W TVP Info był bardzo mocny hejt na Adamowicza, on był ofiarą tego hejtu w duchu lat 90." – przekonywała Karolina Lewicka na falach Tok FM, nie dodając, kto w tamtych latach miał monopol medialny na kampanie pogardy i wobec których polityków to czynił.

Patrząc na bohaterów totalnej opozycji, którzy nie są nawykli do krytyki ani trudnych pytań, na ich histerię i zdziwienie (Jerzy Owsiak potrafił nawet chodzić po stole na czworakach, zamiast odpowiedzieć na pytanie o zebrane pieniądze), można by było pochylić się nad nimi ze współczuciem. Jednak oprócz chrześcijańskiego wybaczania pamiętajmy, że nie o zwykłą ciekawość tu chodzi – każda przemilczana sprawa się mści: w niedziałających instytucjach, finansowych aferach, w takiej Polsce, która – jak to ujął Bartłomiej Sienkiewicz – „istnieje tylko teoretycznie". W praworządnej Polsce żaden polityk nie uniknie trudnych pytań, a marszałek Senatu wkrótce będzie musiał stanąć przed kolejnymi z nich.

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Wyjdźmy z kisielu

Mamy w polityce potężną liczbę wyzwań, a taplamy się w błotku albo uprawiamy zapasy w kisielu. A publika rechocze. Nie o to chodzi! – mówi **Paweł Poncyljusz**, poseł Koalicji Obywatelskiej, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Co pan w ogóle robi w Platformie Obywatelskiej?

Paweł Poncyljusz: Nie jestem członkiem partii, ale klubu Koalicji Obywatelskiej.

I nie zapisze się pan?

Nie uchylam się od tego, pewnie w końcu nadejdzie dobre momentum. Platforma wybiera swojego przewodniczącego i będzie sensowniej przystąpić do PO pod przywództwem konkretnej osoby. Pewnie trzeba będzie rzucić się w ten wir walki politycznej, tym bardziej że kampania prezydencka wymusi moje działania na tym polu.

Dobrze, ale co pan tu robi?

Zajmuję się tym, na czym – jak mi się wydaje – znam się nie najgorzej. Jestem w komisji energii i skarbu państwa, a z drugiej strony pracuję w komisji obrony narodowej. To, co wiem, i to, co poznałem, może być przydatne w Sejmie.

Pytając, co pan tu robi, mam na myśli szersze podejście do Platformy. Nie zadrży panu ręka przy podpisie na legitymacji partyjnej PO? Krytycznych cytatów z pana wypowiedzi jest bez liku.



Krytyczne wypowiedzi wobec PO padały wiele lat temu, kiedy byłem posłem opozycji, co jest naturalne, tak jak Jarosław Gowin krytykował PiS, dziś będąc jedną z twarzy rządu Morawieckiego. Ręka mi drżała, gdy decydowałem o powrocie do polityki, o starcie w wyborach, ale teraz? Wiem, gdzie jestem, wiem, że przekroczyłem Rubikon. Mamy dziś na scenie dwa bloki polityczne: PiS i KO, nic więcej nie ma.

Coś tam jeszcze jest, ale uprośćmy na potrzeby rozmowy: to raczej projekty PiS+ i Platforma+.

I wybór padł na PO. Moje doświadczenie z PJN nauczyło mnie, że trzeba być uczestnikiem dużego projektu politycznego na zasadzie – albo ma się wpływ na rzeczywistość, albo jest się na marginesie.

Ale wie pan – ostro ładował pan w rządy Tuska, a teraz w zasadzie mówi pan: „Nic się nie stało", wchodzę do jego dawnej ekipy.

Teraz to pan upraszcza. Mam dużo pretensji do rządów Szydło i Morawieckiego i na tle mojej krytyki wobec rządów Tuska te cztery lata dobrej zmiany, biorąc pod uwagę prosperity, jakie mamy, to zmarnowany czas, za co zapłacimy. Już płacimy w rachunkach elektrycznych.

Krytyczna ocena to jedno, ale rok 2013 i 2014 to niemal domknięty układ w polskiej polityce, mediach, szeroko rozumianym systemie.

Wie pan... Okazało, że ten układ nie był domknięty. Rok 2015 pokazał, że wybory PO mogła przegrać.

Nie był zabetonowany, ale podomykany owszem.

Pewnie będziemy się tutaj różnić. A skoro o domykanym układzie w mediach mowa: to, co Jacek Kurski wyprawia w TVP, to szczyt propagandy PRL. Nie widzi się tam innego świata niż ten, który pasuje do narracji obozu rządowego.

O widzi pan, to jak w roku 2014 we wszystkich telewizjach.

Tak ordynarnej propagandy w TVP za czasów PO nie było. Pamiętam rok 2010, gdy pojawiały się materiały hołdujące Komorowskiemu, a krytykujące Kaczyńskiego, ale to nie był ten poziom.

Mnie też nieraz zgrzyta przekaz TVP, ale powie ktoś: przynajmniej jest wybór. Zawsze można przełączyć i wejść do drugiej bańki.

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Fot. Andrzej Wiktor

Tylko jak mam to tłumaczyć córce w domu, która przeciera oczy ze zdziwienia, że świat o 19.00 jest kompletnie inny niż świat o 19.30? Ona mnie pyta: o co chodzi?

I co pan jej mówi? Że jedni ściemniają, a drudzy nie?

Mówimy jej, że przyszły czasy, w których musi czerpać z dwóch źródeł, by wiedzieć, jak jest naprawdę. Rzeczywistość jest wypadkową świata TVN24 i TVP Info.

Pięknie, to i tak postęp. Parę lat temu miałaby front jednolitego przekazu.

Nie do końca. Chodzi o to, jak wiele osób może zajrzeć do tych kilku źródeł. W dużych miastach dostęp nie jest problemem, ale...

Ale Polska powiatowa jest uzależniona od Kurskiego?

Nie tyle uzależniona, ile po prostu zdana na TVP, TVP Info. Jeżeli mieszka pan w gminie pod Rzeszowem, to nie ma pan tam nic więcej...

Nie pod Rzeszowem, pod Częstochową, ale zakładałem multipleks na głębokiej wsi i naprawdę „Fakty" można włączyć o 19.00, nikt nikogo za to kołem nie łamie.

Mam po prostu wrażenie, po swoich doświadczeniach z kampanii, że ludzie w terenie czerpali wiedzę tylko z informacji w telewizji publicznej. Nie wiem, czy to ich świadomy wybór, czy techniczne ograniczenie.

Jak pan to dostrzegał?

Widziałem reakcję, gdy jednego dnia TVP uruchamia kampanię przeciw Neumannowi i nagle na targu wyzywają mnie od Neumanna i złodzieja. Jacek Kurski to bardzo inteligentny polityk, ale ma diabła pod skórą i dobrze wie, że kłamstwo powtarzane bez ustanku staje się prawdą.

Kłamstwo?

Dobrze, manipulacja. Spójrzmy, ile poświęcono czasu w TVP tematowi Mariana Banasia, a ile tematowi Sławomira Neumanna. Nie chcę cenzurować mediów, ale znajmy proporcje.

Zostawmy media. Myśli pan, że Polska powiatowa jest po prostu zmanipulowana i dlatego nie wybiera PO?

Uważam, że w 2015 r. to nie PiS i Andrzej Duda wygrali wybory, ale przegrali je Bronisław Komorowski i Platforma pod przewodnictwem Ewy Kopacz. A wybory 2019 r. to w dużym stopniu efekt transferów społecznych, jakie zostały rozdysponowane. Jak widać, dla ludzi jest to ważne.

I jak pan sobie odpowiada na pytanie, dlaczego tak jest?

Bo byli niedoceniani przez niemal cały czas III RP. Pamiętam lata 2005–2007, gdy Jarosław Kaczyński w rozmowach z posłami i ministrami PiS stawiał mocno akcent na potrzebę podzielenia się z obywatelami owocami wzrostu gospodarczego. By nie było tak, że widzą w telewizji wysokie wskaźniki ekonomiczne, a w portfelu hula wiatr. PO tego nie doceniła, a echo z tego słychać w wypowiedziach Michała Boniego, że namawiał Jacka Rostowskiego do uruchomienia transferów pieniężnych dla tych, którzy żyli za minimalne kwoty.

Bartłomiej Sienkiewicz też to sugerował na nagranej taśmie, ale to dalej tylko parę jaskółek.

Tak, ale świadomość była. Inna rzecz, czy deficyty budżetowe z ostatnich czterech lat rządów PiS można zrównoważyć transferami społecznymi. W wielu krajach UE przez ostatnie lata budżety miały nadwyżkę i zbierano środki na chude lata. Nie widzę u nas dziś przygotowań na czas kryzysu. Pytanie, w którym momencie to w nas uderzy.

Czyli do manipulacji TVP dopisujemy efekt 500+?

Tak, choć tu muszę dodać, że to my z Pawłem Kowalem w 2011 r. pierwsi mówiliśmy o wsparciu rodzin z dziećmi. Wyśmiewano nas od lewa do prawa, a to był pomysł „400 zł na każde dziecko". Biorąc pod uwagę inflację, jaka obgryzła 500+, to mamy dziś podobne rozwiązanie. Ale nikt się już nie śmieje. Ludzie chcą czuć ten pieniądz w kieszeni i to dostali. Z punktu widzenia planu politycznego jest to sukces i trudno będzie przelicytować tę ofertę konkurentom politycznym. Polska przeżywa obecnie okres prosperity i wzrostu gospodarczego, na który zapracowały poprzednie rządy. Wzrost płac, który wynika ze

eprasa.pl 3a5bfae0f4

wzrostu gospodarczego, także służy poczuciu wzrostu dobrobytu w przeciętnej rodzinie.

Propaganda, socjal i fart z gospodarką. Nie za prosta ta diagnoza?

Ale proszę zwrócić uwagę, że kryzys w 2008 r. spowodował, że państwo musiało żyć oszczędniej i było na tyle dobrze skrojone, że gdy nastąpiło odbicie w roku 2014, to PiS łatwo mogło opowiadać, że kręci się dzięki nim. A po prostu mieli szczęście, że trafili na ten moment odbicia. Jasne, nie wszystko schrzanili, ale czy to, że nie wszystko możemy zapisać na minus, ma opozycję skłaniać do stawiania tablic dziękczynnych? Zobaczymy za kilka lat, będzie widać, że Polska mogła iść dalej, szybciej i lepiej.

Jak?

Najlepiej idą te projekty, gdy mamy co do nich zgodę ponad podziałami partyjnymi – jak niezależność energetyczna czy pomysł na Baltic Pipe, choć nie mam pewności, czy minister Naimski zdąży z inwestycją przed końcem obowiązywania obecnego kontraktu jamalskiego. Z tej perspektywy żałuję też, że prezydent Duda nie zwołał RBN w sprawie tego, co dzieje się na Bliskim Wschodzie, że nie da się wypracować zgody co do projektu elektroenergetyki czy podstawowych wyzwań co do obronności. Ale dziś rządzący nie chcą rozmawiać z opozycją.

A pan by wyjął te kilka spraw z codziennego sporu?

Wiem, że to może się wydawać naiwne, ale warto zawrzeć porozumienie między rządzącymi a opozycją w kluczowych kwestiach. Nie mogę tego proponować w imieniu całej Platformy, ale jako obywatel i poseł KO uważam, że są sprawy, które powinno się wyłączyć ze sporu politycznego. Rozumiem minister Emilewicz, że wzięła się w poprzedniej kadencji rządu do OZE czy farm fotowoltaicznych, ale to wszystko jest za mało, za późno, za wolno. Rząd nadal upiera się przy inwestycjach w bloki energetyczne na węgiel, choć jest to sprzeczne z polityką klimatyczną UE, za co na koniec dnia zapłacą konsumenci w wyższych rachunkach za prąd z powodu dodatkowych kosztów emisji CO_2. Trzeba się porozumieć w kwestiach spraw międzynarodowych, bezpieczeństwa państwa, roli armii. Mógłbym tak wyliczać długo. I wyliczam: i na komisjach, i w rozmowach z ministrami. Tak rozumiem dziś rolę opozycji. Choć nie mam złudzeń: my mówimy swoje, oni robią swoje, bo co tam opozycja!

Z innej mańki: dlaczego nie ma miejsca na trzecią polityczną siłę albo coś nowego? Odbił się pan w PJN, odbił się Gowin ze swoją Polską Razem, odbija się Petru, Biedroń.

Przede wszystkim, Polacy chcą inwestować w stabilne logo, jakie istnieje od lat. Wybrzydzają na PiS czy PO, ale na koniec dnia chcą mieć pewność niezmarnowania głosu.

Gowin, jak zakładał partię, to śpiewał za Kazikiem: „Nie należę do mafii, nie należę do sekty". U was w sumie było podobnie. I co? Jeden zapisał się do mafii, drugi do sekty i tyle.

[śmiech] Jeśli pyta pan o przyczyny zabetonowania sceny, to powiedzmy o politycznym spadku Ludwika Dorna.

Słucham?

To on dopracował do doskonałości system finansowania partii politycznych w Polsce.

Beton?

Beton. Będąc partią bez subwencji, trudno wejść do Sejmu. Niektórym się to udało, ale były to epizody, bo trwałość finansowa, instytucjonalna, polityczna takich sił jak PiS czy PO powoduje, że nie da się przebić z nowym projektem, tak aby odciskał on swoje piętno na rządzeniu Polską. Rozwiązaniem mogłoby być przeznaczanie 1 proc. podatku na partię co roku – zamiast subwencji.

Ani PiS, ani PO tego nie kupią.

Wiem, ale warto o tym mówić, powtarzać i liczyć, że w końcu pomysł dojrzeje, tak jak dojrzał projekt 500+. Trzeba stawiać sobie cele i pokazywać, jak wygląda państwo naszych marzeń. Politycy powinni pokazywać swoją wrażliwość.

A w którą stronę dryfuje dziś PO? Ku jakiej wrażliwości?

Nie mam poczucia, że to jest dryf, to raczej kwestia zmieszczenia na jednym pokładzie polityków i z lewa, i z prawa. Opinia publiczna często postrzega politykę przez pryzmat performerów – tych jest trochę i po stronie PO, i po stronie PiS. Problem polega też na tym, że wielu widzów, wyborców chce igrzysk i walk gladiatorów. Osobiście źle się czuję w takiej roli, ale czasem słyszę od sympatyków: „Co tak słabo? Trzeba mocniej tym pisowcom dołożyć!". Myślę, że politykom PiS wyborcy mówią podobnie. Z punktu widzenia racji stanu to nie ma sensu.

Dlaczego?

Mamy na horyzoncie agresywną politykę Rosji, spór Chin z USA, bałagan w UE, wreszcie sprawy wewnętrzne: inwestycje, energetyka, obronność. Mamy w polityce potężną liczbę wyzwań, a taplamy się w błotku albo uprawiamy zapasy w kisielu. A publika rechocze, bo jeden drugiego przydusił w tym kisielu. Nie o to chodzi!

Nawet jeśli się z panem zgodzę, to nie ucieknie pan przed pytaniem o skręt Platformy w lewo. I to takie, wybaczy pan, lewackie lewo.

Razem z Pawłem Kowalem jesteśmy identyfikowani jako konserwatyści i dzięki temu dociążamy prawą burtę KO. Wyborca konserwatywny czy centrowy dzięki temu nie jest skazany tylko na PiS. KO, zapraszając nas na listy, dała sygnał, że ma ofertę dla wyborcy, dla którego w systemie społecznym ważna jest rodzina, system wartości oparty na Dekalogu. Wie pan, rozmawiałem kiedyś z przedstawicielem narodowców i oni wpadli na pomysł, że trzeba polityków PO punktować... gdy wychodzą z kościołów w niedzielę. Ale to by było przyznanie się do tego, że żadne tam skręty w lewo nie są prawdziwe, że ci goście ze „strasznej" Platformy chodzą do tych samych kościołów co oni [śmiech]. Jasne, mamy może inną wrażliwość, ale światopogląd nie wyczerpuje długiej listy spraw, w których zgoda w KO jest od lewa do prawa.

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Zdjęcie wykonano w restauracji Street

Fot. Andrzej Wiktor

Uwaga, królowa jedzie

Coraz więcej pań kocha motoryzację, lubi jeździć i robi to dobrze. Umiejętność jazdy nie ma nic wspólnego z płcią, decydują tu raczej indywidualne predyspozycje

Z Karoliną Pilarczyk, mistrzynią Europy w driftingu, rozmawia Dorota Łosiewicz

Dlaczego drifting?

Karolina Pilarczyk: To są takie emocje, że nie ma słów, by je opisać. Kiedy się balansuje na krawędzi, adrenalina sięga zenitu. W samochodzie śmieję się w głos, krzyczę, tak pozytywne emocje wyzwala we mnie ten sport. O ile oczywiście przejazd jest dobry, czyli precyzyjny, szybki, agresywny, kiedy ocieram się samochodem z innym zawodnikiem. Wówczas to jest świetny strzał adrenaliny, który wywołuje ogromny entuzjazm. Zdarza się, że w ramach różnych imprez przewozimy ludzi. Wszyscy, bez względu na płeć i kraj, wysiadają i mówią: „Wow, to niezapomniane przeżycie". Kiedy się wsiada do samochodu rajdowego, to kierowca wykonuje czynności takie jak każdy inny kierowca – przyspiesza, hamuje, wchodzi w zakręt, przyspiesza – oczywiście robi to bardzo szybko i dynamicznie. My robimy coś, do czego większość kierowców nie jest przyzwyczajona – nie hamujemy, widząc zakręt, tylko cały czas przyspieszamy, inicjujemy poślizg i wchodzimy bokiem w dalszą część trasy. To jest naprawdę emocjonujące.

Za co więc dostaje się punkty? Jak ocenia się taki przejazd?

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Drifting to precyzyjna jazda w poślizgu. Nie chodzi tylko o to, żeby przejechać zakręt w poślizgu i z niego nie wypaść. Chodzi o dokładne prowadzenie auta, taką trajektorią, jak chcemy, wyznaczoną przez sędziów. Oni określają tzw. clipping pointy czy drift zony, które samochód musi złapać tyłem podczas jazdy w poślizgu. Żeby to zrobić jak najprecyzyjniej, trzeba oczywiście odpowiednio ustawić samochód i perfekcyjnie nad nim panować. Precyzja jest najważniejsza. Od startu do mety auto trzeba utrzymać w poślizgu, jadąc wyznaczoną linią. Drugi oceniany parametr to prędkość, a trzeci to kąt wychylenia. Każdy zawodnik przejeżdża trasę indywidualnie, zdobywa punkty. W ten sposób np. ze 100 zawodników wyłania się 32 najlepszych, czyli top 32. To oni rozgrywają bitwy, czyli drift battles. Zawody są rozgrywane w systemie pucharowym, więc pierwszy jedzie z ostatnim itd. Wyżej sklasyfikowany zawodnik ucieka linią wyznaczoną przez sędziów, a drugi ma jechać jak najbliżej, musi kopiować linię tego lepszego. Najlepiej gdy koła przednie, będąc w kontrze, ocierają się o drzwi przeciwnika.

Na samą myśl włosy stają mi dęba.

Wyobraź to sobie. Jedziemy 160 km/h, inicjujemy poślizg i suniemy przy drugim samochodzie, ocierając się drzwiami. Taki przejazd jest punktowany, następuje zamiana miejsc, ten, który gonił, ucieka, znowu jest punktacja. Ten, kto ma więcej punktów, przechodzi do top 16, top 8, top 4 i wreszcie wyłaniany jest zwycięzca.

Mówią o tobie Królowa Driftingu. Skąd ten przydomek?

Drifting pochodzi z Japonii. Mistrza nazywano królem driftu, czyli drift king. Zawody, w których biorę udział, to drift kings, a zawody, które wygrywałam, to Queen of Europe, więc mój przydomek bierze się z tytułu, który jest mi oficjalnie nadany. Inna sprawa, że Królową Driftu nazwano mnie już w 2007 r., kiedy zaczynałam swoją przygodę z driftingiem i byłam w Polsce jedyną kobietą startującą w zawodach. Początki były trudne, bo wsparcie było nikłe, sport się rozwijał, trudno było o sponsorów, budżety itd. Wówczas jedna z gazet nazwała mnie Królową Driftingu,



określenie do mnie przylgnęło, a potem pokazałam, że nie było na wyrost. Dziś w tym sporcie jest więcej kobiet, sporo sama namówiłam. Powstała nawet strona Polish Drift Girls i teraz jest nas już w Polsce kilkanaście. Jednak na zawody jeździ tylko siedem dziewczyn, ale to i tak sukces.

Jesteś mistrzynią Europy, a dlaczego nie świata?

Drifting jest tą dziedziną motosportu, która bardzo szybko się dziś rozwija. Rozwija się kontynentalnie. Jeśli chodzi o rozgrywki światowe, to od niedawna organizowane są zawody King of Nations. Niestety, na razie nie było mnie stać na to, żeby wziąć w nich udział. To mój cel i marzenie. Potrzebuję jednak sponsorów, by móc walczyć w ogólnoświatowych zawodach. To koszt rzędu 350 tys. euro. Potrzebne są pieniądze, np. na team, części zamienne, lawety itd. Samochód mam. Ale to właściwie jedyne, co mam. Tańszym kosztem można jedynie wystartować, ale jeśli chce się powalczyć o zwycięstwo, to trzeba mieć solidny budżet. W 2019 r. wystartowałam w amerykańskich zawodach Formula Drift, najbardziej prestiżowych w tej dziedzinie na świecie. Marzyłam o tym od 2015 r. – zbierałam budżet, planowałam logistykę. Cztery lata pracowałam nad tym, żeby zrealizować ten cel, moje marzenie.

> Zmiana przepisów dotycząca jazdy na suwak już sprawiła, że ludzie chętniej wpuszczają, jazda zaczyna być płynniejsza i spokojniejsza

Dla marzeń rzuciłaś chyba nawet pracę w korporacji. Warto było?

Pracowałam przez lata w różnych korporacjach związanych z informatyką. Informatyka to także moja pasja. Studiowałam ten kierunek. Moi ojciec i brat to informatycy. Jednak praca w korporacji okazała się nie dla mnie. Lubię wolność, kreatywność, męczy mnie biurokracja. Jeśli chodzi o drifting, to w mojej rodzinie nie ma w ogóle tradycji motosportowych, nikt mi nie pokazał piękna motosportu i nigdy bym się nie pomyślała, że to będzie mój zawód. Zakochałam się w samochodach nagle, niespodziewanie i nie sądziłam, że zwiążę z tym swoją przyszłość.

A jak to się w ogóle zaczęło?

Oczywiście przez przypadek. Obracałam się głównie w męskim środowisku, bo byłam informatykiem, pasjonowałam się sztukami walki. Kiedy zrobiłam prawo jazdy, nie myślałam o prowadzeniu zawodowym, nie chciałam jednak usłyszeć: „O, baba za kierownicą". Poszłam więc do akademii jazdy, żeby podszlifować swoje umiejętności. I nagle, kiedy uczono mnie kontrolować poślizg, to ja zamiast z niego wychodzić, starałam się jak najdłużej go utrzymać. Sprawiało mi to wielką przyjemność. Do tego stopnia, że instruktorzy zaczęli mnie podkręcać. Była np. przeszkoda, którą należało ominąć, a następnie skontrować samochód i wyjść z poślizgu. Ja omijałam przeszkodę, następnie robiłam obrót o 360 stopni i jechałam prosto. I tak narodziła się pasja.

Powiedziałaś o „babie za kierownicą". Kobiety rzeczywiście gorzej jeżdżą?

Te stereotypy odchodzą do lamusa. Niedawno zrobiłam ankietę wśród społeczności instagramowej z pytaniem, kto jest lepszym kierowcą: kobieta czy mężczyzna. 80 proc. osób odpowiedziało, że to nie ma związku z płcią. Rzeczywiście kiedyś częściej się mówiło, że kobiety są gorszymi kierowcami. Wynikało to głównie z tego, że miały mniejszą praktykę, gorsze samochody, były ostrożniejsze. Teraz coraz więcej kobiet to niezależne bizneswoman, coraz więcej pań kocha motoryzację, lubi jeździć i robi to dobrze. Umiejętność jazdy nie ma nic wspólnego z płcią, decydują tu raczej indywidualne predyspozycje. Kobiety na pewno są ostrożniejsze, za to nie są w jeździe tak agresywne. Mężczyźni są agresywni, walczą na drodze, nie wpuszczają, zajeżdżają. Natomiast i kobiety, i mężczyźni są tak samo dobrymi i tak samo złymi kierowcami.

A jak to jest być kobietą na torze?

Nie da się ukryć, że kobieta na torze wzbudza emocje. Nadal jesteśmy tam w mniejszości. Na zawodach bywa jedna, dwie kobiety w całej grupie. Publiczność intensywniej nas więc obserwuje. Z jednej strony jest duże wsparcie kibiców, ale z drugiej bardziej się nas ocenia i krytykuje. Jeśli mężczyzna popełni jakiś błąd na torze – co wcale nie zdarza się rzadko – to jest tendencja, by go tłumaczyć. Że może to opony się skończyły albo samochód miał wadę, albo coś było nie tak z dyferencjałem itd. Jeśli kobieta popełni błąd, wówczas mówi się, że nie umie jeździć. A trzeba zauważyć, że kobiety i mężczyźni ścigają się przeważnie razem, jeździmy w jednej grupie.

Uroda utrudnia czy ułatwia życie?

Z badań wynika, że ludziom ładnym jest łatwiej w życiu. Bywa jednak, że uroda utrudnia. Nie kojarzy się bowiem z profesjonalizmem. Zdarzało się, że kiedy pracowałam jako informatyk, musiałam ukrywać swoje atuty, zakładać obszerne ubrania. Wtedy klientom łatwiej było mnie traktować jako profesjonalistkę, osobę techniczną. Często musiałam udowadniać swoje kompetencje. Podobnie jest w motosporcie. Wszyscy obserwują, co potrafi dana kobieta i czy przypadkiem nie jest dziewczynką, która chce się podlansować przy samochodzie.

A co partner na twoją pasję?

To na szczęście wspólna pasja. Stanowimy zgrany dream team. On mnie trenuje, jest szefem mojego zespołu, nadzoruje budowę moich samochodów, podkręca mnie, żebym

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 3a5bfae0f4

jeździła szybciej. Często ludzie pytają, dlaczego on nie jeździ. On mówi, że nie jest takim szaleńcem, żeby w pełnej prędkości jechać bokiem na ścianę i zostawia to mnie. Dobrze się dobraliśmy, bo on jest świetnym konstruktorem, mechanikiem, logistykiem, ma doskonałą wyobraźnię, jeśli chodzi o sprzęt. Ja wsiadam do samochodu i mam do niego pełne zaufanie, nie zastanawiam się, co może nie zadziałać. Zostawiam to jemu. Świetnie podzieliliśmy obowiązki, dobrze się rozumiemy. Motosport wymaga wielu wyrzeczeń i bardzo dużo pieniędzy. Gdy obie osoby tym żyją, nie ma dylematów typu jechać na fajne wakacje, czy kupić nowe zawieszenie. Kupujemy zawieszenie.

A można tą pasją zarobić na wygodne życie?

Można. Tu zarabia się głównie na marketingu. Jednak wszystko, co zarobimy, inwestujemy głównie w sprzęt, lawety, przyczepy. Nie prowadzimy wystawnego, luksusowego życia. Mieszkamy w dość małym, dwupokojowym mieszkaniu. Często ludzie się dziwią: jeździcie po całym świecie, macie tyle samochodów, a mieszkacie w takim małym mieszkaniu. A my mamy ambitne plany związane z driftingiem – szukamy dalszych sponsorów, bo marzą mi się mistrzostwa King of Nations.

Czy twoim zdaniem w Polsce jest dużo chamstwa na drodze?

Jest dużo lepiej, niż było, bo dużo się o tym mówi. Coraz bardziej myślimy o innych, coraz chętniej wpuszczamy, coraz rzadziej użycie kierunkowskazu przez innego użytkownika drogi oznacza „przyspiesz", a coraz częściej „zwolnij i wpuść". Agresywne zachowanie na drodze wynika z tego, że zbyt często się spieszymy, za często za kierownicą korzystamy z Facebooka. A ja powtarzam ludziom, żeby wsiadając do auta, skupili się na jeździe, zamiast myśleć o odpisywaniu na esemesy, e-maile czy o robieniu makijażu.

Największe grzechy polskich kierowców?

Opóźniony czas reakcji, zwłaszcza na zielonym. Kierowcy zachowują się, jakby nie dowierzali, że już się zmieniło światło. Potem myślą, jak ruszyć, wrzucają bieg, puszczają wolno sprzęgło. Podobnie zachowuje się każdy następny kierowca, brakuje dynamiki i na ulicy można zaobserwować efekt gąsienicy, z tego biorą się też korki. Innym grzechem jest brak współpracy na drodze, chęć postawienia na swoim, często brak zdecydowania przy wykonywaniu manewru. Zmiana przepisów dotycząca jazdy na suwak już sprawiła, że ludzie chętniej wpuszczają, jazda zaczyna być płynniejsza i spokojniejsza, to także eliminuje cwaniactwo. Nie lubię też szeryfów na drodze, którzy chętnie pokazują innym, jak jeździć, i za karę blokują drogę lub dopuszczają się innych ostentacyjnych zachowań.

Ministrem sportu została kobieta. Czy wiążesz z tym jakieś nadzieje?

Bardzo bym chciała, by sport, także motosport, był w Polsce bardziej wspierany. Sport nie kończy się na piłce nożnej i skokach narciarskich, a czasem tak to wygląda. Polska ma wielu znakomitych sportowców, których warto wspierać i promować, a Polacy potrzebują dumy ze zwycięstw. Większe wsparcie ze strony państwa dla innych dyscyplin bardzo by poprawiło nasze narodowe nastroje. Mało kto wie, że Polska miała i ma bardzo silnych zawodników w motosporcie: Rafał Sonik, Krzysztof Hołowczyc, Kajetan Kajetanowicz, Robert Kubica, Tomasz Gollob. Jesteśmy jednymi z najlepszych drifterów w Europie. Kto o tym wie?



Fot. Materiały prasowe

POLACY

Odc. 1

NA IGRZYSKACH OLIMPIJSKICH SIECI



PIERWSZE SUKCESY

PARTNER DODATKU

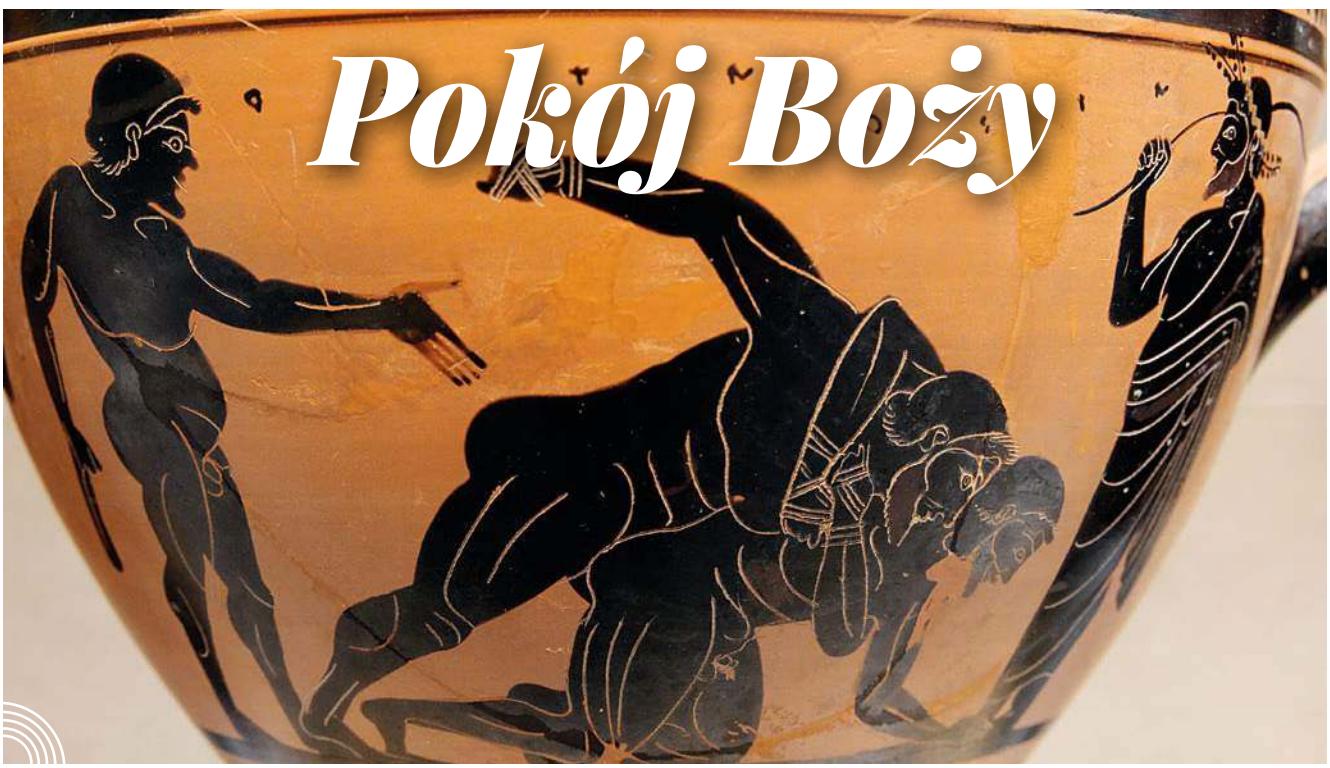
ORLEN

Na olimpijskim szlaku

Już za pół roku tysiące ludzi w Japonii zasiądą na widowniach tokijskich stadionów i aren, a kolejne setki milionów przed ekranami swoich telewizorów, żeby jak co cztery lata świętować największe sportowe wydarzenie na świecie. Przez dwa tygodnie każdy z nas będzie specem od siatkówki, rzutu młotem, żeglarstwa czy jeździectwa, ściskając z całych sił kciuki za powodzenie polskich olimpijczyków. Czy reprezentacja nawiąże do najlepszych występów w historii, gdy wracaliśmy z igrzysk z siedmioma złotymi krążkami? Odpowiedź na to kluczowe pytanie poznamy dopiero w sierpniu, ale już dziś zapraszamy na wspólną podróż przez olimpijski szlak. Przez kolejne miesiące wraz z PKN ORLEN, Sponsorem Strategicznym Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej, będziemy przypominać historię igrzysk olimpijskich i naszych największych triumfów. Liczymy na to, że trzymany przez Państwa dodatek okaże się lekturą z jednej strony ciekawą, a z drugiej dającą jasną odpowiedź na pytanie – dlaczego kochamy igrzyska? My nie mamy wątpliwości: ta impreza to najlepsza emanacja idei sportu, której po prostu warto dać się porwać.

Michał Muzyczuk

Pokój Boży



Fot. Domena publiczna x2

Pax et Treuga Dei – święty czas, w którego trakcie zawieszano wojny, wcale nie jest wymysłem średniowiecznych duchownych. Wielką poprzedniczką katolickiej koncepcji jest ekecheiria, czyli starożytna zasada, w myśl której na miesiąc przed rozpoczęciem i w trakcie trwania igrzysk sportowych organizowanych co cztery lata w Olimpii, zagwarantowany był w Grecji pokój. W teorii polis porzucały na ten czas wzajemne animozje i skupiały się na fetowaniu antycznych megagwiazd, bo właśnie takimi stawali się olimpionicy, zwycięzcy starożytnych igrzysk olimpijskich. W praktyce święty pokój oznaczał jedynie, iż sportowcy podróżujący na igrzyska byli nietykalni

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Greckie igrzyska w Olimpii organizowano od 776 r. p.n.e. aż po koniec IV w. n.e., kiedy w przededniu rozpadu Cesarstwa Rzymskiego zostały zakazane przez Teodozjusza I Wielkiego jako zbyt pogańskie w swoim charakterze. Na wskrzeszenie antycznej idei trzeba było czekać przez kolejne półtora tysiąca lat. Greckie zawody miały głęboko religijny charakter i były organizowane ku czci Zeusa, największego z antycznych bogów, któremu mistrzowie dedykowali swoje osiągnięcia. Każdy z nich dekorowany był gałązką oliwną, która po dziś dzień pozostaje symbolem triumfu i pokoju. Mistrzem mógł zostać jedynie wolny (w sensie statusu społecznego) i niekarany mężczyzna, bo w tamtych czasach kobiety nie mogły nawet zasiadać na trybunach stadionów, a panowie startowali w zawodach... nago. Oczywiście nie dotyczyło to wszystkich dyscyplin, jak chociażby wyścigu rydwanów czy biegu w zbroi, która w początkowym okresie ważyła aż 25 kg. Program igrzysk stopniowo wzbogacał się o nowe dyscypliny, a wśród mieszkańców Grecji największą popularnością cieszyły się zawody w zapasach, rzucie dyskiem i oszczepem czy pięciobój. Szczególną odmianą zapasów był krwawy pankration, którego dzisiejszym odpowiednikiem mogłyby być walki MMA. Co ciekawe, igrzyska olimpijskie nie były jedynymi rozgrywanymi w antycznej Grecji: podobne zawody, choć o mniejszym znaczeniu, rozgrywano w Delfach, Nemei czy Isthmos, specjalnie dla pań organizowane tzw. igrzyska herajskie, a co cztery lata w Atenach odbywały się Wielkie Panatenaje, w których sport również odgrywał niepoślednią rolę. Natomiast to właśnie w Olimpii sportowcy mogli rywalizować w cieniu jednego z siedmiu cudów świata – monumentalnego posągu Zeusa znajdującego się w poświęconej mu świątyni.

W idei igrzysk olimpijskich istotny jest jeden fakt: starożytni Grecy byli wielkimi orędownikami zasady, wedle której „w zdrowym ciele zdrowy duch". Dość wspomnieć, że w igrzyskach brali udział tak znamienici myśliciele jak Platon. Tężyzna fizyczna miała, po pierwsze, wymiar zdrowotny, po drugie, estetyczny (w starożytności estetyka i etyka były z sobą nierozerwalnie połączone), a po trzecie, dawała szansę na zostanie bohaterem całej Grecji. Gimnazjony, ówczesne centra treningowe położone w każdym polis, bynajmniej nie świeciły pustkami. Co dzień trenowały tam setki młodych i starych, których marzeniem było przywdzianie kiedyś korony z dzikiej oliwki i zapisanie się złotymi zgłoskami w historii. O znaczeniu igrzysk świadczy też pojęcie „olimpiady", która stała się jednostką czasu i do dziś oznacza czteroletni okres pomiędzy igrzyskami. Starożytne zawody miały swoich Boltów i Phelpsów, którzy w myśl słów Horacego (nomen omen Rzymianina) budowali sobie „pomnik trwalszy niż ze spiżu". Choć zwykły pomnik również wchodził w grę, bo olimpionicy byli honorowani przez rzeźbiarzy i mogli podziwiać swoje popiersia w rodzinnych miastach. Co ważne, liczyło się tylko zwycięstwo – nazwisk sportowców, którzy zajęli drugie czy trzecie miejsca, nigdzie nie odnotowywano. Już wtedy istniała zasada sportowej rywalizacji zwana „ethikos". Jeśli któryś z zawodników ją łamał poprzez różne formy oszustwa, okrywany był infamią i wykluczany z rozgrywek. Z czasem, gdy wzrastały finansowe nagrody dla mistrzów, olimpijska idea ulegała wykrzywieniu, co obok jawnie niechrześcijańskiego charakteru igrzysk było kolejnym powodem zaprzestania ich organizowania w 393 r. n.e.

Leonidas z Rodos (II w. p.n.e.)



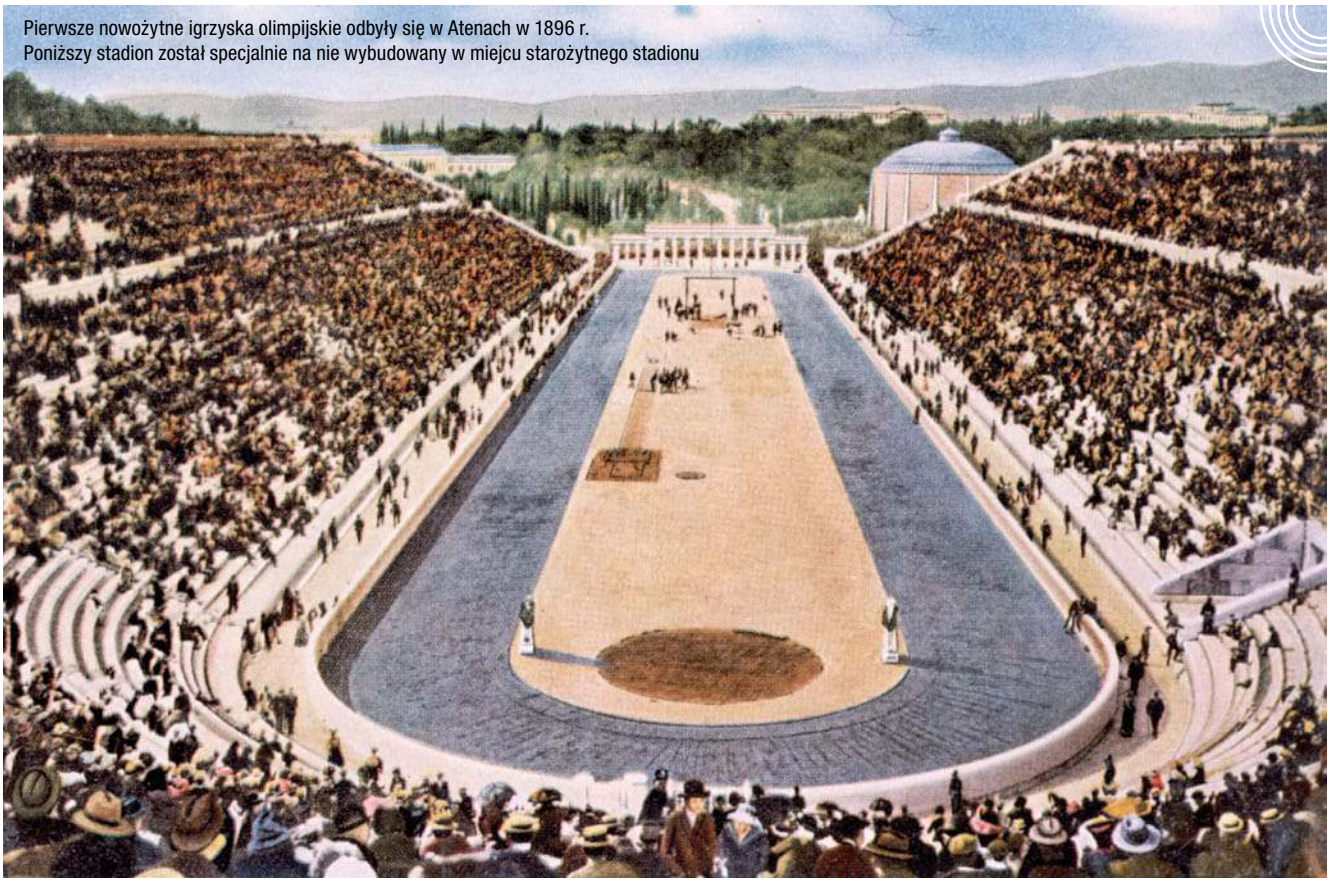
Nazywany największym sprinterem w historii, podczas czterech kolejnych igrzysk wygrywał wszystkie trzy konkurencje sprinterskie (bieg na długość stadionu, bieg na podwójną długość stadionu, bieg w zbroi). Tym samym został 12-krotnym mistrzem olimpijskim – ten wynik pobił dopiero Michael Phelps, zdobywając swój 13. tytuł w Rio w 2016 r. Leonidas był uznawany przez swoich ziomków niemalże za boga.

Milon z Krotonu (VI w. p.n.e.)



Genialny zapaśnik z Kalabrii, który wygrywał zawody w zapasach sześć razy z rzędu. Wedle przekazów przed walkami pożywiał się surowym mięsem z byka, które popijał byczą krwią. Nie przegrał żadnej walki przez trzy dekady, aż w końcu pokonał go Titormus z Etolii w legendarnym finale igrzysk olimpijskich. Po tym zdarzeniu Titormus został uznany za najsilniejszego człowieka w historii świata. Siła Milona jest niemal mityczna, podobno potrafił przenosić byka na własnych barkach. Trudno się dziwić, skoro jego dzienna dieta składała się z 9 kg mięsa, takiej samej ilości chleba i 10 litrów wina.

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Pierwsze nowożytne igrzyska olimpijskie odbyły się w Atenach w 1896 r. Poniższy stadion został specjalnie na nie wybudowany w miejcu starożytnego stadionu

Fot. East News

Citius, Altius, Fortius

Powyższe słowa od wieku są oficjalnym mottem ruchu olimpijskiego i faktycznie najlepiej oddają jego założenia. „Szybciej, wyżej, mocniej" – przecież właśnie o to chodzi w niemal wszystkich dyscyplinach rozgrywanych w ramach igrzysk. Autorem klasycznej już sentencji był dominikanin Henri Didon, a doniosłość słów bardzo szybko podłapał młody baron Pierre de Coubertin, który stał się nestorem nowożytnego ruchu olimpijskiego

Zanim doszło do wykrystalizowania się idei francuskiego szlachcica, w wielu miejscach podejmowano próby powrotu do antycznego wzorca. W XIX w. w Szwecji organizowano igrzyska skandynawskie, a w Grecji dzięki zaangażowaniu Evangeliosa Zappasa kilkukrotnie rozegrano igrzyska panhelleńskie. Z kolei od XVII w. w małym angielskim miasteczku Chipping Campden odbywały się tzw. Cotswold Olimpick Games. Później brytyjski ruch olimpijski rozszerzył się o Wenlock Olympian Games organizowane przez Williama Penny'ego Brookesa, a także igrzyska rozgrywane w Liverpoolu, które jako pierwsze można uznać za prawdziwie międzynarodową imprezę. Druga połowa XIX w. była czasem przełomowych odkryć archeologicznych na terenie starożytnej Grecji i niejako na fali publicznego zainteresowania antykiem doszło do prawdziwego wskrzeszenia ducha zawodów rozgrywanych półtora tysiąca lat wcześniej w Olimpii.

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Idea pewnego barona

Pierre de Coubertin był zafascynowany antyczną rywalizacją sportową. Obserwując greckie i angielskie igrzyska, postanowił połączyć tradycję z nowoczesnością. Przez pięć lat pracował nad zorganizowaniem międzynarodowej konferencji, która miałaby postanowić o restauracji igrzysk olimpijskich. Dla francuskiego barona były one swego rodzaju ideałem: koncepcja świętego pokoju i sprawiedliwej amatorskiej rywalizacji były hołdem dla pierwowzoru, natomiast przekonanie o wartości samego uczestnictwa w zawodach i pokonywania własnych barier jako ważniejszych niż zwycięstwo, a do tego sport jako moc zbliżająca różne kultury, były czymś nowym. W czerwcu 1894 r. w paryskiej Sorbonie doszło do pierwszego kongresu olimpijskiego, na którym zadecydowano o powołaniu Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego z Grekiem Dimitriosem Wikielasem jako przewodniczącym (już dwa lata później stanowisko objął de Coubertin i piastował je aż do 1925 r.) oraz organizacji igrzysk w Atenach w 1896 r. i w Paryżu w 1900 r.

IO 1896, Ateny

Igrzyska olimpijskie 1896 w Atenach odbyły się w kwietniu. Wzięło w nich udział 241 mężczyzn z 14 państw, a sama impreza okazała się wielkim sukcesem. Nigdy wcześniej wydarzenie sportowe nie gościło tak międzynarodowego towarzystwa, a 80-tysięczny Stadion Panateński, zmodernizowany dzięki środkom biznesmena George'a Averoffa, wypełniony był po brzegi. Podczas ceremonii otwarcia odśpiewano uroczyście Hymn Olimpijski skomponowany przez Spirydona Samarasa, a organizatorom igrzysk nie można było nic zarzucić. Łącznie odbyły się 43 konkurencje, w których Grecy zdobyli aż 46 medali, choć klasyfikację medalową wygrali Amerykanie z 11 złotymi krążkami. Choć to nie do końca prawda, bo w Atenach zwycięzcom dawano srebro, a drugie miejsce honorowane było medalem z miedzi (trzecie miejsca nie dostawały nic). Pierwsze nowożytne igrzyska miały swoich herosów. Greckim bohaterem narodowym został Spirydon Luis, zajmujący się na co dzień rozwożeniem wody mineralnej po Atenach, który wygrał w najbardziej greckiej z konkurencji, czyli organizowanemu po raz pierwszy biegowi maratońskiemu. Skojarzenia z Filippidesem nasuwały się same. Dzień po mężczyznach maraton na ulicach stolicy Grecji przebiegła kobieta Stamata Revithi, ale w myśl obowiązujących przepisów wykluczających kobiety z rywalizacji nie mogła wbiec na stadion i jej osiągnięcie utonęło w odmętach historii. Igrzyska obrodziły multimedalistami: w sprintach wygrywał Thomas Burke, na średnich dystansach Edwin Flack, najwyżej i najdalej skakał Ellery Clark, najdalej rzucał Robert Garret, a pierwszym mistrzem olimpijskim został trójskoczek James Connolly. Wśród kolarzy równych sobie nie miał Francuz Paul Masson, w tenisie dominował Anglik John Boland, najszybszym pływakiem był Węgier Alfred Hajos, a najcięższe sztangi podnosili Launceston Elliot i Viggo Jensen. Z kolei konkurencje gimnastyczne zdominowali Niemcy z legendarnym Carlem Schumannem na czele, który wygrał również konkurs... zapaśniczy. Tym samym zdobył cztery złote medale i został najbardziej utytułowanym sportowcem pierwszych nowożytnych igrzysk olimpijskich.

Pierre de Coubertin (1863–1937)

Ojciec nowożytnego ruchu olimpijskiego. Choć wielu twierdzi, że baron przypisywał sobie zasługi, które niekoniecznie były jego udziałem, to jednak bez niego igrzysk olimpijskich by po prostu nie było. Dzięki zdolnościom politycznym potrafił przekonać greckich polityków i działaczy z różnych stron świata do wzięcia udziału w organizacji imprezy w Atenach w 1896 r., a później przez trzy dekady decydował o obliczu Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Barona można nazwać przyjacielem Polski, bo już w 1906 r. pisał o potrzebie istnienia niepodległego państwa polskiego, którego wskrzeszenie jest jedynie kwestią czasu. Jego autorskim dziełem jest flaga olimpijska reprezentująca wszystkie kontynenty, a on sam zdobył złoty medal w dziedzinie literatury (to nie pomyłka, niegdyś na igrzyskach organizowano również zawody artystyczne) w 1912 r. za swoją „Odę do sportu". Na cześć de Coubertina przyznawany jest medal jego imienia dla ludzi reprezentujących w szczególny sposób ducha olimpijskiej rywalizacji. Baron nie był postacią pozbawioną kontrowersji – Niemcy wysunęli jego kandydaturę do Pokojowej Nagrody Nobla w zamian za lobbing na rzecz organizacji igrzysk w Berlinie w 1936 r., u szczytu nazizmu. Komitet Noblowski nie mógł jednak brać kandydatury Francuza na poważnie, bo przyznał wyróżnienie antynazistowskiemu działaczowi Carlowi von Ossietzky'emu, przebywającemu wówczas w niemieckim więzieniu.

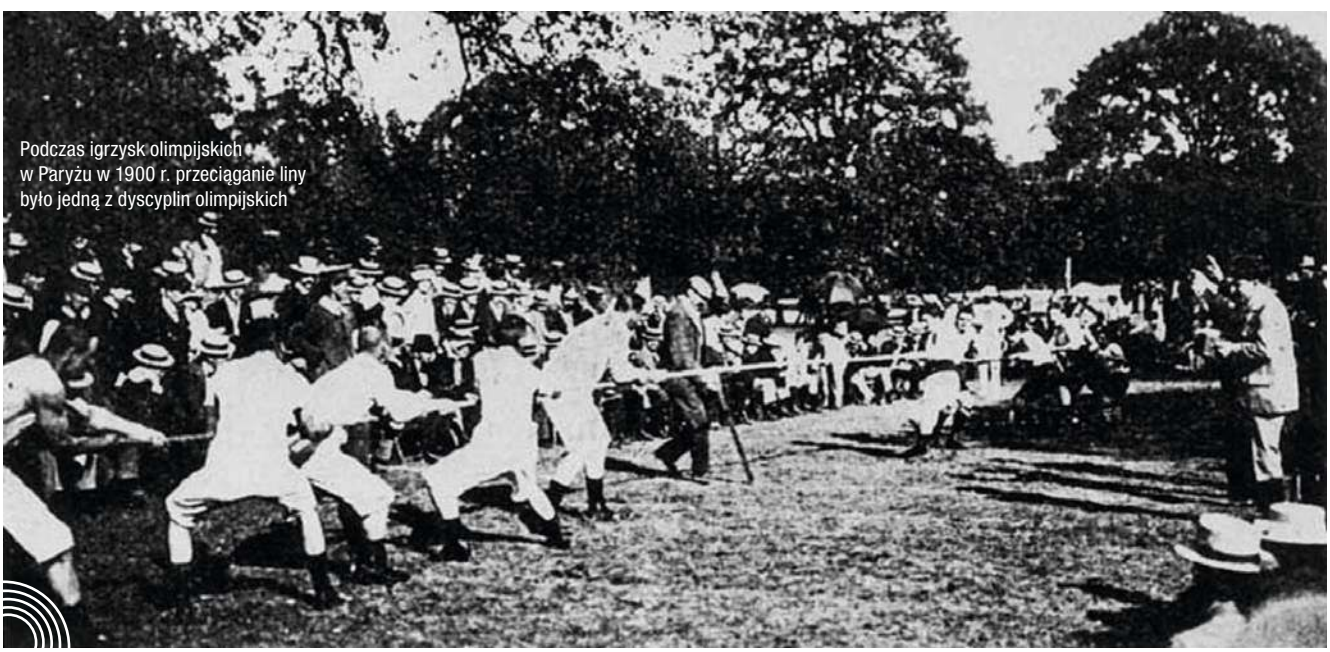


Fot. Domena publiczna

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Olimpizm krzepnie – od Paryża do Antwerpii

Po sukcesie ateńskich igrzysk Grecy optowali za tym, aby impreza już na stałe była rozgrywana w ich kraju. Nie było to w smak baronowi de Coubertinowi, który postawił na swoim i zapewnił narodową rotacyjność w organizowaniu największego święta sportowego. Przez kolejne dwie dekady igrzyska krzepły i wrastały w zbiorową świadomość, choć nie obywało się bez momentów krytycznych. Polacy uczestniczyli w imprezie tylko pod flagą obcych państw, ale już niebawem miało się to zmienić



Podczas igrzysk olimpijskich w Paryżu w 1900 r. przeciąganie liny było jedną z dyscyplin olimpijskich

Fot. Domena publiczna

IO 1900, Paryż

Fatalnym pomysłem okazało się zorganizowanie igrzysk olimpijskich 1900 w Paryżu jako imprezy towarzyszącej wystawie światowej. Od połowy XIX w. wystawy światowe były absolutnie topowymi wydarzeniami, napędzającymi rzesze odwiedzających i kuszącymi turystów najwspanialszymi nowinkami technicznymi. Nic dziwnego, że igrzyska utonęły w morzu setek innych atrakcji, które łącznie przyciągnęły do Paryża aż 50 mln ludzi. W niektórych sytuacjach sami zawodnicy nie wiedzieli, czy biorą udział w igrzyskach, które trwały od maja do października, czy w innych zawodach powiązanych z wystawą. Zresztą do dziś wyniki setek konkurencji są klasyfikowane różnorako. Chaos pogłębiał brak porozumienia pomiędzy szefem wystawy Alfredem Picardem a baronem de Coubertinem. Ten drugi stwierdził później, że to, iż olimpijska idea przetrwała paryską próbę, zakrawa na cud. Igrzyska z 1900 r. były przełomowe – do rywalizacji dopuszczono kobiety, a pierwszymi mistrzyniami olimpijskimi zostały Helene de Pourtales jako członkini zwycięskiej ekipy żeglarskiej i indywidualnie tenisistka Charlotte Cooper. W Paryżu w jednej z konkurencji strzeleckich celowano do... gołębi, co rzecz jasna spotkało

eprasa.pl 3a5bfae0f4

się z silną reakcją obrońców zwierząt (mistrz, Belg Leon de Lunden, na drodze do złota zabił 21 ptaków) i sytuacja nigdy więcej się nie powtórzyła. Wśród złotych medalistów znaleźli się z pewnością najmłodsi w historii mistrzowie olimpijscy, których personaliów niestety nie odnotowano – sternicy osad wioślarskich zmieniali się w wyścigu z kilkuletnimi francuskimi chłopcami, którzy akurat byli w pobliżu i dzięki którym lekka łódź płynęła szybciej. W Paryżu pierwszy olimpijski tytuł zdobył czarnoskóry zawodnik, francuski rugbysta z Haiti Constantin Henriquez. Rozgrywano przedziwne konkurencje, jak przeciąganie liny (w programie igrzysk do 1920 r.), pływanie pod wodą czy grę w baskijską pelotę. Do olimpijskich annałów przeszedł amerykański lekkoatleta Alvin Kraenzlein, który został jako jedyny sportowiec w historii poczwórnym mistrzem olimpijskim w konkurencjach indywidualnych.

Polacy pod obcymi flagami



Przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości zawodnicy z polskim rodowodem startowali na igrzyskach pod flagami innych państw, przede wszystkim reprezentując zaborców. W reprezentacji Austrii w IO 1908 pojawiła się tenisistka Felicja Pietrzykowska, z kolei cztery lata później startował biegacz Władysław Ponurski (ze startu zrezygnowali inni lwowiacy, Tadeusz Garczyński i Wacław Kuchar). Natomiast Rosję w Sztokholmie reprezentowali jeźdźcy Sergiusz Zahorski i Karol Rómmel, strzelec Oswald Reszke, szermierz Pius Leparski, lekkoatleta Piotr Gajewski i piłkarze – bracia Rymszowie. Natomiast w Olimpijskim Konkursie Sztuki i Literatury udział wziął Antoni Wiwulski, twórca odsłoniętego w 1910 r. w Krakowie pomnika Grunwaldzkiego. Największym sukcesem pozostaje brąz wywalczony w Londynie przez Jerzego Gajdzika. Polak pod amerykańską flagą zdobył brązowy medal w skokach do wody z trampoliny. Wspomniany Karol Rómmel mógł liczyć w Sztokholmie nawet na zwycięstwo, ale na ostatniej przeszkodzie jego koń się potknął, a późniejszy podpułkownik Wojska Polskiego wylądował w szpitalu. W dowód uznania król Szwecji przesłał polskiemu zawodników replikę złotego medalu. Rómmel startował jeszcze w dwóch igrzyskach, jednocześnie trenując całą polską reprezentację jeździecką. Jego zasługi dla pierwszego polskiego medalu olimpijskiego są niepodważalne.

IO 1904, St. Louis

Trzy czwarte z niemal tysiąca uczestników paryskich igrzysk stanowili reprezentanci gospodarza, ale jak określić sytuację z igrzysk olimpijskich 1904 w St. Louis? Tylko 60 sportowców pochodziło spoza Ameryki Północnej, a reprezentanci USA zgarnęli ponad 85 proc. medali! Pierwotnie igrzyska miały się odbywać w Chicago, ale postanowiono, że będą one towarzyszyć kolejnej wystawie światowej. Transport do dalekiego Missouri i niestabilna sytuacja międzynarodowa wywołana m.in. wojną Japonii z Rosją sprawiły, że zawody miały w wielu przypadkach bardziej charakter mistrzostw Ameryki Północnej aniżeli prawdziwej rywalizacji najlepszych atletów z różnych stron świata. Z pewnością ciekawą postacią igrzysk był George Eyser, który zdobył sześć medali w gimnastyce. Świetny wynik, ale wydaje się jeszcze lepszy, jeśli weźmiemy pod uwagę, że Amerykanin miał drewnianą nogę, gdyż swoją stracił pod kołami pociągu. Najlepszy wynik osiągnął Czech reprezentujący USA Anton Heida, który w konkurencjach gimnastycznych zdobył aż pięć złotych krążków, znakomicie spisywał się też



Podczas igrzysk olimpijskich w St. Louis w 1904 r. tylko 60 sportowców pochodziło spoza Ameryki Północnej, a reprezentanci USA zgarnęli ponad 85 proc. medali!

Fot. Domena publiczna x2

eprasa.pl 3a5bfae0f4



IO 1908, Londyn

Fot. East News

czterokrotny mistrz w sprintach kolarskich Marcus Hurley. Z kolei Frank Kugler został jedynym w historii medalistą olimpijskim w trzech różnych sportach (zapasy, podnoszenie ciężarów, przeciąganie liny). Niezbyt pamiętne amerykańskie igrzyska, rozegrane przecież po problematycznych paryskich zawodach, stawiały ruch olimpijski w trudnym położeniu. Sytuacji nie ułatwiało to, że gospodarz kolejnej imprezy, Rzym, musiał zrezygnować z organizacji z powodu erupcji Wezuwiusza i będącej jej pokłosiem fatalnej sytuacji ekonomicznej. Olimpiada letnia 1906 w Atenach była czymś w stylu międzyigrzysk, które miały podreperować wizerunek MKOl. Udało się – pomimo okrojonego programu w zawodach wzięli udział najlepsi sportowcy świata chętnie dopingowani przez obecnych na trybunach Greków. Powrócił nawet pomysł, żeby kolebka sportu stała się stałym gospodarzem właściwych igrzysk, ale został zarzucony, zresztą międzyigrzysk też już nie powtórzono. Największą gwiazdą ateńskich zawodów był Irlandczyk z USA Martin Sheridan, prywatnie funkcjonariusz nowojorskiej policji. Z kolei Peter O'Connor, Irlandczyk wpisany na listę reprezentantów Wielkiej Brytanii, podczas ceremonii medalowej zasłynął niecodzienną manifestacją narodową. Nie godząc się na występ pod brytyjskimi barwami, wspiął się na maszt flagowy i wzniósł w górę flagę Irlandii z nieśmiertelnym hasłem „Erin Go Bragh" („Irlandia na zawsze").

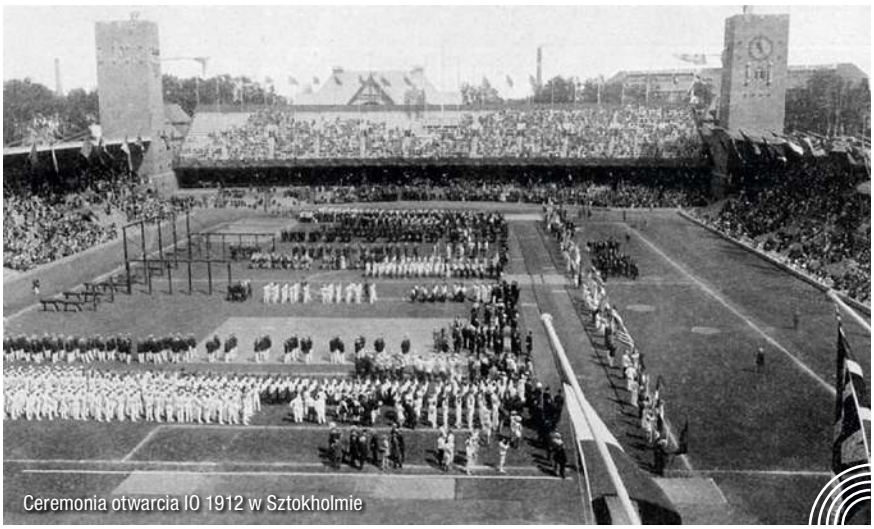
IO 1908, Londyn

Igrzyska olimpijskie 1908 w Londynie, który przejął funkcję gospodarza od Rzymu, trwały ponad pół roku i tym samym były najdłuższymi igrzyskami w historii. I tym razem sportowe wydarzenie towarzyszyło targom, tym razem angielsko-francuskim, które przyciągnęły 8 mln odwiedzających. Wśród konkurencji na wspomnienie zasługuje rozegrany jedyny raz... pojedynek na pistolety! Ryzyko związane ze strzelaniem do siebie nawzajem przypominało duchem bardziej walkę gladiatorów aniżeli igrzyska z Olimpii. Po raz kolejny doszło do skandalu maratońskiego. Cztery lata wcześniej amerykański zwycięzca biegu skorzystał z kilkunastokilometrowej podwózki samochodem, tym razem wyczerpany włoski triumfator Dorando Pietri przed metą był prowadzony pod rękę przez sędziów. Co przetrwało, to dokładna długość maratonu – aby bieg rozpoczynał się pod oknami Windsoru, a kończył przed trybuną angielskiego króla, wyznaczono dystans 42 km 195 m. Po raz kolejny najczęściej triumfowali gospodarze, którzy wygrali ponad połowę konkurencji. Tym razem demonstrację polityczną urządziła reprezentacja amerykańska, która podczas ceremonii otwarcia nie godziła się pokłonić flagi Stanów Zjednoczonych przed flagą Wielkiej Brytanii, w czym została oczywiście najsilniej wsparta przez zawodników pochodzenia irlandzkiego. Warto wspomnieć jeszcze o głównej arenie igrzysk – Stadionie White City, którego trybuny otaczały nie tylko bieżnie, lecz również baseny pływackie i różnorakie boiska, więc widzowie mogli obserwować niemal wszystkie konkurencje w jednym miejscu. Wśród nich znalazło się też łyżwiarstwo – osobne zimowe igrzyska zaczęto rozgrywać dopiero od 1924 r.

IO 1912, Sztokholm

Prawdziwym organizacyjnym i wizerunkowym sukcesem były igrzyska olimpijskie 1912 w Sztokholmie. Niemal 2,5 tys. zawodników z 28 krajów leżących na pięciu kontynentach – już sama skala imprezy, skondensowanej do dwutygodniowego święta niepowiązanego z żadnymi targami i wystawami, mówi wiele. Elektroniczny pomiar czasu, profesjonalni międzynarodowi sędziowie, fotografowie wykonujący zdjęcia w momencie finiszu, rzesza stewardów dbających o zawodników i kibiców, ułatwienia transportowe – z wielu powodów sztokholmskie igrzyska były przełomowe. Po raz pierwszy zorganizowano Olimpijski Konkurs Sztuki i Literatury, w którym w kolejnych latach Polacy mieli niemałe osiągnięcia. Ciekawe rzeczy po raz kolejny działy się na trasie maratonu. Japończyk Kanakuri Shizo zasłabł z powodu upału, po czym dzięki pomocy miejscowej rodziny doszedł do siebie i, nie informując organizato-

eprasa.pl 3a5bfae0f4


Ceremonia otwarcia IO 1912 w Sztokholmie

rów, opuścił Skandynawię. Ponad pół wieku później na zaproszenie władz Szwecji wrócił do Sztokholmu i dokończył maraton, notując czas biegu wynoszący ponad 54 lata. Gwiazdą igrzysk był długodystansowiec Hannes Kolehmainen, pierwszy z pokolenia „latających Finów", zdobywca trzech złotych medali. Coraz mocniej swoją obecność na igrzyskach zaznaczały „wojskowe" dyscypliny, takie jak jeździectwo, szermierka i wymyślony przez barona de Coubertina pięciobój oficerski (inaczej nowoczesny), gdzie jako piąty sklasyfikowany został Amerykanin George S. Patton, późniejszy generał wsławiony osiągnięciami w trakcie II wojny światowej. Oscar Swahn, reprezentujący kraj gospodarza, został najstarszym mistrzem olimpijskim w historii, zdobywając złoto w strzelaniu do sylwetki jelenia w wieku niemal 65 lat. Natomiast widzowie zapasów mogli przysnąć na trybunach podczas oglądania półfinałowej walki w wadze półciężkiej – Martin Klein i Alfred Asikainen siłowali się przez ponad 11 godzin! Klasyfikację medalową wygrali Amerykanie o włos przed Szwedami. Igrzyska olimpijskie 1916 w Berlinie rzecz jasna nie doszły do skutku, choć jeszcze dwa lata wcześniej organizatorzy wierzyli, że się odbędą. Nikt nie przewidywał, że wojna okaże się wielką wojną.

IO 1920, Antwerpia

Igrzyska olimpijskie 1920 w Antwerpii były z wielu powodów symboliczne. Miasto podnosiło się z wojennych zniszczeń, a agresorzy (Niemcy, Austria, Węgry, Bułgaria, Turcja) nie zostali w ogóle na imprezę zaproszeni. Wszyscy uczestnicy igrzysk złożyli przysięgę olimpijską, nad stadionem olimpijskim po raz pierwszy powiewała olimpijska flaga, a wypuszczone w niebo podczas ceremonii otwarcia białe gołębie miały zamykać wojenny rozdział. Premierowy występ na igrzyskach miała zaliczyć Polska, ale musiała się wycofać z udziału z powodu wojny z bolszewikami: gdy w Antwerpii rozpoczynały się sportowe zmagania, na przedpolach Warszawy decydowała się przyszłość odrodzonego państwa. Oscar Swahn znów zapisał się w kronikach jako najstarszy zdobywca olimpijskiego medalu – drużynowe srebro Szwecji w strzelectwie odbierał jako 72-latek! Konkurencje strzeleckie totalnie opanowali Amerykanie: rekordziści zgarniali po siedem medali, a sześć krążków zdobył Willis Augustus Lee, który dwie dekady później jako wiceadmirał zasłynął wygraną bitwą pod Guadalcanalem, punktem zwrotnym II wojny światowej na Pacyfiku. Igrzyska zbudowały legendarną pozycję biegacza Paavo Nurmiego i szermierza Nedo Nadiego, a Polacy poprzez obszerne relacje w gazetach mogli choć częściowo poczuć ducha wielkiej sportowej imprezy. Już za cztery lata odrodzone państwo polskie miało zadebiutować na igrzyskach olimpijskich i zdobyć pierwsze medale. ○


IO 1920 r., Antwerpia

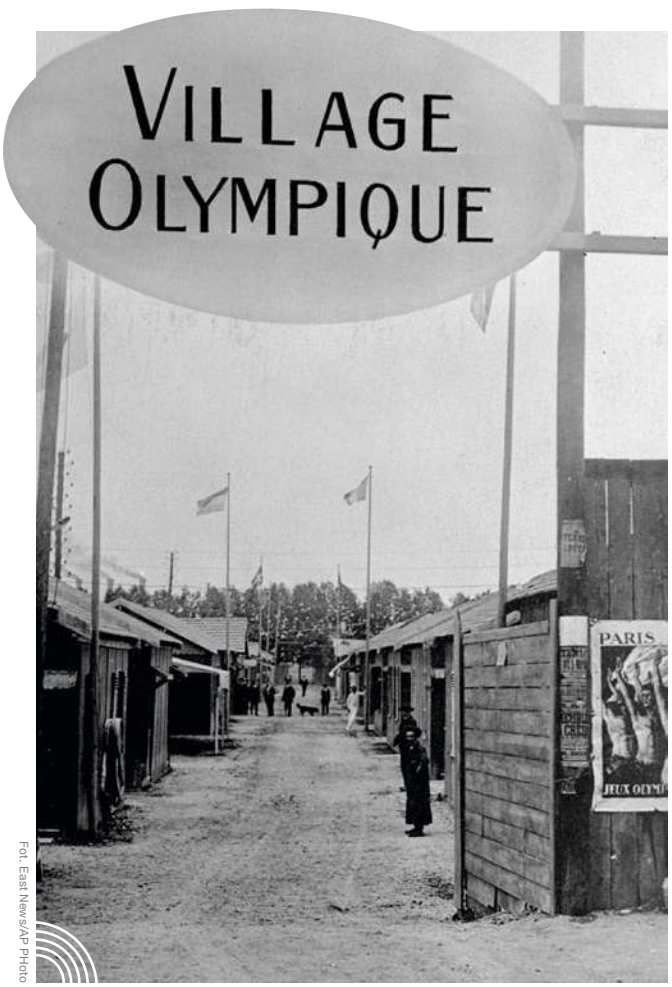

Oscar Swahn

Fot. Domena publiczna x3

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Polski debiut
– igrzyska olimpijskie 1924 w Paryżu

Od razu po wywalczeniu przez Polskę niepodległości MKOl wystosował do młodego państwa zaproszenie do udziału w IO 1920 organizowanych w Antwerpii. Przygotowania szły pełną parą: 12 października 1919 r. przy udziale Stanisława Polakiewicza powstał Komitet Udziału Polski w Igrzyskach Olimpijskich, chwilę później przemianowany na Polski Komitet Igrzysk Olimpijskich, na którego czele stanął książę Stefan Lubomirski. Zawodników, którzy mieli wystąpić w Belgii, zwolniono z frontów, bo Polacy mieli brać udział przede wszystkim w dyscyplinach „wojskowych". Niestety, plany pokrzyżowała bolszewicka ofensywa i konieczność pełnej mobilizacji wszystkich zdolnych do walki Polaków – gdy Europejczycy emocjonowali się wyczynami sportowców na igrzyskach, nasi zawodnicy walczyli o państwowy byt w Bitwie Warszawskiej. Na olimpijski debiut trzeba było poczekać kolejne cztery lata, do imprezy organizowanej w Paryżu



Fot. East News/AP Photo

Polski sport rozwijał się od połowy XIX w., oczywiście w różnym tempie zależnie od stopnia przykręcania śruby przez poszczególnych zaborców. Kuźnią kadr, zarówno wojskowych, jak i sportowych, było Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół" organizowane od 1867 r. w Galicji, a później pod zaborem niemieckim i rosyjskim. Również we Lwowie powstał w 1903 r. pierwszy polski klub sportowy – LKS Czarni. Ważnymi datami w historii rozwoju polskiego sportu są również lata 1907–1908, kiedy zakładano Warszawskie Koło Sportowe i Akademicki Związek Sportowy w Krakowie. Wśród najważniejszych postaci dbających o wychowanie fizyczne Polaków należy wymienić Henryka Jordana z Krakowa i Eugeniusza Piaseckiego ze Lwowa. Po odzyskaniu niepodległości jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać polskie związki sportowe, które od początku 1922 r. koordynował Związek Polskich Związków Sportowych. Na bazie kadr wojskowych tworzono kadry szkoleniowe, zresztą żołnierze byli też, dzięki treningowi odbytemu w armii, najlepszymi sportowcami. IO w Paryżu były sprawdzianem tego, jak silny jest sport odrodzonego państwa.

Niemcy niemile widziani

Najpierw Polska zadebiutowała na premierowych Zimowych Igrzyskach Olimpijskich 1924 w Chamonix, skąd nie udało się przywieźć medalu. Do Paryża zaproszone były wszystkie państwa z wyjątkiem Niemiec, których reprezentanci nie mogli liczyć w stolicy skonfliktowanej z nimi Francji na ciepłe przywitanie. Gospodarze mocno zainwestowali w organizację imprezy, o czym świadczy chociażby wybudowanie po raz pierwszy wioski olimpij-

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Adam Królikiewicz (1894–1966)

Pierwszy indywidualny olimpijski medal stał się udziałem porucznika Wojska Polskiego Adama Królikiewicza, który, jadąc na koniu Picador, zdobył brązowy krążek w konkurencji skoków przez przeszkody. Jeździectwo było w Polsce sportem rozwiniętym dzięki działaniu Centralnej Szkoły Jazdy w Grudziądzu, nad którą pieczę sprawował generał Tadeusz Rozwadowski, piastujący funkcję generalnego inspektora jazdy. Pod okiem znakomitych instruktorów, między innymi olimpijczyków z 1912 r. Sergiusza Zahorskiego i Karol Rómmla (startował również w Paryżu), trenowali żołnierze tworzący ekipę olimpijską. W polskiej drużynie na IO 1924 jeździł m.in. Tadeusz Komorowski, późniejszy generał i dowódca powstania warszawskiego. Królikiewicz, weteran Legionów Polskich, był jeźdźcem znanym w całej Europie. Po zakończeniu kariery sportowej i wojskowej był konsultantem na planach filmowych, co skończyło się dla niego tragicznie: podczas kręcenia „Popiołów" Andrzeja Wajdy spadł z konia i został sparaliżowany. Zmarł jako pierwszy polski indywidualny medalista olimpijski.



Fot. Domena publiczna

skiej z prawdziwego zdarzenia. Zdecydowanym zwycięzcą klasyfikacji medalowej okazały się Stany Zjednoczone przed Finlandią i Francją. Na średnich i długich dystansach znów królowali „latający Finowie" z Paavo Nurmim i Ville Ritolą, który zdobył aż sześć medali, w tym cztery złote. Innymi multimedalistami byli francuski szermierz Roger Ducret czy amerykański pływak Johnny Weissmuller, który kilka lat później miał zasłynąć jako odtwórca roli Tarzana w klasycznej serii hollywoodzkich filmów. Miano najwspanialszego atlety na świecie zyskał Harold Osborn, który zwyciężył w lekkoatletycznym dziesięcioboju przeprowadzonym w ekstremalnych warunkach pogodowych. Echa paryskich igrzysk odbiły się sześć dekad później, gdy klasyczny już film „Rydwany ognia" opowiadający o dwóch złotych medalistach z Wielkiej Brytanii, Haroldzie Abrahamsie i Ericu Liddelu, zdobywał cztery Oscary. Triumf Urugwaju w olimpijskim turnieju piłkarskim świadczył o sile tego zespołu, który już sześć lat później sięgnął po pierwszy tytuł mistrza świata, wygrywając premierowy turniej rozgrywany o ten tytuł.

Srebrni kolarze



Fot. NAC

Pierwszy medal w dziejach polskiego olimpizmu był zasługą kolarzy torowych: Józefa Langego, Jana Łazarskiego, Tomasza Stankiewicza i Franciszka Szymczyka. Na drodze do finału w wyścigu na 4 km Polacy pokonali Łotyszy, przegrali z Belgami (ale awansowali z najlepszym czasem spośród przegranych), a w półfinale nie dali żadnych szans gospodarzom. W finale przeciwko Włochom panowie się pogubili, ale srebro było tak czy inaczej wielkim osiągnięciem. 27 lipca 1924 r. jest datą przełomową w historii polskiego sportu. Poza tym sukcesem Lange, najlepszy z polskich kolarzy, zajął również indywidualnie 5. miejsce w wyścigu na 50 km.

Słodko-gorzki debiut

Jakie były debiutanckie igrzyska dla Polaków? Można oceniać występ reprezentacji dwojako. Z jednej strony zbyt wiele ugrać się nie udało. Z drugiej – była to pierwsza szansa na rywalizowanie z najlepszymi na świecie i sprawdzenie swojego miejsca na sportowej mapie świata, a co za tym idzie – wyciągnięcie wniosków i poprawienie owej pozycji. Do Paryża przyjechała reprezentacja licząca niemal 80 sportowców startujących w 10 dyscyplinach. Jak na tamten czas, dwa medale uznano za dobry wynik. Brąz dobył Adam Królikiewicz w jeździeckim konkursie skoków, a srebro drużyna kolarzy w wyścigu torowym na 4 km. Na nic zdało się odwołanie piłkarskiego sezonu ligowego, żeby piłkarze przygotowali się do igrzysk – po brutalnym 0:5 w meczu z Węgrami nasza reprezentacja mogła się zbierać do domu. Najlepsi polscy piłkarze tamtych czasów, jak Wacław Kuchar z Pogoni Lwów, Józef Kałuża z Cracovii czy Henryk Reyman z Wisły Kraków, byli bezradni. Edward Cetnarowski, ówczesny prezes PZPN, tłumaczył porażkę tremą, jaką odczuwali zawodnicy w olimpijskim debiucie i jednocześnie starciu z jedną z najmocniejszych ekip na świecie. Źle poszło polskim lekkoatletom, wśród których jedynie Antoni Cejzik przebrnął eliminacje i zajął 12. miejsce w dziesięcioboju. Lepiej mogło pójść strzelcom, którzy z powodu typowo wojskowego, a nie sportowego, ekwipunku wylądowali dopiero na 15. miejscu. Źle zaprezentowali się wioślarze i szermierze, którzy sukces odnieśli cztery lata później, ale wart odnotowania jest fakt udziału pierwszej Polki na igrzyskach, Wandy Dubieńskiej, właśnie na szermierczej planszy. Nieźle poszło zapaśnikowi Wacławowi Okulicz-Kozarynowi, który uplasował się na 7. pozycji, z pewnością na lepszy występ liczył żeglarz Edward Bryzemejster w klasie łodzi jednoosobowej. Skromny polski dorobek dobrze oddawał kondycję polskiego sportu, w którym wiele należało poprawić. Już niebawem państwo mocniej zaangażowało się w jego wspieranie, czego efekty kibice mogli odczuć już na kolejnych igrzyskach olimpijskich organizowanych w 1928 r. w Amsterdamie – ale to już zupełnie inna historia...

Autorem wszystkich tekstów jest Michał Muzyczuk

Reklama | 50/0120/F

eprasa.pl 3a5bfae0f4



eprasa.pl 3a5bfae0f4



Saoirse Ronan ma 25 lat i właśnie otrzymała czwartą nominację do Oscara. Za główną rolę w filmie „Małe kobietki" Grety Gerwig, który w sumie ma szansę na pięć statuetek. Ile z nich otrzyma, dowiemy się na początku lutego podczas gali oscarowej

Kocham cię jak Irlandię

Fot. East News

eprasa.pl 3a5bfae0f4







„Małe kobietki" wchodzą w tym tygodniu do polskich kin, a w nocy z 9 na 10 lutego naszego czasu będzie już wiadomo, czy Saoirse Ronan odbierze za swoją rolę statuetkę. Na razie powtórzyła rekord Jennifer Lawrence, która w 2016 r. jako 25-latka stała się najmłodszą aktorką nominowaną czterokrotnie do Oscara.

SEKUNDANCI TALENTU

Skrupulatni obserwatorzy wyliczają jednak, że Lawrence w chwili ogłoszenia decyzji Amerykańskiej Akademii Filmowej (AAF) była młodsza od Ronan o cztery miesiące. Miała też na koncie Oscara otrzymanego w 2013 r. za rolę w „Poradniku pozytywnego myślenia", a wszystkie nominacje zdobyła w imponującym tempie – w pięć lat.

Jednocześnie zauważają, że Ronan zaczęła oscarową przygodę dużo wcześniej niż Lawrence. Już jako trzynastolatka stworzyła docenioną przez Akademię drugoplanową postać w filmie „Pokuta" (2007) w reżyserii Joego Wrighta. Dziewięć lat później (tym razem w pierwszym planie) zagrała w „Brooklynie" Johna Crowleya tak, że w jej ręce trafiła druga nominacja, a po kolejnych dwóch latach – otrzymała następną, za pierwszy plan w filmie „Lady Bird", wyreżyserowanym przez



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Gretę Gerwig, która rok temu zaproponowała jej główną rolę w „Małych kobietkach".

Pomijając XIX-wieczne dekoracje, w jakich rozwijała się samoświadomość i niezależność najnowszej bohaterki, w którą wcieliła się Saoirse, można się pokusić o tezę, że – podobnie jak powieściowa Jo March – także grająca ją aktorka od początku podążała jasno wytyczoną ścieżką. Bliscy mogli jedynie sekundować rozwojowi jej osobowości i talentu.

KOŁYSANKA OD BRADA

Saoirse Ronan urodziła się w Nowym Jorku, ale imię ma irlandzkie. Oznacza ono „wolność". Jej rodzice, którzy wyemigrowali do Stanów w poszukiwaniu lepszego życia, poza genami obdarzyli ją też – wpisaną w imię – cząstką rodzinnego kraju. Zaznaczyli jej odrębność słowem, na którym wielu łamie sobie języki. Tymczasem sama zainteresowana w jednym z telewizyjnych wywiadów podpowiedziała, że wymawia się je „Sorszja".

Kiedy miała cztery lata, jej rodzice postanowili wrócić do rodzinnego kraju, jednak już na tym etapie życia – jak w przypadku imienia – obdarowali swoją córkę dodatkową wartością. Zaszczepili w niej pasję aktorstwa. Saoirse bardzo wcześnie otarła się o prawdziwe gwiazdy ekranu. W trakcie przerw między ujęciami do filmu „Zdrada" z 1997 r. kołysał ją i zabawiał sam Brad Pitt. Saoirse może się tym chwalić, choć nie pamięta oczarowanego nią gwiazdora. Tak zresztą jak reszty ekipy tego projektu oraz kolejnych, do których trafił jej ojciec aktor.

Paul Ronan w USA zarabiał początkowo jako barman, i to właśnie w barze spotkał innego Irlandczyka, Chrisa O'Neilla, który wciągnął go do amerykańskiej branży filmowej. Ronan wykorzystał daną mu szansę nie tylko z myślą o sobie. Na plan i do studia telewizyjnego często zabierał Saoirse, która czuła się tam ponoć świetnie.

AKTORSTWO WE KRWI

Odkąd zaczęła mówić, bez problemu naśladowała akcenty i udawała różne postaci. Oswojona z kamerami, gdy w końcu zaczęła grać w filmach, traktowała to zadanie jako coś naturalnego. Po latach tak podsumowywała ten stan gotowości do aktorstwa: „To nie praca, ale raczej pasja. Nie potrafię tego do końca opisać, to tak, jakby próbować wyjaśnić, dlaczego kochasz swoich rodziców".

Przy takich predyspozycjach mogła trafić przed kamerę jako kilkulatka

eprasa.pl 3a5bfae0f4



i ojciec nawet zabrał ją na jeden z amerykańskich castingów, ale rozkrzyczane i płaczące wokół dzieci wywołały u dziewczynki taką reakcję, że rodzice wycofali się z pomysłu. Potem, z czteroletnią Saoirse, wrócili do Irlandii. Wciąż jednak byli przekonani, że córka ma aktorstwo we krwi.

Kiedy miała dziewięć lat, zadebiutowała na małym ekranie w serialu „The Clinic" (2003). Po kolejnej chwalonej telewizyjnej roli postanowiła zawalczyć o zagranie Luny Lovegood w kinowym filmie „Harry Potter i Zakon Feniksa". Nie udało się, ale 12-letnią Ronan dostrzegł Joe Wright.

W ekranizacji powieści Iana McEwana „Pokuta" (2007) jej starszą siostrę zagrała Keira Knightley (nominowana zresztą za tę rolę do Złotego Globu), ale to postać Briony Tallis doceniono aktorską nominacją do Oscara – pierwszą w karierze Saoirse. Po niej dosłownie posypały się propozycje kolejnych ról oraz związane z nimi wyróżnienia.

W 2009 r. nominację do nagrody BAFTA i statuetki m.in. Saturna oraz Critics Choice przyniosła jej „Nostalgia anioła" Petera Jacksona (grała w niej nastolatkę, która po brutalnej śmierci tkwi zawieszona pomiędzy niebem a ziemią). Jednak przy tej liczbie filmowych propozycji, by sprostać innym zobowiązaniom, Ronan odrzuciła możliwość zagrania w „Hobbicie" tego reżysera. Wybrała m.in. kolejny filmie Joego Wrighta „Hanna" (2011), „Byzantium" (2012) Neila Jordana i „Grand Budapest Hotel" (2014) Wesa Andersona.

IRLANDIA NA EKRANIE

Prawdziwym przełomem, także życiowym, okazał się film, w którym wystąpiła już jako osoba pełnoletnia. „Brooklyn" w reżyserii Johna Crowleya – wpisany w klimat lat 50. ubiegłego wieku melodramat, w którym młoda irlandzka imigrantka musi wybierać między miłością rozkwitłą w Nowym Jorku i tą, która czeka na nią w starym kraju – przyniósł jej kolejną nominację do Oscara.

21-letnia Saoirse po raz pierwszy mogła mówić na dużym ekranie z irlandzkim akcentem. Przede wszystkim jednak była zachwycona scenariuszem. Deklarowała: „Nigdy wcześniej czegoś takiego nie czułam, emocjonalnie byłam w tym samym miejscu, co grana przeze mnie postać".

Po znaczących wyróżnieniach, jakie i przy okazji tego filmu otrzymała (m.in. nominacje do Złotego Globu, BAFTA, Critics Choice, nagrody Amerykańskiej Gildii Aktorów...) liczyła na najważniejszą statuetkę. Nie udało się, za to dwa lata później znów posypały się nominacje, w tym oscarowa, za film „Lady Bird", opowiadający o dojrzewaniu bohaterki i wpisaną w nie skomplikowaną relację matki i córki. Opowieść z życia zbuntowanej dziewczyny (walcząca o Oscara 2018 r. w pięciu kategoriach, w tym dla najlepszego tytułu) przyniosła wcześniej po Złotym Globie: producentom filmu oraz najlepszej aktorce pierwszoplanowej, czyli Saoirse Ronan.

DO CZTERECH RAZY SZTUKA?

Tegoroczna, 92., ceremonia wręczenia statuetek AAF daje jej kolejną szansę na zdobycie Oscara. Bohaterka Ronan, niezależnie od kostiumu, dobrze wpisuje się w obecne trendy walki o prawa kobiet.

Ma jednak poważną konkurencję. W kategorii najlepsza aktorka pierwszoplanowa rywalizuje z: Charlize Theron („Gorący temat"), Scarlett Johansson („Historia małżeńska), Cynthią Erivo („Harriet") i Renée Zellweger („Judy"). Ta ostatnia, podobnie jak nominowana za rolę drugoplanową w „Małych kobietkach" Florence Pugh, pojawiła się na tegorocznej tzw. oscarowej okładce magazynu „Vanity Fair". Saoirse Ronan była na niej, ale w ubiegłym roku. Czy to może coś znaczyć?

Niezależnie od decyzji AAF Saoirse może liczyć na wierną widownię i życzliwych krytyków, zwłaszcza w Irlandii. Od premiery „Pokuty" odebrała dziewięć statuetek IFTA – Irlandzkiej Nagrody Filmowej i Telewizyjnej.

Tymczasem 92. gala wręczenia Oscarów odbędzie się 9 lutego. W Polsce do zobaczenia w odkodowanym paśmie Canal+.

eprasa.pl 3a5bfae0f4



„Psy” tylko dla zakochanych

Możliwe, że nie da się nakręcić dobrej kontynuacji takiego rodzaju filmu. Możliwe, że filmy, które stały się legendarne przez to, że miały premierę w konkretnym czasie i okolicznościach, zawsze będą wzbudzać swoimi kontynuacjami skrajne emocje. Niewielu twórcom udała się sztuka przeskoczenia lub choćby dotknięcia poprzeczki, zawieszonej przez samych siebie w filmach uznanych za kultowe



ŁUKASZ ADAMSKI

David Lynch dokonał tego, powracając po kilku dekadach do miasteczka „Twin Peaks.” John Carpenter bez wstydu reaktywował (choć nie jako reżyser) swojego najsłynniejszego boogeymana Michaela Myersa. Mimo kilku błędów Francis Ford Coppola wskrzesił sagę rodziny Corleone po długich 16 latach. „Psy” są dla naszej popkultury czymś szczególnym. Władysław Pasikowski nie tyle przemeblował polskie kino gatunkowe w latach 90. On je stworzył! Nie byłoby ani Patryka Vegi, ani innych twórców polskich filmów sensacyjnych, gdyby nie obie części „Psów”, a potem kolejne, zanurzone w duchu Jeana-Pierre'a Melville'a, sensacyjne opowieści Pasikowskiego.

COŚ WIĘCEJ NIŻ FILM SENSACYJNY

O ile „Reich”, „Demony wojny według Goi” czy „Operacja Samum” były prostymi i rozrywkowymi filmami jednego z dwóch królów box office (drugim był Juliusz Machulski), to „Psy” od początku stały się czymś o wiele więcej. Aura skandalu, wylewające się z ekranu wulgaryzmy w erze przed Tarantino i tuż po „Chłopcach z ferajny”, oburzenie środowisk solidarnościowych z powodu uczynienia z ubeka bohatera kina akcji (ale też sparodiowanie ballady o Janku Wiśniewskim) nadały filmowi specyficzny wymiar. Moim zdaniem Pasikowski doskonale zdiagnozował problemy rodzącej się III RP. „Czasy się zmieniają, a pan zawsze jest w komisjach” – to zdanie lepiej opisuje postkomunistyczną Polskę niż elaboraty publicystów z prawej strony. Czysto komercyjna kontynuacja z 1994 r. nie miała już tego ładunku, ale również pokazywała wpływy służb mających korzenie w komunistycznym systemie. Wpływy w policji, wojsku i kolejnych demokratycznych rządach III RP.

„Osobiście zatęskniłem do miejsca w polskiej kinematografii, które kiedyś zajmowałem wraz z Juliuszem Machulskim, a teraz okupują je pan Patryk Vega i ci mili, anonimowi twórcy z zagranicy, którzy kręcą »Planety...« i »Listy...«. Może Juliusz [Machulski – przyp. Ł.A.] ma to w nosie, ale ja postanowiłem odbić to miejsce” – tłumaczy Pasikowski w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” swoją decyzję o nakręceniu kolejnych „Psów”. Rzeczywiście Pasikowskiemu trudno powrócić na szczyt, choć jego przejęty po Patryku Vedze „Pitbull. Ostatni pies” przyciągnął do kin ponad milion widzów. Znacznie gorzej poradził sobie jednak zeszłoroczny „Kurier”.

„Psy 3. W imię zasad” wyglądają jak usilna próba powrotu na komercyjny szczyt. Pasikowski zebrał ekipę starych druhów (Linda, Pazura, Żmijewski, Linde-Lubaszenko) i zaprosił na pokład najgorętsze nazwiska dzisiejszego kina popularnego (Dorociński, Fabijański), podlał wszystko muzyką Michała Lorenca i dał nam... no właśnie.

Film otwiera scena skopiowana niemal z otwarcia „Psów 2. Ostatnia krew”. Franz Maurer (Bogusław Linda) jest ostatni dzień w więzieniu. Śni o nowozelandzkiej plaży, której widok zamykał drugą odsłonę „Psów”. Zamiast fal oceanu musi wysłuchać strasznośmiesznej anegdoty współwięźnia (Arkadiusz Jakubik jako nowy Sławomir Sulej). Za bramą więzienia nie czeka na Franca tym razem Waldemar „Nowy” Morawiec (Cezary Pazura) w okularach Axla Rose'a. Po tym co ten dobroduszny „pies” przeszedł w nawalance z ruskimi gangusami od Sawczuka, nie dziwi jego niechęć do Maurera. Ale przeszłość

eprasa.pl 3a5bfae0f4

dopada Franza od razu po przekroczeniu bramy więzienia. Syn znanego z „dwójki" Jakuszyna z GRU daje mu tydzień na oddanie skradzionych ojcu pieniędzy. Do tego tuż przed wyjściem z mamra Franz wypija „coś" w kawie, co powoduje, że czuje się jak Aleksander Litwinienko. Zegar tyka, a na domiar złego do domu nie wraca syn Morawca. Franz i „Nowy" łączą siły, by stawić czoła demonom przeszłości.

Dobry punkt wyjścia? Znakomity. Oto Franz po 25 latach odsiadki trafia do zupełnie obcego mu świata. Jego towarzysze z SB i policji albo nie żyją, albo pracują jako ochroniarze, albo są na emeryturach. Radosław Wolf (Artur Żmijewski) wsiąkł jak kamfora, a uliczne koneksje dawno są nieaktualne. Franz słyszy od gangstera (Eryk Lubos), że to, iż ćwierć wieku temu wysadził pociąg z bronią i odstrzelił kilku gierojów, dziś nic nie znaczy. Jedyną osobą, która pomaga odrzuconemu dinozaurowi z minionej epoki jest jego dawny TW o ps. Panicz (Jan Frycz). Pasikowski znów prowokuje, pytając o miejsce dawnych esbeków w społeczeństwie? Może zaproponuje nam moralitet opakowany w sensacyjne kino rodem ze swojego ukochanego Melville'a albo rozliczającego się z mafijnym kinem Scorsesego z „Irlandczyka"?

Poruszająca jest rozmowa przy wódce Maurera z „Młodym", gdy siedzą na balkonie malutkiego mieszkania „Nowego". Ten po stracie kciuka 25 lat wcześniej jest na rencie inwalidzkiej i społecznie prezesuje grupie działkowców. „Ty może płacisz za to, co robiliście za komuny. Ale ja? Co ja takiego zrobiłem, że mnie to wszystko spotkało?" – pyta „Nowy". Franz wznosi toast „w imię tych, co zawsze wierni zasadom". To zasady tych, których wszyscy odrzucili. „Nie obchodzimy nikogo, ale to nie znaczy, że nie mamy rachunków z tym kurewskim światem" – mówi potem „Nowemu".

Pasikowski daje nam w tych dwóch scenach wszystko, co kochaliśmy w poprzednich „Psach". Archetypicznego twardziela Maurera w garniaku i ze spluwą. Zagubionego między dwoma światami Waldka (Pazura gra tu na najwyższych aktorskich obrotach), surowe dialogi i testosteron wylewający się z ekranu. Bez feminizmu Patryka Vegi i poprawności politycznej wykastrowanego z kontrowersji kina akcji dla dzisiejszych mas. Ale takie „Psy" kończą się po kwadransie.

BAŁAGANIARSKA OPOWIEŚĆ

Wtedy właśnie Pasikowski zupełnie się gubi, robiąc najbardziej bałaganiarski film w karierze. Pisałem, że jego „Pitbull" nie miał szaleństwa Vegi i był zbyt anachroniczny. Był to jednak film spójny i opowiedziany przez solidnego rzemieślnika. „Psy 3. W imię zasad" wyglądają jak trzy różne filmy sensacyjne. Łączy je tylko to, że są westernami o ostatnich prawych bohaterach wymierzających światu sprawiedliwość wbrew skorumpowanemu systemowi. Pasikowski w western opakował wcześniej zarówno „Jacka Stronga", jak i „Pokłosie", nie jest więc to zaskoczenie. Problem w tym, że wątek starych i przemielonych przez życie szeryfów bez odznak powracających do miasta (Maurer, „Nowy") nie pasuje do westernu o zastępcy szeryfa (Marcin Dorociński) rzucającym rękawicę skorumpowanej komendzie.

Ba, ta opowieść wygląda jak kolejna część „Pitbulla" z Despero spotykającym na swojej drodze Franza Maurera. Nawet żałuję, że do takiego bezczelnego crossovera nie doszło. To byłaby nowość w polskiej popkulturze i łączyłaby dwie najsłynniejsze policyjne serie made in Poland. Dorociński nie różni się tutaj zresztą wiele od Despero. To samotnik i twardziel o gołębim sercu, który stracił w przeszłości ukochaną kobietę. Skorumpowany gliniarz (Tomasz Schuchardt) jest ulepiony z dziesiątków podobnych postaci z policyjnego kina, natomiast Sebastian Fabijański, którego uważam za niedocenionego aktora, gra rolę pasującą do parodii kina akcji. To noszący dla niepoznaki okulary jak Clark Kent snajper z Afganistanu, który jest nerdem informatykiem (sic!).

Nie narzekam na trzecie „Psy" dlatego, że jest w nich za mało klimatu poprzednich filmów. Tego klimatu nie da się powtórzyć. Lata 90. dziś służą jako retrostylistyka i przebieranie w te garnitury bohaterów byłoby kuriozalne. Pasikowski udanie zresztą mruga okiem do fanów tych filmów. A to Franz usmarowany pod oknami „Nowego" naprawia auto (znów panewki?), a to kradnie (tym razem bez piłeczki tenisowej) volkswagena i natrafia na żółtego wartburga, jakiego kiedyś pożyczył mu Olo Żwirski. Leżący na szpitalnym łóżku kpt. Stopczyk znów pali radomskie, a generał SB mieszka na ulicy Sędziowskiej. To sympatyczne sceny. Wystarczają do zaspokojenia sentymentalizmu fanów.

WYŚWIECHTANE MOTYWY

Problemem tego filmu jest oklepany i nieciekawy scenariusz. Skorumpowana komenda i jedyny sprawiedliwy pies? Widzieliśmy to u Vegi i Smarzowskiego. Kobieta (Dominika Walo) niemogąca się pogodzić ze stylem życia gliniarza? Przecież to motyw 99 proc. filmów policyjnych. Ograny na wszelkie możliwe sposoby. Pasikowski w latach 90. wyznaczał kierunki gatunkowemu kinu po polsku. Dziś korzysta z jego najbardziej ogranych elementów. Ale nie bawi się nimi, nie żongluje. Nawet główna strzelanina filmu jest monotonna i nie może się równać ze sceną z pociągu w „dwójce". Nie pozostaną po tej części żadne powiedzonka, co było przecież znakiem rozpoznawczym poprzednich filmów. No może poza tym jednym: „Nigdy nie dowiesz się, policjant, ile jesteś wart, jak nie spojrzysz śmierci w oczy. I jak teraz, szmato, będziesz żył?" – mówi więzionemu w dawnej katowni SB gliniarzowi Maurer.

Ja natomiast wiem, ile wart jest film kończący najsłynniejszą policyjną opowieść polskiego kina. „Psy 3. W imię zasad" mają kilka momentów godnych dwóch poprzednich części. Dla nich każdy fan tej serii do kina pójść powinien. Niestety jako zakończenie kultowej trylogii jest pełen ślepaków, jakimi napełniony był kałach, którym Franz Maurer próbował się odstrzelić w pierwszym filmie. Nie powiem, że „to zły film", parafrazując Maurera. Nie mówię tego jednak przez odruch serca i sentyment. Tylko dlatego.

eprasa.pl 3a5bfae0f4

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Brandys zaprasza do psychiatry

Lenie Frankiewicz zawdzięczam w zeszłym roku jedno z moich ulubionych przedstawień teatralnych – „Jak być kochaną" w Teatrze Narodowym, według opowiadania Kazimierza Brandysa. Jak widać, zasmakowała w tym autorze. W ten poniedziałek obejrzycie w Teatrze Telewizji „Inkarno" nakręcone pod jej batutą.

Napisane w roku 1962 jako dramat, wystawione przez kilka teatrów, potem zostało zapomniane. Siedem lat później Brandys stworzył jego drugą wersję jako opowiadanie. Głód poszukiwania dobrych tekstów scenicznych skierował uwagę na pisarza bez wątpienia bardzo sprawnego. Panią reżyser trzeba jednak ostrzec.

Porwała się na utwór będący po części komedią, w każdym razie naszpikowany komediowymi akcentami, którego akcja dzieje się w szpitalu psychiatrycznym. Nazywanym kiedyś, jak mówi kierujący nim Profesor, domem wariatów, nawet jeśli jego formalna nazwa brzmi: Klinika Leczenia Nerwic.

Żartów i gagów z udziałem pacjentów jest tu sporo. Tymczasem oświecona opinia reaguje na nie coraz gorzej. Owszem, mają te zabawy bogatą tradycję literacką. Ale skoro nawet film „Joker", traktujący serio problem szaleństwa, nie uniknął ataków... Ba, Wojciech Pszoniak, przedrzeźniający w zbożnej wszak intencji zdemaskowania PiS umysłowo chorego, został skarcony.

W roku 1962 takiej poprawności akurat nie było. Brandys zbudował fabułkę trochę o potędze psychiatrii łamanej przez psychologię, trochę o pytaniu egzystencjalnym, kim jestem, a trochę o tym, jakież to każdego człowieka może spotkać qui pro quo. Dzieje się to niby w PRL (milicja), ale tak naprawdę wszędzie i zawsze. Można w tajemniczych odzywkach i dylematach doszukiwać się sensów. A można, jak grający w przedstawieniu aktor Arkadiusz Janiczek, odpowiedzieć na przedpremierowym pokazie: O czym to jest? O tym, że każdy jest wariatem. Aby nas o tym przekonać wszystko zaaranżowano w ponurych wnętrzach prawdziwego szpitala Drewnica w Ząbkach.

To taka opowiastka, w której cały czas mamy wrażenie, że docieramy do zakrętu, a zza niego wyjrzy coś naprawdę istotnego. Moim zdaniem więcej tu mistyfikacji niż głębi. Ale trzeba przyznać, dialogi są chwilami błyskotliwe. No i ten lęk, można by rzec, pierwotny, którym podszyta jest znaczna część naszej kultury. Jak łatwo przekroczyć granicę między zdrowiem a chorobą – mowa o psychice. A jak łatwo komuś chorobę wmówić? A jak prosto wziąć każdego z nas za kogoś innego, choćby za mordercę. Brandysa pasjonowało to na rok przed moim urodzeniem.

Nie zatracajmy tego lęku w śmichach-chichach. Choć, pamiętajmy, teza, że normy psychicznej całkiem nie ma, a każdy może być zdrowy lub chory, to krok do podważenia społecznego porządku. Ale i do wybitnych dzieł, by przypomnieć „Lot nad kukułczym gniazdem".

Frankiewicz sprawnie poprowadziła widowisko, mniej symboliczne i jednak mniej posępne od „Jak być kochaną. Choć niczego nie wyjaśniła, nie zostawiła mnie z poczuciem niedosytu. Szaleństwo świata? Proszę bardzo.



Jako główni aktorzy zostali przedstawieni Gabriela Muskała i Jan Frycz, gwiazdy z „Jak być kochaną". Ale show kradnie jak zawsze pełen sardonicznego wdzięku, coraz wytrawniejszy jak najświetniejsze wino, Jan Englert w roli Profesora i Wiktoria Gorodeckaja w roli piekielnie zimnej, a potem pogrążającej się w szaleństwie doktor Małgorzaty. Jest i galeria chorych, wśród których wybijają się Arkadiusz Janiczek oraz sędziwy Jerzy Łapiński. Jest wszystko, aby mieć poczucie udziału w dobrym teatrze.

Piotr Zaremba

W drodze z La Manchy

Na plakacie postać, którą kojarzy każdy. I znakomicie wpisujący się w stylizację aktor – Modest Ruciński. Jako człowiek z La Manchy, człowiek w zbroi – jak na rycerza przystało, ale i z rozwianym włosem, co może zapowiadać wewnętrzne rozwichrzenie tej spiżowej postaci. I jeszcze spojrzenie – uważne, skupione, wydaje się, świadome konsekwencji zdarzeń. Tyle udaje się wyczytać z portretu, który pojawił się na warszawskich ulicach, zapowiadając nową odsłonę znanej opowieści.



W ostatni dzień stycznia na scenie stołecznego Teatru Dramatycznego stawi się najbardziej rozpoznawalny błędny rycerz. Będzie bohaterem obłędnie (w sensie: wyjątkowo, wspaniale) – można się spodziewać – przedstawionej historii. Rezonującej z dzisiejszym światem, choć czerpiącej z przeszłości – tej najodleglejszej, kiedy priorytetem wojownika w zbroi były honor i odwaga; nieco późniejszej, gdy Miguel Cervantes pisał swoją powieść o Don Kichocie, wreszcie tej z roku 1965, gdy musical „Człowiek z La Manchy" zawitał prapremierowo na scenę Broadwayu.

– Temat, sens, energia, wszystko, co w tej opowieści się znajduje, jest niezwykle aktualne. Daje do myślenia i porusza – podkreśla reżyser najnowszej premiery na scenie im. Gustawa Holoubka Anna Wieczur-Bluszcz.

„Człowiek z La Manchy" to musical pełen rozmachu, do dziś przyciągający publiczność zarówno librettem odwołującym się do literackiego pierwowzoru, jak i formą. – Przepiękna, wspaniale „uruchamiająca" widza muzyka; warstwa melodyjna dopełniająca sceny i dialogi, ale też zapadające w ucho piosenki, z tekstem, w który warto się wsłuchać... – wymienia reżyser. Choćby tak pojemna fraza: „Śnić sen najpiękniejszy ze snów..." (w utworze śpiewanym przez Don Kichota), którą bohater w następujący sposób rozwija: „Iść w bój w imię cierpień i krzywd/ I nieść ciężar swój ponad siły/ Iść tam, gdzie nie dotarłby nikt".

– Podniosłe, a zarazem motywujące. Pokazujące, jak rośnie siła w wymowie, sensie tej opowieści, w postawie Don Kichota – dopowiada Wieczur-Bluszcz.

Bohater pokazany w „Człowieku z La Manchy", zdaniem twórców spektaklu, nie jest oderwany od rzeczywistości. Doskonale rozumie otaczający go świat. Jego zachowanie, postawa są świadomym wyborem; decyzją, jak żyć. Z pełnymi tego konsekwencjami. Ale, oczywiście, ostateczna interpretacja będzie należeć do widzów.

Najnowsza premiera na scenie im. Gustawa Holoubka wpisuje się w trend obserwowany od jakiegoś czasu w teatrach dramatycznych, które coraz chętniej sięgają po spektakle muzyczne.

– Forma musicalu daje nam dystans do sensu, potrafi wzmocnić metaforę bardziej niż w przypadku tekstów dramatycznych – stawia tezę autorka spektaklu. – Mamy muzykę, czyli abstrakcję, dodatkowy wymiar. Jest libretto z jego skondensowaniem słów i zdarzeń, bez wnikania w ich głębszy sens... To rodzaj ograniczenia, które może służyć zintensyfikowaniu i przekazu, i odbioru.

Widzowie lubią musicale, bo oferują rozrywkę, wartką narrację, wprowadzają elementy humoru, ale ta forma pozwala też wiele przekazać. – Poprzez skondensowanie, dystans i metaforę, dopełnione wspaniałą muzyką i choreografią, przekaz staje się bardziej otwarty i przystępny. Ale też uwodzący – konkluduje Anna Wieczur-Bluszcz.

Dzięki tej „uwodzącej" formie teatralni twórcy mają szansę opowiedzieć coś głębokiego, ważnego i poruszającego znacznie większej grupie odbiorców.

W „Człowieku z La Manchy", musicalu z istotnym przekazem, uwodzić widza pomoże Modest Ruciński jako Don Kichot (ale też Cervantes i Alonso Kichana). A towarzyszyć mu będą znani także z małego ekranu: Krzysztof Szczepaniak (jako nieoczywista wersja Sancho Pansy) i Anna Gajewska (Dulcynea) oraz m.in. Tomasz Budyta, Mariusz Drężek, Małgorzata Rożniatowska, Anna Gorajska, Mateusz Weber, Waldemar Barwiński i gościnnie Anna Iberszer, odpowiedzialna też za choreografię. Autorką scenografii i kostiumów jest Ewa Gdowiok, kierownictwo muzyczne objął Adam Sztaba, a zespół wokalnie przygotował Kuba Matuszczyk.

Jolanta Gajda-Zadworna

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Topor idzie na kuroniówkę



Wojciech Stanisławski

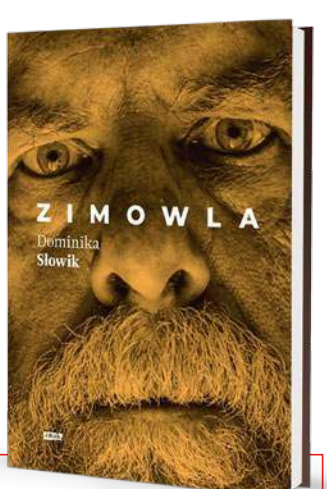
Opowieść Dominiki Słowik jest nie tylko świetną grą literacką: mówi ważne rzeczy o Polsce naszych czasów

Doświadczają lub doświadczą tego wszyscy, zwykle boleśnie: odczarowania. Ład, czasem groźny, a przynajmniej sekretny, ale wiążący z sobą mocnymi więzami ludzi i sprawy, osypuje się w przypadkowość, niczym witraż, z którego został stos szklanych drzazg. „Hrabia z załamanymi pogląd rękoma/ Na snopek uwiązanej trawami mietlicy,/ Którą brał za pęk strusich piór w ręku dziewicy/ [...]/ Po cóż się łudzić, krzyknął, zgaduję po czasie!/ Moja nimfa tajemna pono gęsi pasie!". Biedny Hrabia! Biedny Don Kichot! Biedni my.

Podkreślam ten wątek odczarowania, żeby podsunąć czytelnikom jakikolwiek trop, po który nie sięgnęli wcześniejsi recenzenci „Zimowli" Dominiki Słowik. Fatalnie spóźniłem się z jej przeczytaniem, zatrwożony rozmiarami jesiennej nowości, i teraz mam za swoje: co druga osoba wypowiadająca się o tej powieści podkreśla (i słusznie) atmosferę niesamowitości, a liczba komentatorów wzrośnie jeszcze pewnie po przyznaniu „Zimowli" na początku stycznia Paszportu „Polityki".

Skoro więc nie uda mi się uniknąć powtarzania cudzych spostrzeżeń, przyznam ochoczo: „Zimowla" okazuje się powieścią o narastaniu niesamowitości – i postępującym równolegle, w tle, odczarowaniu. Niesamowitości szczególnego rodzaju, uwodzicielskiej i najgroźniejszej: pomału, niepostrzeżenie, nasączającej „normalną" rzeczywistość, a z czasem wchodzącej z nią w symbiozę. Powieść Słowik jest doskonale wolna od nietoperzy, trzykropków, duchów i zwłok, całej tej krwawej kosmetyki tanich horrorów. Niezwykłość pojawia się w ostentacyjnie banalnym życiu prowincjonalnego miasteczka nienatrętnie: wynurza się i znika, jak głaz tkwiący w nurcie lokalnej, podgórskiej rzeki, który można bez trudu opłynąć.

Fraza „polskie Twin Peaks" pojawia się w co drugim tekście o „Zimowli", ale nie sposób jej nie powtórzyć, bo nie jest to niesamowitość nestora Stefana Grabińskiego ani nawet Andrzeja Stasiuka z nie tak dawnych przecież „Opowieści galicyjskich". Nie wyrasta ona z powieści gotyckich, nie wywodzi się od strzyg Kolberga: pojawia się między bankomatem, faksem a dyskontem. Wszystko dzieje się w krajobrazie, który był dotąd domeną reporterów i autorów kryminałów: miasteczka zmagającego się z transformacją, która zamknęła miejscową fabrykę, ale otwarła granicę prowadzącą na Zachód.



Dominika Słowik, „Zimowla", Wydawnictwo Znak, 2019

Cała jaskrawość czekolad „z okienkiem" i zajeżdżonych na śmierć diesli z lakierem metalic, będąca dotąd pożywką dla nostalgii czterdziestolatków, staje się w „Zimowli" pożywką dla niepokojących przemian. Czasem ta niesamowitość wyrasta w pióropusze fantazji godne „Ulicy krokodyli"; czasem, nader nieprzyjemna, wibruje na granicy krzyku, niczym w „Lokatorze" Polańskiego czy „Dzienniku panicznym" Topora – by po chwili znów osunąć się w duszne ciepełko „Ojca Mateusza". Swojskość najbardziej banalna – wydeptanej do klepiska trawy na górce, gdzie zbiera się kawalerka, plastikowych korków od wina musującego – z której wyrasta dziwność niczym z koszmaru: to mi mistrzostwo!

To uwiedzenie – bo „Zimowla" uwodzi, niepotrzebnie obawiałem się sześciuset stron, czyta się ją w jeden wieczór – dokonuje się, jak zwykle bywa, starymi jak świat, tylko zastosowanymi po mistrzowsku środkami. Jak każda naprawdę dobra powieść, i ta ma zestaw swoich motywów: pszczoły, szkło, woda, miód, lód, lustra powracają w kolejnych odsłonach, a gra tych odbić zwodzi nas i myli tropy. Jaka radość, że takie chwyty nadal działają! „Potem, kiedy prawdę mówiąc było już za późno, najróżniejsze instytucje opracowały rysopisy owego człowieka" – pisał Bułhakow blisko sto lat temu, prowokując nas do spytania, co takiego się stało i czemu było za późno; dziś Słowik pointuje każdy rozdział zdaniem, które, na pozór odsłaniając, ukazuje nam, że czegoś bardzo istotnego nie wiemy, że czym prędzej musimy coś odkryć, przeniknąć strzępy niezrozumiałych słów. Tak robi się najlepsze seriale (nie zdziwiłbym się, gdyby po „Zimowlę" sięgnął Netflix!), ale ja, zachwycony, ły-

eprasa.pl 3a5bfae0f4

kam przynętę, podążam za tym fletem: dopóki takich pokus, dopóty powieści.

Co nie znaczy, że nie dostrzegam tego, co zaskoczyć może co bardziej niedoświadczone szczury i czytelników: „Zimowla" nie jest wolna od haczyków, drobno pokruszonego szkła, dalekich od niewinności ironii. Kilka porządków zostało ostentacyjnie postawionych na głowie: krytycy, a osobliwie krytyczki, z upodobaniem podkreślają, że najsilniejszymi osobowościami w powieści są kobiety. Rodzina bohaterki jest matrylinearna, a jej stosunek do ojca nieudacznika, hipochondryka i łgarza waha się między pobłażaniem, irytacją a czułością. Nie mam jednak kłopotu z dekonstrukcją figury ojca (nie zawsze najbardziej kocha się najsilniejszych; właściwie nigdy) ani z odbierającą powagę fantazyjnością, z jaką opisane są peregrynacje świętych obrazów i figur, zwroty małomiasteczkowej pobożności (tu warto odnotować jeszcze jeden galicyjski trop i pokrewieństwo: „Zimowla" w zdumiewający, niezamierzony pewnie przez nikogo sposób rymuje się z „Bożym Ciałem", najważniejszym może filmem polskim ubiegłego roku!). Może natomiast doskwierać chłód: to powieść wolna od przywiązań i sentymentów, nawet nastoletnia trójka głównych bohaterów, choć nie stroni od piwa, trawy i amfy, jest aseksualna niemal (jak nostalgia, to nostalgia!) Bolek, Olek i Lola z peerelowskiej kreskówki.

A jednocześnie opowieść Dominiki Słowik jest nie tylko świetną grą literacką: mówi ważne rzeczy o Polsce naszych czasów. Tropiąc w niej (nie wiem, czy trafnie?) nawiązania do Schulza, Stasiuka czy Topora, dopisałbym jej również bardziej nieoczekiwanych antenatów: reportaże Magdaleny Okraski czy wręcz monografię „Skok w nowoczesność. Polityka wzrostu w krajach peryferyjnych" Adama Leszczyńskiego. „Zimowla" to może najważniejsza, jak dotąd, powieść o polskiej transformacji.

Stromą ścieżką, rwącym nurtem

Fraza „wywiad rzeka" jest w powszechnym użyciu, ale dziesiątki ukazujących się w książkach rozmów z aktorami, muzykami i celebrytami częściej przypominają wywiad staw lub w najlepszym razie wywiad jezioro: znaczna ilość wody tkwiącej w jednym miejscu, w której można pływać, chlapać się, która jednak nie zmienia się specjalnie w czasie, nie płynie od źródeł do ujścia, lecz trwa w samozachwycie. A może jestem zbyt surowy, może po prostu brakuje mi rozmów, których bohaterowie posiadają szczególne, miłoszowskie wyczulenie na przemijanie czasu wokół nich, którzy skupiają się nie tylko na toku własnego życia („w rok później wyjechałam do Cannes, i to był przełom!"), lecz na przemianach epoki, nastrojów, władzy: wszystkiego, co składa się na życie polis?

Niewykluczone, że taki instynkt szczególnie wyrobiony mają politycy i historycy (ciekawe, czy rodzi się on w nich i wyostrza dopiero w trakcie kariery, czy raczej posiadanie go jest niezbędną przesłanką, by osiągnąć sukces w którejś z tych dziedzin?). Jeśli ktoś potrzebuje podobnej refleksji, a zna już na pamięć pakiet rozmów Torańskiej czy kilka innych zapisów konwersacji z historykami, powinien sięgnąć po owoc kilkunastu „sesji", jakie w lecie 2018 r. przeprowadził z prof. Andrzejem Paczkowskim Patryk Pleskot, badacz od lat krążący wokół takich tematów, jak postawy inteligencji polskiej w powojennym półwieczu, współpraca humanistów polskich i francuskich czy inwigilacja środowiska nauki w PRL.

Biografia mówiona, jaką otrzymaliśmy, jest historią niejako podwójną: dziejami PRL, ale i „birkutowego" po trosze dojrzewania do konfrontacji z tymże PRL. Rozmówca Pleskota w żaden sposób nie podkreśla swoich zasług, nie osadza historii własnej czy rodzinnej w opowieści o narzuconych Polsce rządach, w ramie „1944–1956–1968–1970". Wręcz przeciwnie, podkreśla swój dystans wobec namiętności politycznych, chęć poszukiwania osobnej ścieżki, usiłowanie współistnienia z systemem, akceptowania narzucanych przezeń ograniczeń. Tym mocniejsze jest doświadczenie przesuwania się bohatera ku centrum wydarzeń, ku głównemu nurtowi: beztroski taternik, publicysta, badacz dziejów czasopiśmiennictwa w dekadę po obronie doktoratu „coś tam pomaga" przy kolportażu wydawnictw KOR, żeby kilka lat później stać się współtwórcą „Archiwum Solidarności" – jednej z najciekawszych i najbardziej dalekosiężnej z inicjatyw wydawniczych i społecznych podziemia, skupionego wokół idei kultury niezależnej.

Tak, to zaangażowanie to był nurt, który wciągał, który z wyjątkową siłą zagarniał stołeczne środowisko naukowe, ze szczególnym uwzględnieniem historyków. Kto ciekaw paradoksów i smaczków PRL, znajdzie ich w „Górach i teczkach" niemało. Nie zawiodą się jednak również ci, którzy zwykli czytać tego rodzaju rozmowy przez indeks nazwisk, których ucieszy spotykanie się na tej samej stronie (lub w najlepszym razie kilku sąsiednich) Ireny Lasoty i Marcina Króla, Janiny Jankowskiej i Grzegorza Boguty, Joanny Siedleckiej i Gwido Zlatkesa. Ta książka to przede wszystkim fascynujący, nakreślony wiernie, a zarazem bez środowiskowej „ksobności" portret zbiorowy środowiska, ale i szerzej, niełatwej do zdefiniowania formacji, gotowe źródło do kolejnego tomu „Dziejów inteligencji polskiej". Jak wszystkie tego rodzaju źródła również, w coraz większym stopniu, elegia.



Patryk Pleskot, „Góry i teczki. Opowieść człowieka umiarkowanego. Biografia mówiona Andrzeja Paczkowskiego", IPN, 2019

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Mama w kosmosie

Nie jest to pierwszy „film o kosmosie" z silnym wątkiem feministycznym. Jakoś tak się złożyło w kinie hollywoodzkim, które dało nam najsłynniejsze filmy o podróżach w stronę gwiazd, że to kobiety odgrywały w nim ważną rolę. Nie mówię tylko o Ellen Ripley kopiącej zadki kosmitom w serii „Obcy". Pierwsza część powstała długo, zanim feminizm w kinie stał się modny. Nie mówię też o Sandrze Bullock w oscarowej „Grawitacji" czy „Ukrytych działaniach" opowiadających o czarnoskórych pracownicach NASA w latach 60. XX w. Oba filmy zostały nakręcone już w czasie feministycznego marszu przez kino. No, ale przecież Jodie Foster biła na głowę kolegów w „Kontakcie" (1997). Nie było jednak filmu o kosmonautce, dotykającego w taki sposób macierzyństwa.



Alice Winocour z kobiecej perspektywy spojrzała na to, co widzieliśmy w „Pierwszym kroku w kosmos" Kaufmana czy „Pierwszym człowieku" Chazelle'a. Sara (Eva Green) jest francuską astronautką, która jako jedyna kobieta bierze udział w szkoleniu Europejskiej Agencji Kosmicznej. Razem z Rosjaninem (Aleksey Fateev) i Amerykaninem (Matt Dillon) ma lecieć w pierwszą międzynarodową misję na Marsa. Sara musi się starać o wiele bardziej niż mężczyźni. Musi pokazać facetom, że jest równie silna i wytrzymała podczas morderczych treningów w podmoskiewskim ośrodku. Nie słabsze od mężczyzn mięśnie czy wygląd modelki, który powoduje seksistowskie docinki kolegów, najmocniej ją ograniczają.

Sara jest matką siedmioletniej Stelli. Dziewczynka nie chce na cały rok rozstawać się z mamą, co wiąże się z przeprowadzką do ojca do Niemiec. To najbardziej poruszający element „Proximy". Winocour opowiada uniwersalną historię macierzyństwa i wyrzeczeń, jakie stoją przed kobietami wykonującymi tak skrajnie niebezpieczne zawody, jak astronautka. Eva Green kumuluje w sobie rozterki matki i naukowca. Z jednej strony wie, że jej misja przyczyni się do wiedzy ludzkości o kosmosie. Z drugiej nie może ścierpieć, że jej córeczka potrzebuje pomocy w matematyce, a mamy przy niej nie ma. Francuska reżyserka umiejętnie wygrywa te dwie rzeczy, a Green tworzy poruszającą kreację.

Jest też „Proxima" ciekawym spojrzeniem na europejski program kosmiczny. Hollywood przyzwyczaił nas do kina o NASA. Najnowocześniejszy sprzęt, „kosmiczne" wnętrza obiektów szkoleniowych? Nie zobaczycie tego w tym filmie. Film kręcono w prawdziwych ośrodkach Agencji Kosmicznej, a potem w Gwiezdnym Miasteczku koło Moskwy. W każdym kadrze czuć realizm tego miejsca. Twórcy przekonują, że nawet w dialogach pomagali im ludzie z Agencji. Kapitalnie oddano wystrój pokoi rodem z lata 90., gdzie zakwaterowani są astronauci. Z jednej strony zaawansowana technologia Sojuzu, z drugiej paździerz Rosji. „Proxima" nie jest przełomem w kinie pokazującym wyprawy kosmiczne. Jest to natomiast nowatorska opowieść o tym aspekcie pracy kosmonautów, o którym często zapominamy. Oni nie są herosami z spiżu ani półbogami. To tacy sami ludzie jak my. Z typowo przyziemnymi troskami i problemami.

„PROXIMA", REŻ. ALICE WINOCOUR, DYSTR. BEST FILM

VOD

Mrok ikony sportu

Był wielką gwiazdą sportu, który dla Amerykanów jest religią. Był czołowym zawodnikiem futbolowego zespołu New England Patriots z kontraktem wartym 41 mln dol. Miał wszystko. Willę wyjętą z marzeń o amerykańskim śnie. Piękną żonę i córeczkę. Tak, Aaron Hernandez, dziecko imigrantów, miał wszystko. Miał też swoje demony. Nie mniejsze niż O.J. Simpson. W wieku 22 lat został oskarżony o zamordowanie futbolisty półamatora Odina Lloyda. Został uznany za winnego morderstwa pierwszego stopnia i skazany na dożywocie bez możliwości warunkowego zwolnienia. W innej sprawie został oskarżony o podwójne zabójstwo dwóch imigrantów w Bostonie. Uniewinniono go dzięki sprytowi prawników. Mimo to powiesił się w celi 19 kwietnia 2017 r. Trzyodcinkowy serial Netflixa szuka odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak spełniona osoba stała się mordercą. Czy winne było wychowanie? A może uszkodzenia mózgu futbolistów, o których coraz częściej mówi się głośno? A może tłumiony homoseksualizm Hernandeza, który jako ikona męskiego sportu bał się zrobić coming out? Dobrze opowiedziana, wciągająca historia, mówiąca też sporo o amerykańskim sporcie.



„AARON HERNANDEZ. W GŁOWIE MORDERCY" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Warto mieć ten film na półce



Blu-ray/DVD

„Legiony" duetu Dariusz Gajewski/Maciej Pawlicki to moim zdaniem jedno z największych zaskoczeń filmowych 2019 r. Gdy już nie dawałem wielkiej szansy wysokobudżetowemu kinu historycznemu made in Poland, okazało się, że „Legiony" bez wstydu można zestawiać z widowiskowym kinem zza oceanu. A przecież jest to film o budżecie (27 mln zł), za jakie w USA robi się „małe kino". Jednak ten film ma wszystkie przypadłości kina Jerry Bruckheimera („Pearl Harbor", „Król Artur"), który przekłada wizualną stronę filmu nad jego treścią. „Legiony", jeżeli gdzieś się potykają, to właśnie w scenariuszu. Pisałem o tym szerzej na portalu wPolityce.pl. Zachęcam do lektury.

„Legiony" są zresztą napisane podobnie jak „Pearl Harbor". Wielka historia wkomponowana jest w opowieść o trójkącie miłosnym młodych Polaków granych przez Wiktorię Wolańską, Bartosza Gelera i Sebastiana Fabijańskiego. To dobry pomysł, by opowiadać taką historię oczami młodych ludzi. Uniwersalizuje to przekaz. Młodzi legioniści Piłsudskiego walczyli nie tylko z poczucia moralnej powinności oraz obowiązku wobec ojczyzny oraz swoich przodków. Oni szli się bić, bo mieli dosyć tego, że ktoś „ukradł im dom". Szli walczyć nie w imię górnolotnych haseł, ale w imię braterstwa. Uścisk męskich dłoni jest klamrą spinającą „Legiony". Ten motyw wybrzmiewa wyjątkowo mocno w scenie rodem z „Szeregowca Ryana" Stevena Spielberga, gdy rosyjski snajper powoli rozstrzeliwuje na pustym placu polskiego legionistę, próbując wyciągnąć na linię ognia zza muru jego kolegów i koleżanki. Braterstwo i poświęcenie dla kolegi z plutonu jest punktem zwrotnym w ostatnim akcie. Braterstwo naznaczone krzyżem zamyka film w symbolicznym ujęciu oddania hołdu zamordowanemu przyjacielowi.

Gajewski z Pawlickim w 130-minutowy film wsadzają bardzo dużo scen batalistycznych i wątków z prawdziwymi postaciami. Obok Piłsudskiego (Jan Frycz) w filmie zobaczymy Stanisława Kaszubskiego ps. Król (Mirosław Baka), Zbigniewa Dunina-Wąsowicza (Borys Szyc) i Jerzego Topóra-Kisielnickiego (Antoni Pawlicki). Tylko ten pierwszy dostaje tyle miejsca, byśmy nabrali uczuć do jego postaci. Baka tworzy zresztą jedną z ciekawszych ról w swoim dorobku. Można odnieść wrażenie, że obsadzenie Borysa Szyca i Antoniego Pawlickiego służyło tylko temu, byśmy zobaczyli, jak „dumnie i patetycznie" umierają obaj w bitwie pod Rokitną. Śmierć obu jest pięknie sfotografowana przez Arkadiusza Tomiaka (resztę zdjęć w filmie zrobił Jarosław Szoda) i pokazana w slow motion. Problem, że umierają tu pomniki, a nie ludzie.

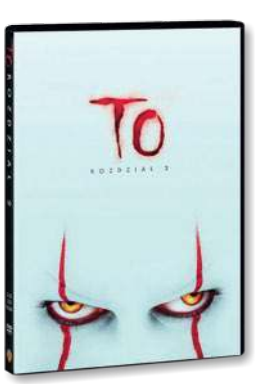
Niemniej jednak „Legiony" są zrobione z epickim rozmachem i bardzo przyjemnie się je ogląda. Szerokie ujęcia, piękne plenery kręcone zarówno latem, jak i zimą z imponującym atakiem ułanów. Czuć siłę ich szturmu, czuć krew Rosjan i Polaków ginących na polu walki. Dostajemy dobrze rozegrany patos. Czego więcej chcieć od widowiska historycznego? Obejrzyjcie na Blu-ray. Film wychodzi w atrakcyjnej cenie.

„LEGIONY", REŻ. DARIUSZ GAJEWSKI, DYSTR. KINO ŚWIAT

Czym jest strach?

Blu-ray/DVD

„To" Andresa Muschiettiego jest jedną z najlepszych ekranizacji Stephena Kinga. Drugi rozdział potwierdził, że reżyser miał spójną koncepcję tego, jak przenieść na ekran całą istotę Kingowskiej przypowieści o paraliżującym nas wszystkich strachu. Możliwe, że „To" jest najpełniejszym i najpoważniejszym koszmarem z ulicy Stephena Kinga. Dzieciaki z Derry dorosły (świetne role m.in. Jamesa McAvoya i Jessiki Chastain) i myślą, że zakopały koszmary, jakie je spotkały w spotkaniu z krwiożerczym klaunem Pennywisem (Bill Skarsgård). Zawarty w dziecińskie pakt musi zostać wypełniony. Tylko on uratuje kolejne dzieci przed demonem z kanałów.



Jest tu kilka znakomitych scen koszmarów. Walka z pająkiem z ludzką głową, upiorna babcia podająca ciasteczka, klaun na pomniku z balonami – Muschietti nie zapomniał, jak budować nastrój grozy i w odpowiednich momentach go rozładowywać bez przebijania czerwonego balonika. „To" jest jednak czymś więcej niż filmowym straszydłem. To opowieść o przyjaźni, poświęceniu oraz o potrzebie dostrzeżenia, że strach jest tylko pasożytem, jaki sami karmimy.

„TO. ROZDZIAŁ 2", REŻ. ANDRES MUSCHIETTI, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Cud bezradności

Gdzie na co dzień podziewają się „ekologiczni" aktywiści, skoro nie ma ich w lasach? Może za chwilę wystąpią w obronie sądów...



JANUSZ ANDRZEJCZAK

Całe moje 64-letnie życie związane jest z przyrodą. Jako mieszkaniec miasta uciekałem w lasy, gdy tylko było można. Gdy moi podwórkowi koledzy wagarowali wśród kamienic, ja udawałem się między drzewa. Rodzice nie mogli się nadziwić, skąd w kieszeniach kilku-, później kilkunastolatka tyle szyszek, tyle sosnowych igieł, dlaczego tak intensywnie pachnę żywicą i jak to możliwe, że z każdej lekcji wf. przynoszę całą kurtkę grzybów (a pierwszy lasek był ponad 2 km od szkoły).

W lasach bywałem (i bywam) niezależnie od pogody, pory dnia i roku. Bywało (i bywa) tak, że gdy wieje wietrzysko, gdy zbiera się na burzę, gdy zacina zimny deszcz, gdy jest mróz, tym bardziej mam ochotę na las, bo w taki właśnie, nie inny, czas odkrywa on niedostrzegalne w piękną pogodę tajemnice.

Nie widząc siebie gdzie indziej jak pośród przyrody, wybrałem się do szkoły leśnej. Nie ukończyłem jej jednak także dlatego, że na praktykach musiałem ścinać ukochane drzewa. Po studiach robiłem wszystko co w mojej mocy, by raz na zawsze opuścić miasto i zamieszkać na wsi, w zielonej okolicy. Tak stałem się nauczycielem w wiejskiej szkółce. To była wieś (a raczej osada) moich marzeń. Na rozległej śródleśnej polanie z kilkoma chałupami na krzyż w maju miałem przez okno niekończące się łany kaczeńców, od marca do października żurawi klangor, dudki, gile, grzyby, lasy, lasy, lasy... W owym czasie, aby nie zamarznąć zimą (a były zimy!), przez blisko 20 lat z ogromnym rozdarciem serca wycinałem na opał wskazane przez leśniczego drzewa.

Już jako wczesny nastolatek podejmowałem pierwsze próby pisania wierszy i opowiadań, rysowania i malowania. Cokolwiek napisałem, narysowałem, namalowałem, wychodził mi – z bliska i z daleka, jako całość i w detalach – las. Kochałem lasy, puszcze, knieje, głusze, leśne ścieżki pozarastane mchem, krzewinkami i krzewami leśne dukty i bezdroża. Pokochałem je tak, że wszystkie największe stworzone przez człowieka cuda świata razem wzięte są dla mnie niczym wobec najmniejszej leśnej drobinki.

Gdy jest mi źle, jadę rowerem – daleko, daleko, w lasy. Jadę do utraty tchu, nawet w środku nocy. Najchętniej zostawiłbym miasto i już do niego nie wracał, nawet za cenę pozostania w lesie na zatracenie. Na zatracenie, bo choć kocham las i czuję się przez niego kochany, nie mam najmniejszych złudzeń, że gdybym w nim pozostał dłużej niż kilka dni, umarłbym w nim z głodu, z pragnienia, z zimna, słowem – z wycieńczenia. Wiem to, bo dwa razy po siedem dni włóczyłem się po lasach: właśnie głodny, spragniony, zziębnięty, wycieńczony. Więc wracam po dłuższym czasie, mając zresztą dokąd i do kogo wracać.

Jeśli komuś się wydaje, że wystarczy na leśnej polanie siąść w pozycji

eprasa.pl 3a5bfae0f4



lotosu i rozłożyć ręce, by wchłonąć z Matki Ziemi siłę przetrwania, niech spróbuje tak siedzieć do czarnej nocy. Jeśli wcześniej nie zagryzą go mrówki, komary, kleszcze i inne kochające krew stworzenia, imaginacją strachu zobaczy niejedne świecące w ciemności oczy, usłyszy w spadającej szyszce sapanie wilka. Swoją drogą, wcale niełatwo jest w lesie spotkać (poza sarną) dzikiego zwierza, z pospolitym dzikiem włącznie. Tylko wybrani wiedzą o tym, że gdy my nie widzimy żadnego stworzenia, z ukrycia patrzy na nas tysiące oczu.

Nigdy las nie zrobił mi najmniejszej krzywdy. Dlaczego? Bo znam w lesie swoje miejsce: jestem w nim mniejszy od najmniejszego leśnego paproszka.

Chodzi o to, by nie tylko tę pokorę, ten skrajny minimalizm zaakceptować, lecz pokochać i czuć się z tym dobrze. W dzikiej przyrodzie nie ma najmniejszego znaczenia, kim jesteś, jakie masz zasługi, choćby i dla całej ludzkości. W lesie NIC to nie znaczy. Jesteśmy w dzikiej przyrodzie mniejsi od strzępka pleśni, od mikroskopijnego robaczka, od rozłażącego się ze starości i robaków grzyba.

Dawałem (i daję) radę, bo jestem w lesie jak sarna, czasem wilk: potrafię przepowiedzieć pogodę z zapachu wiatru i – bez kompasu, bez GPS, nawet przy słońcu zakrytym chmurami – się nie gubię. Owszem, pobłądziłem kilka razy, ale to dlatego, że za bardzo wówczas myślałem „po ludzku". Istotą myślenia w lesie jest... niemyślenie. Jest to taki rodzaj „bezmyślnego" zapatrzenia, że przestaje się istnieć dla innych, dla siebie samego. Tego nie można się nauczyć, tego nie można wyćwiczyć, siedząc w pozycji jogi z rękoma otwartymi na Gaję, a już zupełnie nie – ze słuchawkami na uszach, o zgrozo! – np. w maju, gdy swoje wiosenne opowieści szepcze wiatr i niosą się po lasach ptasie rajśpiewy.

Przez owe 64 lata swego życia bywałem na całkowitych odludziach, bezdrożach. Ilu przez te wszystkie lata widziałem takich jak ja? Tylu zaledwie, ile mam palców u obu rąk. Tak było ich mało, że każde z tych spotkań doskonale pamiętam.

Gdzie na co dzień podziewają się „ekologiczni" aktywiści, skoro nie ma ich w lasach? Może za chwilę wystąpią w obronie sądów...

Słuchając rozmaitych celebrytów, szczególnie celebrytek, odnoszę wrażenie, że oni znają przyrodę tylko z leśnych parkingów, okołomiejskich leśnych polan, z oznakowanych miejsc, do których można dojechać – a jakże! – „ekologicznym" terenowym autem. Przecież od razu widać, że oni się boją lasów! Nie wchodzą w głąb, bo kleszcze, bo mrówki, bo wilki...

Kiedyś odezwała się do mnie pewna pani z „zielonego" pisma z propozycją stałej współpracy. Z potrzeby dzielenia się swoją miłością do natury chciałem się od razu zgodzić, wysyłać jej co mam najlepszego. Ale żona mi mówi: „Sprawdź najpierw, kto to". Dotarłem do tego czasopisma, a w nim jakiś pan opowiada, jak to ze swoim mężem po podmiejskich laskach chodzą i zachwycają się przyrodą, jak to jakaś pani ze swoją małżonką zachwycają się Matką Naturą...

Nie odejmuję nikomu prawa do kochania przyrody, także w naiwny, egzaltowany sposób, ale czy dlatego, że uśmiechamy się do kwitnącej czeremchy, stajemy się botanikami? Pseudoeksperckie biadolenia nad stanem natury różnych (głównie) paniuś są dla mnie męką nie do zniesienia.

Poraża mnie hipokryzja tego środowiska. W ogrodach zoologicznych ciężarne zwierzęta są pod szczególną opieką, nie można ruszyć ciężarnych loch dzików, na tropikalnych plażach, w miejscu składania jaj (czyli zarodków!) przez żółwie, koczują ekolodzy. To nawet dobrze, że tak jest, tylko dlaczego nasze ludzkie zarodki nie tylko można, lecz nawet trzeba eliminować? Dlaczego w imię „czystości energii" to środowisko prze do instalowania wiatraków, potworów z „Gwiezdnych wojen", czyniących gwałt na wspaniałych, naturalnych krajobrazach? Dlaczego w imię „ekologicznych" mód nie przeszkadzają im wycinki lasów pod rozmaite „ścieżki" (rowerowe, piesze z kijkami i bez, trasy narciarskie etc.). Czy nie widzą tego, że lansowana przez nich „moda na ekologię" tak naprawdę niszczy przyrodę? Skutek tego jest taki, że w miejsca, w których nie powinno być nikogo z ludzi, jadą tłumy!

Donoszą ostatnio, że jakiś weganin z Wielkiej Brytanii rezygnuje z jazdy autem, bo szkoda mu rozbijających się na szybie owadów. Pytam się: a jak z bakteriami, wirusami, wszelkimi chorobotwórczymi, śmiercionośnymi drobnoustrojami?

Niektórym się wydaje, że aby być przyrodnikiem, trzeba mieć ubiór w khaki, aparat fotograficzny wartości ich (terenowego, „ekologicznego") samochodu i koniecznie trzeba opowiadać w mediach o tym, jak to się kocha przyrodę, jak to się rozpacza nad jej niszczeniem przez człowieka (co zresztą jest prawdą).

Słyszałem o czołowym „zielonym" aktywiście, który pół swego życia siedział pod wielkim dębem, by czerpać z niego moc. Zmarł na zawał serca w drodze do tego „świętego" drzewa, będąc od niego w odległości kilku kroków. Taką to „moc" daje dąb.

I ja rozmawiam z drzewami, zamyślam się nad ich pięknem, wyprostowuję słabe brzózki i opieram o inne drzewa, by się wzmocniły, gładzę ich korę, osiągam z nimi taką bliskość, że staję się jakby jednym z nich. Cierpię nad każdym ściętym drzewem, wzruszam się, gdy na coś chorują, czytam z koron, z pni, z gałęzi i gałązeniek ich nastroje, kondycję, nawet lęki. Jednak przytulanie się do nich po to, by coś nam dały (dąb – siłę, brzoza – delikatność etc.) jest dla mnie żałosne. Przytulam się do drzew, bo je kocham, a kochając, nie oczekuję niczego w zamian. Kto oczekuje korzyści od tego, kogo kocha, nie kocha prawdziwie.

Na jednym ze spotkań autorskich ktoś kiedyś wyzwał mnie od „animistów". Do dziś żałuję, że nie odpowiedziałem mu: „W takim razie święty Franciszek z Asyżu też nim był...".

Tak, z miłości do lasu, do drzew, dałbym się nie tylko przypiąć do nich łańcuchem, lecz nawet i przybić.

Ale, NIGDY, NIGDY, NIGDY – nie modlę się do drzew. Modlę się do TEGO, kto sprawił ich cud. W każdym moim zachwycie nad naturą, w każdej mojej nad nią czułości jest dziękczynna modlitwa do Boga, bo TYLKO ON mógł stworzyć TAJEMNICĘ, wobec której wszyscy ludzie byli, są i na zawsze będą bezradni.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 3a5bfae0f4

A jak amnezja



Dr Hanna Karp, medioznawca

W 1989 r. dziennikarze i ich redakcje, które w ciągu jednej nocy zgubiły hasło „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się", z nastaniem III RP histerycznie wskoczyli na barykady, by na czele wolnościowej krucjaty toczyć zażarty bój o wolność słowa i liberalną demokrację. Jakby chcieli zakrzyczeć przeszłość; to, czym był odchodzący system i ich dotychczasowa praca. Jakby zapadli na amnezję. To symulowanie choroby do dziś doskonale im wychodzi. A przecież podlegali normatywnym oraz instytucjonalnym rozwiązaniom ustrojowym państwa. Ówczesną podstawą wszelkich norm była marksistowsko-leninowska doktryna, głosząca koncepcję walki klas i klasowej struktury społeczeństwa. Ich praca podlegała bezwzględnej kontroli aparatu ideologicznego – komunistycznej partii i represyjnej machiny – całego aparatu bezpieczeństwa. Gdy dziś słyszymy bzdury o tym, że w Polsce panuje system autorytarny czy totalitarny, reakcją na to może być tylko pusty, lecz zarazem gorzki śmiech.

SOWIECKIE WYTYCZNE

Komunistyczny system medialny w Polsce czerpał wzorce dziennikarskie z modelu sowieckiego, którego pierwowzorem było dziennikarstwo leninowskie. Oznaczało ono przede wszystkim wymaganie lojalności wobec linii partii i poświęcenia dla sprawy partii. Po przewrocie bolszewickim w 1917 r. pierwszym dekretem Rady Komisarzy Ludowych był ten o prasie. Nakładał on cenzurę i delegalizował czasopisma i gazety o krytycznym nastawieniu do nowego rewolucyjnego rządu. Cenzura i funkcje mediów w leninowskim systemie prasy i mediów miały całkowicie inne zadania niż w ówczesnym systemie kapitalistycznym. Gdy cenzura służyła rewolucji, Lenin stosował ją z całym przekonaniem, choć wcześniej sam, jako wydawca i redaktor naczelny rewolucyjnego dziennika „Iskra", chcąc obejść carską cenzurę, wydawał pierwszą konspiracyjną gazetę za granicą w Szwajcarii. To z tej gazety, jak z Biblii, chłonął rewolucyjną doktrynę uczeń Lenina, Josif Dżugaszwili-Koba – późniejszy „człowiek ze stali". Józef Stalin pseudonimem Koba posługiwał się jeszcze w czasach, gdy uczęszczał do seminarium duchownego. To nazwisko jego ulubionego bohatera książki Aleksandra Kazbegi. Dopiero w listopadzie 1907 r. Dżugaszwili przyjmuje inny – jak powiedzieliby dziś tweeterowcy – „nick" Stalin. Przestaje także posługiwać się językiem gruzińskim, zaczyna pisać wszystkie swoje teksty po rosyjsku.

PARTYJNI I GNIDY

W Polsce Ludowej do 1989 r. dominowała zasada instrumentalności całego systemu medialnego. Chodziło o podporządkowanie mediów nie tylko komunistycznej doktrynie, ale też planom ekonomicznym, dyrektywom i zaleceniom partii oraz jej urzędnikom każdego szczebla. O strategii mediów decydowała doraźna praktyka zadań i celów partii, zależnie od etapu ich realizacji. Dziennikarze wypełniali funkcję wykonawcy woli władzy. Ich zadaniem było rozpoznawanie linii ideologicznej aparatu par-

eprasa.pl 3a5bfae0f4

tyjnego i wystrzeganie się najmniejszej nieprawomyślności. W tym systemie pracownik aparatu medialnego zmieniał się w funkcjonariusza partii, stanowił element siły wykonawczej złożonej struktury aparatu mentalnej przemocy, bez którego tracił uzasadnienie swojej obecności i sens pracy.

Dziennikarz wówczas – o czym tak ochoczo się dziś zapomina – miał przede wszystkim do wykonania zadania na froncie ideologicznym, które zmieniały go w czynownika do wykonywania czynowniczych instrukcji propagandowych. Redakcja zmieniona w propagandową tubę, jak zauważył Piotr Wierzbicki w „Traktacie o gnidach", miała „obowiązek bronić i wychwalać aktualną ekipę PZPR do ostatniej godziny jej urzędowania, choćby ona (grudzień 1970) posyłała właśnie cekaemy przeciw robotnikom, następnie krytykować ją i gromić bez pardonu w sekundę po obaleniu jej przez nową ekipę PZPR". Do takich zadań mogli być kierowani – jak pisze Wierzbicki – jedynie „partyjni i gnidy". I wyjaśnia, że do natury gnidy należy to, że: „musi mieć w życiu dobrze, że musi być jakoś urządzona i że za żadne skarby nie pójdzie pracować na poczcie, w przedszkolu czy MPO".

Dziennikarze jako funkcjonariusze partyjnej propagandy i medialnego frontu sowietyzacji kultury i informacji przechodzili wiele szkoleń ideologicznych prowadzonych m.in. na podstawie krótkiego kursu WKP (b) (Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii bolszewików). Chodziło o to, by oczyścić środowisko z „elementów klasowo obcych" i tych, którzy zaliczyli przed wojną staż pracy w redakcjach „burżuazyjnych". Zdobywano jednak przede wszystkich nowe kadry, otwierano masowy ruch korespondentów robotniczych i chłopskich. Zamiarem było doprowadzenie do pokoleniowej zmiany kadr dziennikarskich. W 1956 r., według danych dostarczonych przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, ponad trzy czwarte wszystkich dziennikarzy zaczęło pracę po roku 1944 r.

POWRÓT W GENDEROWYCH SZATACH

Zasada ideowości pracy wymuszała całkowite i pełne zaangażowanie, łącznie z akceptacją wyznaczonych przez partię celów. A więc opowiedzenia się po stronie partii, zaangażowania w budowę socjalizmu i komunizmu i kształtowania świadomości odbiorcy zgodnie z programem partii. Nie istniała tu żadna alternatywa, system komunistyczny był bowiem z zasady jedynie słuszną, obiektywną i naukową teorią, wyjaśniającą rzeczywistość, interpretującą przeszłość i prognozującą przyszłość. Ideologii komunistycznej podporządkowano wszystkie dziedziny życia politycznego, ekonomicznego, społecznego i kulturowego. No więc skądś to już znamy, widzimy, jak zbiesione straszydło wraca. Choć już w liberalno-lewicowych, ponowoczesnych, genderowych szatach.

> W Polsce Ludowej dominowała zasada instrumentalności całego systemu medialnego. Chodziło o podporządkowanie mediów nie tylko komunistycznej doktrynie, ale też planom ekonomicznym, dyrektywom i zaleceniom partii oraz jej urzędnikom każdego szczebla

Model dziennikarstwa socjalistycznego nie polegał na dostarczaniu informacji, ale miał mobilizować masy do pracy na rzecz lepszego, nowego ładu i społeczeństwa. Uwidoczniło się to mocno na początku lat 50., gdy na rynku nie funkcjonował jeszcze zawód dziennikarza telewizyjnego. Wtedy naturalnym kadrowym zapleczem budowanej telewizji stali się dziennikarze z rozgłośni radiowych. Kandydatury – podobnie jak do pracy w Polskim Radiu – wymagały bezwzględnie zatwierdzenia przez Wydziały Propagandy KC PZPR lub KW PZPR. Upartyjnienie kadr dziennikarskich stale rosło. W latach 1950–1960 liczba członków i kandydatów PZPR wahała się wokół 1,2 mln, w następnej dekadzie i w 1970 r. liczba ta wynosiła już 2,3 mln, w tym 189 tys. kandydatów. W 1979 r. nastąpił kolejny wzrost – w szeregach PZPR odnotowano 3 mln członków.

Ideowe zaangażowanie środowisk ludzi kultury i mediów miało szczególne znaczenie. W kręgach pisarzy i dziennikarzy Władysław Gomułka upatrywał groźbę najradykalniejszych wpływów groźnych idei rewizjonizmu i kosmopolityzmu. Podczas przemówienia na naradzie dziennikarzy w KC PZPR 5 października 1957 r. podkreślał, że: „Dziennikarze, publicyści muszą wybrać: albo z partią, albo przeciwko partii – albo za socjalizmem, albo przeciwko socjalizmowi. Sprawa jest jasna. Dyskusje w tej płaszczyźnie się skończyły. [...] Skończył się ten okres, kiedy wygłaszaliśmy kazania. Teraz będziemy wyciągać konsekwencje partyjne i polityczne. Okres kazań się skończył – trzeba się samookreślić".

WALKA Z „PISOWSKIM BEZPRAWIEM"

Dziś wydaje się, że cały dziennikarski mainstream zapomniał o tym, że tamten czas istniał. Nie mówiąc już o jakiejkolwiek woli rozliczenia się z nim. Ufają w to, że wszyscy o wszystkim zapomną, a jeśli będą wspominać, to z rozrzewnieniem. Dziś obowiązuje nowa prawda o tym, że jedynym realnym i mrocznym czasem były i są rządy partii Jarosława Kaczyńskiego. Od czterech lat nie ma dnia, by któraś z redakcji liberalnego głównego nurtu nie zagrzewała do walki z „pisowskim bezprawiem". Ich „starania to kapitał, który w przyszłości pomoże odbudować rządy prawa" – głosił jeden z dziennikarzy „Polityki", której korzenie zanurzone są w strasznych komunistycznych latach 50. To wszystko absurd? Nie wiem. Unijna zagranica, która także cierpi na uwiąd starczy, w brednie o „pisowskiej dyktaturze" już uwierzyła.

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Wierny obrońca prawdy, człowieka i rodziny

17 stycznia odszedł ks. Stanisław Stefanek TChr, biskup senior diecezji łomżyńskiej. Odważny świadek Chrystusa, bezkompromisowy obrońca rodziny. Służył Panu Bogu i Polsce bez reszty do ostatnich chwil życia. Niewielu tak mężnie potrafi się upominać o godność człowieka i wnikliwie dostrzegać zagrożenia. Sługa Prawdy, wizjoner, formator, wychowawca i pokorny kapłan. Jego biskupie zawołanie: „We wszystkim Chrystus", widoczne było w każdej przestrzeni życia.

Swoją działalność duszpasterską i naukową w ogromnej części poświęcił walce o zdrową rodzinę, o świętość życia i wierność małżeńską. Jako współtwórca i wieloletni dyrektor Instytutu Studiów nad Rodziną formował rzesze wykładowców i wychowawców, wskazując przestrzeń najpełniejszego rozwoju człowieka. Przez wiele lat był przewodniczącym Rady ds. Rodziny Konferencji Episkopatu Polski oraz członkiem Papieskiej Rady ds. Rodziny. Jego liczne publikacje, homilie i audycje są szczególnie aktualne dziś, w czasie gdy rodzina brutalnie atakowana jest przez inżynierów rewolucji obyczajowej. Ta troska wyrażała się także czynem. Patronował inicjatywom ratującym małżeństwa w kryzysie, wspierającym rodziny z problemami, otaczającymi opieką porzucone i osierocone dzieci. Zakładał domy samotnej matki, ośrodki adopcyjne, otwierał okna życia, ale współpracował także przy zmianach legislacyjnych.



Fot. Marek Maliszewski/REPORTER

Bp Stefanek był kapłanem odważnie podejmującym sprawy społeczno-polityczne. Z wielką uważnością i autentyczną miłością pochylał się nad problemami każdego człowieka, ale doskonale widział też problemy, z którymi zmaga się naród jako całość. Jasno dostrzegał zagrożenia, a jego szeroki horyzont pozwalał na formułowanie skutecznych sposobów wyjścia z sytuacji na pozór beznadziejnych. Jako człowiek zasłużony w wielu przestrzeniach życia społecznego odznaczony został przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Opiekował się duszpastersko także rozmaitymi środowiskami pełniącymi służbę publiczną. Często przypominał politykom o ich podstawowym zadaniu: uczciwej, rozumnej służbie Polsce i Polakom.

Podczas uroczystości pogrzebowych starosta łomżyński przypomniał w swoim wystąpieniu jedno z ostatnich kazań biskupa seniora skierowane do samorządowców: „Dobitnie podkreślał, że człowiek musi myśleć perspektywą wieczności, zwłaszcza gdy pełni funkcje publiczne, nie może poddać się natłokowi drobnych informacji, które skracają perspektywę, zaciemniają myślenie, skupiając uwagę na pojedynczych wydarzeniach, faktach mało istotnych".

Odważnie rozmawiał o problemach wewnątrz Kościoła i wyzwaniach współczesności.

Ks. bp Stefanek od ponad 60 lat był kapłanem i zakonnikiem (chrystusowcem), a biskupem od blisko 40. Świadek przełomu czasów, obrońca polskiej rodziny, formator i wychowawca oraz człowiek wielkiego intelektu, z łatwością dostrzegał problemy społeczne, wskazywał ich przyczyny, przewidywał skutki, ale przede wszystkim znajdował drogi wyjścia. Był przy tym kapłanem wielkiego ducha. Spotykał się z każdym człowiekiem w przestrzeni bliskości serca. Choć jego biskupie życie, nawet to senioralne, wypełnione było po brzegi obowiązkami, zawsze znajdował czas na indywidualne spotkanie, choćby najkrótsze. Zatrzymywał się przy napotkanym na ulicy człowieku, jakby był jedynym na świecie. Ta wielka pokora, uważność i realna troska o drugiego przebijały z każdego jego gestu.

Zostawił nas z zadaniem wiernej służby prawdzie, obrony rodziny, pielęgnowania narodowego dziedzictwa i troski o żywy, wierny Kościół, bez względu na to, którą jego część stanowimy.

Marzena Nykiel

Autopromocja

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox | **121** dekodery KAON i Horizon

orange™ — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**



Zwycięzca spod Żyrzyna

Generał Michał Heidenreich ps. Kruk to ważna postać w panteonie polskich dowódców polowych powstania styczniowego. Urodzony 19 września 1831 r. w Warszawie, jako syn spolonizowanego Niemca oraz matki Francuzki, całym swoim życiem i służbą zaświadczył, że polska tożsamość była jego świadomym i konsekwentnym wyborem



ARTUR JAGNIEŻA

Prawdopodobnie pierwsze kontakty konspiracyjne nawiązał już w trakcie pobytu na uniwersytecie w Kijowie, gdzie działał Związek Trojnicki. Z Kijowa przybył do Petersburga i tam od razu trafił do konspiracji wojskowej polskich oficerów będących słuchaczami Akademii Sztabu Generalnego. Spośród blisko 170 członków koła oficerskiego, jakie powstało prawdopodobnie na jesieni 1857 r. z inicjatywy Zygmunta Sierakowskiego, należał do wąskiego grona 23 oficerów, którzy mieli bezpośredni kontakt z samym Zygmuntem Sierakowskim i Jarosławem Dąbrowskim już od 1859 r. Kontakty te spowodowały, że Michał Heidenreich znalazł się w najbliższym kręgu decydentów budujących polską siatkę spiskową w szeregach armii rosyjskiej. Został członkiem Wydziału Wojny Centralnego Komitetu Narodowego. W przeddzień wybuchu powstania należał do sztabu rosyjskiej dywizji stacjonującej w Warszawie. Natychmiast po wybuchu insurekcji opuścił szeregi rosyjskie, dołączając do strony powstańczej.

NA PODLASIU I LUBELSZCZYŹNIE

Wymuszony organizacją branki wybuch powstania w styczniu nie sprzyjał stronie polskiej. Ale względnie silna organizacja spiskowa na Podlasiu oraz słabsza na Lubelszczyźnie w początkowym okresie powstania energicznie przystąpiły do działań. Mianowany w grudniu 1862 r. naczelnikiem wojskowym województwa podlaskiego pułkownik Walenty Lewandowski wyznaczył naczelników powiatowych i zarządził działania na noc styczniową. Major Bronisław Deskur zaatakował Radzyń Podlaski, sam pułkownik Walenty Lewandowski uderzył na rosyjską kolumnę pod Stokiem Lackim, a ksiądz Stanisław Brzózka z zaskoczenia natarł na Łuków Podlaski (wszystko 23 stycznia 1863 r.).

Akcje powstańcze spowodowały uzyskanie przez stronę polską względnej swobody działania, co pozwoliło na zajęcie m.in. Węgrowa. Spotkało się to jednak ze zdecydowanym przeciwdziałaniem strony rosyjskiej, która dążyła

eprasa.pl 3a5bfae0f4

do zlikwidowania polskich oddziałów. W efekcie działań carskich doszło do bitwy pod Węgrowem (3 lutego 1863 r.), w której strona polska uniknęła rozbicia, co było dużą zasługą dowódców Józefa Matlińskiego „Sokoła" oraz Władysława Jabłonowskiego. Kilka dni później skoncentrowane oddziały powstańcze poniosły niestety bardzo dotkliwą porażkę pod Siemiatyczami, w jednej z największych bitew powstania (7 lutego 1863 r.), która spowodowała, że inicjatywa w działaniach przeszła w ręce rosyjskie. Z tego powodu Polacy przeszli do prowadzenia działań nieregularnych, unikając starć z silniejszymi oddziałami rosyjskimi, jednocześnie starając się wzmacniać swoje siły w okresie od marca do maja 1863 r.

Z kolei na Lubelszczyźnie główne siły sprzysiężonych zebrane przez adwokata Kazimierza Gregorowicza uderzyły na Lubartów obsadzony przez rotę wołogodzkiego pułku wraz z artylerią. Mimo początkowego powodzenia powstańcy zostali wyparci z miasta. Następnie walki przybrały charakter drobnych potyczek. Po stronie polskiej zasłynął w nich dzielny leśnik Henryk Gramowski, który najpierw z garstką ludzi zaatakował Szczebrzeszyn (30 stycznia 1863 r.), a potem Tomaszów Lubelski (1 lutego 1863 r.). Na początku lutego w województwie lubelskim dali o sobie znać rosyjscy żołdacy pułkownika Emanowa, którzy 5 lutego 1863 r. dokonali rzezi w Tomaszowie Lubelskim, a w trzy dni potem spalili zamek i folwark, niszcząc archiwum ordynacji Zamoyskich w Zwierzyńcu. Ponadto w drugiej połowie lutego powstańcy ponieśli dotkliwe porażki pod Rudką oraz Żalinem.

Strona polska znalazła się w defensywie, choć trzeba oddać, że w tym okresie na Lubelszczyźnie zaczęła wschodzić już gwiazda powstańcza słynnego zagończyka płk. Marcina Borelowskiego Lelewela, który co prawda 24 marca 1863 r. został pobity pod Krasobrodem, ale w późniejszym okresie do swojej bohaterskiej śmierci pod Batorzem 6 września 1863 r. nie dał się Rosjanom rozbić. Warto też podkreślić krótką, choć intensywną kampanię gen. Antoniego Jeziorańskiego, który 1 i 5 maja



Generał Michał Heidenreich ps. Kruk

1863 r. stoczył, po przekroczeniu kordonu, zażarty bój z Rosjanami pod Kobylanką, aby następnie – po starciach pod Naklikiem, Lipinami i Harasiukami – wycofać się do Galicji.

„KRUK" WKRACZA DO WALKI

Celem zdynamizowania powstania Rząd Narodowy mianował latem 1863 r. pułkownika Michała Heidenreicha ps. Kruk naczelnikiem wojskowym województw podlaskiego oraz lubelskiego. „Kruk" energicznie przystąpił do realizacji zadania, dążąc do zmiany sytuacji, w której poszczególnie partie powstańcze są ciągle ściągane przez przeważające siły rosyjskie. „Krukowi" podlegały zahartowane od początku powstania oddziały mjr. Józefa Jankowskiego, kpt. Karola Krysińskiego, mjr. Władysława Ruckiego, dzielnego leśnika mjr. Wagnera oraz mjr. Andrzeja Zielińskiego. Razem partie powstańcze liczyły blisko 4 tys. żołnierzy, z czego blisko połowa była uzbrojona w broń palną. Należy jednak podkreślić, że poważnym problemem strony powstańczej był chroniczny brak amunicji.

W dość zgodnej opinii pułkownik „Kruk" starał się przywrócić na podległym sobie obszarze zasady napoleońskiej sztuki wojennej, której naczelnym przesłaniem było osobne maszerowanie, aby w decydującym miejscu wspólnie walczyć. W praktyce taktyka „Kruka" polegała na założonym łączeniu oddziałów w celu przeprowadzenia ataku, aby następnie dokonywać ich szybkiego podziału. Niewątpliwie to, co wyróżniało „Kruka" na tle innych dowódców w skali województw, to dążenie do aktywności i posiadania inicjatywy.

W opinii znawców przedmiotu „Kruk" był jedynym z niewielu dowódców od czasu upadku Mariana Langiewicza, który potrafił prowadzić kombinowane i złożone operacje z wykorzystaniem kilku partii powstańczych. Pozwoliło to 11 lipca 1863 r. odnieść niewielkie zwycięstwo w bitwie pod Sławatyczami. Kilka dni później, 24 lipca, „Kruk" postanowił zwabić w zasadzkę Rosjan w Kani Wolskiej, która niestety, mimo przewagi polskiej, z powodu braku zgrania oddziałów się nie powiodła. Sukcesem z kolei zakończyła się druga bitwa pod Chruśliną, stoczona 4 sierpnia, w której wyniku, po kolejnym nieudanym ataku, Rosjanie rozpoczęli paniczny odwrót, tracąc ponad setkę zabitych i rannych. Rozprężenie w szeregach rosyjskich było tak duże, że następnego dnia na sam widok powstańców nieprzyjaciel uciekł.

SKUTECZNA ZASADZKA

Dzięki sprawnie działającemu polskiemu wywiadowi, który zdobył rosyjską korespondencję szyfrowaną, „Kruk" pozyskał niezwykle ważną informację, że z Dęblina wyruszyła rosyjska kolumna z pocztą wojenną i znacznymi pieniędzmi. Postanowił urządzić na Rosjan zasadzkę przy stacji żyrzyńskiej. Carska kolumna por. Laudańskiego liczyła blisko 500 słabo wyszkolonych żołnierzy z załogi fortecznej twierdzy dęblińskiej. „Kruk" osiągnął w ataku pełne zaskoczenie, które spotęgował fakt wykonania natarcia w pobliżu innych kolumn rosyjskich. Należy zaznaczyć, że Polacy atakowali ze świadomością, iż nie mają już zapasów amunicji. Eskortę kompletnie rozbito. Wśród Rosjan było 192 zabitych i rannych oraz 150 jeńców. Z pogromu ocalało ok. 40 żołnierzy. Rosjanie stracili też prowadzone działa, które w decydującym momencie zagwoździli,

Ilustracja: Journal Universel 1863/Biblioteka Narodowa

Fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl 3a5bfae0f4

oraz wszystkie środki finansowe, które przewozili. Po przeliczeniu okazało się, że było to blisko 200 tys. rubli.

Zwycięstwo pod Żyrzynem 8 sierpnia 1863 r. było największym sukcesem w historii walk powstania styczniowego. Odbiło się szerokim echem nawet w prasie europejskiej. Ta rosyjska klęska okazała się jednak punktem zwrotnym dla powstania na Lubelszczyźnie i całego Królestwa. Przede wszystkim, strona rosyjska postanowiła za wszelką cenę dopaść Michała Heidenreicha „Kruka", który po zwycięstwie otrzymał od Rządu Narodowego nominację generalską. Co istotniejsze jednak, zdecydowano odwołać brata cara z funkcji namiestnika Królestwa, oddając ster kierowania walką w ręce rosyjskich wojskowych, którym do dyspozycji powierzono dodatkowe jednostki z głębi Rosji.

KLĘSKA FAJSŁAWICKA I NIEUDANA OFENSYWA

Po klęsce żyrzyńskiej Rosjanie przystąpili do zdecydowanych działań przeciw oddziałom „Kruka". W wyniku manewrów wojsk carskich 24 sierpnia doszło do bitwy pod Fajsławicami, która z uwagi na przewagę rosyjską zakończyła się klęską wojsk generała „Kruka". Przegrana pod Fajsławicami przetrąciła rozwój powstania w województwie lubelskim. Nikt jednak nie podważał zasług generała. Kiedy Rząd Narodowy powierzył Romualdowi Trauguttowi misję zagraniczną, w której trakcie miał omówić plany strategiczne powstania, to przyszły ostatni powstańczy dyktator postanowił przeprowadzić konsultacje m.in. z Michałem Heidenreichem. O jego względy zabiegał też kontrowersyjny generał Ludwik Mierosławski, który na 14 października 1863 r. planował zwołanie do Liège narady wojennej generałów.

Traugutt, mając rozeznanie w sieci intryg, zwołał odprawę generałów do Krakowa, na którą przybył „Kruk" ze swoim szefem sztabu mjr. Władysławem Pogorzelskim. Przedmiotem odprawy była planowana przez Traugutta wielka ofensywa jesienna, której celem było zdobycie przewagi strategicznej między Bugiem a Wisłą do kontynuowania powstania. Zgodnie z założeniami w Lubelskie miały wkroczyć równocześnie trzy oddziały: płk. Józefa Hauke-Bosaka, gen. Aleksandra Waligórskiego oraz właśnie „Kruka". Ten ostatni, idąc z kierunku Tomaszów–Zamość, miał jednocześnie być dowódcą całej operacji.

Niestety od początku nad przygotowaniami ofensywy wisiało jakieś fatum. Zamiast planowanych 7 tys. żołnierzy do walki gotowych było zaledwie 3 tys. powstańców. Ale przede wszystkim nie udało się w czasie skoordynować wkroczenia polskich kolumn z Galicji. Już 17 października rzekę San przekroczył gen. Waligórski, ale wojska „Kruka" dopiero 30 października. Rosjanie, przygotowani na wkroczenie wojsk polskich, bili rozczłonkowane oddziały powstańcze. Żołnierskie szczęście opuściło m.in. dzielnego Dionizego Czachowskiego, który poległ pod Wierzchowiskami. Sam generał Waligórski zrejterował po sześciu dniach walk i cofnął się do Galicji. Wojska „Kruka" z kolei zatrzymały się pod Poryckiem, zanim dobrze przekroczyły granicę.

REFORMA TRAUGUTTA

Celem uporządkowania organizacyjnego chylącego się ku upadkowi powstania Romuald Traugutt dokonał koniecznych reform wojskowych, wprowadzając terytorialny system zarządzania powstaniem. Z tego względu Rząd Narodowy zarządził jednolitą organizację wojskową, powołując cztery korpusy. Jeden operujący w woj. podlaskim i lubelskim, drugi w krakowskim i sandomierskim, trzeci w woj. augustowskim oraz czwarty w woj. mazowieckim i płockim. Ponadto wydano rozkaz o bezwzględnym zakazie rozpuszczania oddziałów, a decyzje takie miały być karane przez wojskowy sąd wojenny.

Na dowódcę korpusu podlasko-lubelskiego wyznaczono „Kruka". Zwycięzca spod Żyrzyna pod koniec 1863 r. tchnął jeszcze ducha w ruch insurekcyjny. Był szczególnie aktywny między szosą brzeską a Lublinem. Przenosił się z eskortą konną z oddziału do oddziału, inicjując działania i będąc świadkiem ostatnich drobnych sukcesów wojsk powstańczych, do których należy zaliczyć zwycięstwo partii kpt. Karola Krysińskiego pod Rassoszą 17 listopada 1863 r.

Mimo to oddziały powstańcze były coraz częściej osaczane przez carskie kolumny pościgowe. Wojska dowodzone osobiście przez „Kruka" zostały rozbite 25 grudnia 1863 r. w kawaleryjskiej bitwie pod Kockiem. Po porażce udało się generałowi uniknąć niewoli i przedostał się do Galicji. Z tą bitwą związany jest ciekawy epizod. Otóż miał wziąć w niej udział Emilian Kleeberg, ojciec przyszłego generała Franciszka Kleeberga, który – jak wiemy – stoczył ostatnią bitwę wojny 1939 r. właśnie pod Kockiem.

UCIECZKA PRUSAKOM

Chcąc się dostać do Paryża, gen. Heidenreicha musiał przejechać przez Prusy. Zatrzymał się w połowie lutego 1864 r. w dworze hrabiego Teodora Mycielskiego w Chocieszewicach. Do dziś nie wiadomo, czy przez przypadek, czy wskutek zdrady (syn hrabiego, Ludwik, zginął w powstaniu i jego dwór mógł być inwigilowany) policja pruska aresztowała gen. Michała Heidenreicha w dworze. Nie mając do końca jasności, kogo zatrzymano, 11 marca 1864 r. Prusacy postanowili przewieźć zatrzymanego do Poznania na dalsze przesłuchania. Aby pokrzyżować pruskie plany, członkowie organizacji spiskowej w powiecie gostynińskim postanowili go odbić. Celem opóźnienia wyjazdu generała do Poznania postanowiono, aby zaczął udawać chorobę. Leczył go wtajemniczony w spisek żydowski lekarz z Gostynina. W czasie spaceru, który zalecano mu w kuracji, kiedy „Kruka" pilnował tylko jeden żandarm, spiskowcy podjechali dorożką, rozbroili pruskiego strażnika i umożliwili ucieczkę generałowi, który następnie bezpiecznie dotarł do Paryża. Niestety organizatorzy spisku zostali złapani i skazani.

W maju 1864 r. „Kruk" wziął jeszcze udział w odprawie generałów w Dreźnie, gdzie potępił dyplomację powstańczą i opowiedział się za zwrotem ruchu insurekcyjnego w stronę programu czerwonych. Na uratowanie powstania było już jednak za późno. Po upadku zrywu „Kruk" wziął jeszcze udział po stronie francuskiej w wojnie prusko-francuskiej 1871 r. Niedługo potem wrócił do Polski i zamieszkał we Lwowie. Zmarł 9 kwietnia 1886 r. Spoczął na cmentarzu Łyczakowskim.

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Wojna, której nie zauważyliśmy

Wiele wskazuje na to, że obecnie nie jakiś kolektywny Zachód czy Stany Zjednoczone, ale Polska z rosyjskiej perspektywy jest główną przeszkodą w osiągnięciu tego, na czym tamtejszym elitom najbardziej zależy – przywrócenia imperium i usankcjonowania tego kroku przez społeczność międzynarodową



MAREK BUDZISZ

W Polsce podświadomie przyjmujemy założenie, że im bardziej Rosja prężymuskuły, im głośniej prezentuje swe racje, tym bardziej stara się ukryć trapiące kraj problemy. Bo w istocie jest to państwo, podobnie jak za czasów carskich, na pozór silne, ale w rzeczywistości będące kolosem na glinianych nogach, który może nie runie lada moment, ale jest znacznie słabszy, niźli przyjęło się sądzić. Nie rozpatrujemy scenariusza wzmocnienia się Federacji Rosyjskiej (FR), zwielokrotnienia jej możliwości, wreszcie nie zastanawiamy się, kto jest dla Moskwy głównym przeciwnikiem. A szkoda, bo wiele wskazuje na to, że nie jakiś kolektywny Zachód czy Stany Zjednoczone, ale Polska z rosyjskiej perspektywy jest główną przeszkodą w osiągnięciu tego, na czym tamtejszym elitom zdaje się zależeć najbardziej – przywrócenia imperium i usankcjonowania tego kroku przez społeczność międzynarodową. Dążąc do realizacji tak zakreślonego celu, nie zawahają się rozpocząć wojny, która zresztą, zdaniem wielu analityków, już trwa, ale my tego jeszcze nie zauważyliśmy.

Eksperci z renomowanego moskiewskiego uniwersytetu MGIMO opublikowali właśnie, jak co roku, prognozę rozwoju wydarzeń na świecie. Ich zdaniem wchodzimy w czas kształtowania się nowego układu sił. Rosja przetrwała, kolektywny Zachód już nie istnieje, każdy na własny rachunek realizuje swe interesy. A to oznacza, że w czasie

eprasa.pl 3a5bfae0f4

przejściowym, w którym teraz jesteśmy, kiedy stare alianse kruszeją, a nowe nie są jeszcze scementowane, większe znaczenie będzie odgrywała goła siła, którą dysponują państwa, i gotowość do jej użycia. „Pretendenci do zajęcia miejsc za stołem nowej globalnej gry – piszą rosyjscy analitycy – szybko dzielą się na tych, którzy chcą zapłacić za swe miejsce gracza, i tych, którzy przyszli tylko popatrzeć, jak inni grają, i zobaczywszy, kto będzie zwycięzcą, przejść na jego stronę. Gra o władzę wymaga postawienia spraw jasno – pokaż swe karty. Jedni za swoją przyszłość zapłacą pieniędzmi, inni gotowi są płacić krwią".

Nie ma wątpliwości, że FR zalicza się do grupy krajów, które za swe miejsce przy stole globalnej gry są w stanie „płacić krwią". Już tylko z tego powodu warto się zastanowić, jakie są dziś jej możliwości wojskowe, czym w tym zakresie dysponuje i do czego dąży.

WYKORZYSTAĆ „OKNO MOŻLIWOŚCI"

Na początku rozwiejmy wątpliwości. Moskwa nie przygotowuje się do „wielkiej wojny" o wymiarze światowym, konfliktu angażującego na długie miesiące czy lata potencjał całego narodu, takiego starcia, które może przekształcić się w wojnę nuklearną. Po to, aby ewentualne lokalne konflikty nie przekształciły się w pojedynek gigantów, Rosja w ostatnich latach gruntownie zmodernizowała swą triadę atomową. Jak powiedział w grudniu ubiegłego roku w wywiadzie dla gazety wojskowej „Krasnaja Zwiezda" dowodzący nimi generał pułkownik Siergiej Karakajew, w 2024 r. zostanie zakończona ich modernizacja i wówczas na wyposażeniu będzie wyłącznie broń najnowszej generacji. Budowie rosyjskiego potencjału odstraszania mają też służyć liczne wypowiedzi Władimira Putina, który wielokrotnie zapewniał, że w razie ataku nuklearnego nie zawaha się wcisnąć guzik. „My pójdziemy do raju, a nasi przeciwnicy po prostu zdechną" – powiedział w 2018 r. rosyjski prezydent, czym zszokował światową opinię publiczną, ale również poinformował świat, że w ostateczności gotów jest na wszystko. Siergiej Karaganow, renomowany rosyjski ekspert ds. międzynarodowych, „ojciec" zwrotu polityki Moskwy w stronę Azji, jest wręcz zdania, że obecnie FR ma w dziedzinie broni nuklearnej i środków jej przenoszenia 10–15-letnią przewagę nad Stanami Zjednoczonymi. I w jego opinii to „okno możliwości" trzeba teraz wykorzystać.

Jeśli nie o użycie „broni sądnego dnia", jak w Rosji mówi się o posiadanym arsenale nuklearnym, chodzi, to jakie cele i przy zastosowaniu jakich metod Moskwa chce osiągnąć? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba w skrócie choćby opisać istotę reformy rosyjskich sił zbrojnych rozpoczętą po doświadczeniach konfliktu z Gruzją w 2008 r. i nadal trwającą. Jej kontynuowanie ma doprowadzić, jak uważają analitycy szwedzkiego Instytutu Studiów Strategicznych FOI, do tego, że FR będzie w 2029 r. w stanie prowadzić jednocześnie dwie pełnowymiarowe wojny o charakterze lokalnym, czego dziś nie są w stanie robić nawet Stany Zjednoczone.

Igor Sutyagin i Justin Bronk, autorzy opublikowanej w Wielkiej Brytanii analizy rosyjskiej reformy sił lądowych, są zdania, że jej celem jest z jednej strony uczynienie ich bardziej mobilnymi i lepiej dowodzonymi, z drugiej zaś przygotowanie do lokalnej wojny toczonej maksymalnie do kilkuset kilometrów od jej dzisiejszych granic. Skąd ten dystans? Decydują najmniej zajmujące, ale w realiach współczesnej wojny, chyba najistotniejsze kwestie logistyczne. O tym, jak daleko mogą się posunąć na Zachód rosyjskie zagony pancerne, decydują możliwości ich zaopatrzenia, dowozu części, wymiany uszkodzonych jednostek oraz uzupełnień kadrowych.

Jednym z pierwszych posunięć rosyjskiej reformy Sierdiukowa–Szojgu, jak określa się program modernizacji sił zbrojnych, była znaczna redukcja sieci magazynów wojskowych. W miejsce 580 arsenałów, stworzono 13 wielkich centrów logistycznych, głównie znajdujących się na zachodzie i południowym zachodzie kraju. Chodzi nie tylko, choć to ważny czynnik, o znaczną redukcję kosztów składowania, lecz również o uproszczenie łańcuchów logistycznych i dowodzenia, a także ujednolicenie platform sprzętowych. Temu ostatniemu służyło wprowadzenie na wyposażenie „czołgu Armata T 14", który nie jest żadnym czołgiem, ale uniwersalną platformą bojową dowolnie konfigurowaną w 28 różnych formułach sprzętowych. Kolejnym założonym krokiem ma być szkolenie wymiennych załóg zdolnych obsługiwać na polu walki ten sprzęt. Jest to o tyle istotne, że – zdaniem zachodnich ekspertów – takie posunięcie może nawet czterokrotnie zwiększyć możliwości bojowe bez zwiększania stanu liczebnego armii.

A teraz liczby. Jak się szacuje, w trakcie konfliktu na wschodzie Ukrainy Rosja była w stanie zaangażować ok. 50 tys. żołnierzy, którzy bezpośrednio, choć rotacyjnie, uczestniczyli w walce, i dodatkowo drugie tyle wsparcia. Obecnie siły te, jak się przyjmuje, uległy podwojeniu. W ostatnim wywiadzie rosyjski minister obrony Szojgu mówił o możliwości natychmiastowego użycia 150 mobilnych grup batalionowych, co z grubsza odpowiada temu potencjałowi. Jeśli idzie o siły szybkiego reagowania, to Rosjanie, głównie ze względu na relatywną słabość swego lotnictwa transportowego, są w stanie przerzucić na tyły wroga 35–36 tys. żołnierzy wojsk specjalnych. Nie jest to potencjał, który pozwala na „zawojowanie Europy", ale taki, którego wielkość i możliwości działania (długość linii zaopatrzenia) pozwolą na osiągnięcie linii Wisły, najdalej, o ile napotkają słaby opór, Odry.

ILE TO KOSZTUJE

Trzeba przy okazji poświęcić nieco uwagi rosyjskim wydatkom na zbrojenia. Otóż europejska opinia publiczna usypiana jest informacją, że oscylują one wokół kwoty 60 mld dol., co w porównaniu z budżetem choćby Pentagonu (738 mld dol. w obecnym roku budżetowym), ale również dużych graczy europejskich, takich jak Francja czy Wielka Brytania, nie jest na pierwszy rzut oka kwotą gwarantującą przewagę. Ale nawet jeśli zgodzimy się z tym, że oficjalne informacje o poziomie wydatków wojskowych FR są prawdziwe (co do tego jest sporo wątpliwości), to trzeba pamiętać, że Rosja nie kupuje broni i uzbrojenia na rynku międzynarodowym, ale we własnym, dobrze rozwiniętym sektorze obronnym. A zatem, jak obliczył brytyjski analityk

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Richard Conolly, uczciwiej byłoby w jej przypadku posługiwać się przelicznikiem siły nabywczej, bo rosyjska armia kupuje, płacąc relatywnie mniej. A to w praktyce nakazuje pomnożyć wydatki wojskowe FR przez 2,5, co daje w bieżącym roku kwotę ok. 150 mld dol., a w latach ubiegłych nawet 200 mld dol.

Dopiero zestawienie wydatków Polski (w 2019 r. ok. 13 mld dol., ale trochę oszukaliśmy, bo do tych kwot dodano zakup samolotów dla VIP-ów) z nakładami FR pokazuje rzeczywistą dysproporcję naszych potencjałów. Choć nie do końca. Inna jest też struktura wydatków. Conolly argumentuje, że o ile światowi „średniacy" w dziedzinie wojskowości, tacy jak Francja czy Wielka Brytania, ok. 25 proc. środków przeznaczają na nowe typy broni, o tyle w przypadku Rosji wskaźnik ten wynosi nawet 50 proc. A zatem moskiewskie arsenały są nie tylko zasobniejsze, lecz również znajduje się w nich sprzęt lepszy o wyśrubowanych parametrach.

„NOWA ROPA"

Czy Rosja będzie w dłuższej perspektywie w stanie utrzymać ten poziom wydatków? W Polsce optymistycznie przyjmuje się, że nie. Skończy się światowy boom na węglowodory, społeczeństwo niezadowolone z niskiego poziomu życia kiedyś wreszcie upomni się o swoje prawa, a w razie kryzysu niewydolna rosyjska gospodarka sobie nie poradzi. Abstrahując od tego, że FR z rezerwami w złocie i walutach przekraczającymi 500 mld dol. wydaje się uodporniona na zawirowania na światowych rynkach, warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden, niedostrzegany w Polsce, czynnik. Otóż od pewnego już czasu niezależni rosyjscy ekonomiści, a także politycy opozycji, mówią, że kremlowska elita „odkryła nową ropę", mając na myśli wzrost dochodów podatkowych. Ostatnie dostępne dane mówią o tym, że w ciągu 10 miesięcy 2019 r. dochody podatkowe rosyjskiego budżetu udało się podnieść o 7,9 proc. w sytuacji, kiedy wzrost PKB nie przekraczał 2 proc. W perspektywie minionych pięciu lat wzrost dochodów z tytułu podatków wyniósł już 38,8 proc., a jednocześnie udało się o 34 proc. zmniejszyć liczbę dolegliwych kontroli podatników.

W udzielonym jesienią ubiegłego roku wywiadzie dla ekonomicznego dziennika „Kommiersant" szef rosyjskich służb podatkowych szczycił się tym, że tzw. luka w podatku VAT, czyli różnica między kwotami realnie wpływającymi do budżetu a tym, co wynika z deklaracji podatkowych, dziś w Rosji wynosi 0,6 proc., podczas gdy w Unii Europejskiej szacowana jest na 10 proc. Obecnie twórca tego rosyjskiego „podatkowego cudu" Michaił Miszustin został premierem. Jego zadaniem będzie nie tylko rozpędzenie tamtejszej gospodarki, lecz również, a może przede wszystkim, doprowadzenie do cyfrowego skoku rosyjskiej administracji. Dziś do resortu, którym kierował obecny premier, przyjeżdżają delegacje z państw UE po to, by przeanalizować wprowadzone rozwiązania. Nie ulega też wątpliwości, że szacowana na 700 mld rubli nadwyżka tegorocznego budżetu FR nad wydatkami to w dużej mierze zasługa Miszustina, cudotwórcy, jak się uważa, w zakresie modernizacji administracji. Dlaczego zakładamy, że powierzona mu misja się nie powiedzie? Być może za kilka lat FR będzie państwem sprawniej zarządzanym i sprawniej mobilizującym swoje zasoby?

> Działania nieregularne, ataki w cyberprzestrzeni, propaganda, dezinformacja, zastraszanie są obecnie tak samo przejawem wojny jak tradycyjny konflikt zbrojny. Gdyby patrzeć na to, co się dziś dzieje w relacjach Polska, Europa Środkowa a Rosja z tej perspektywy, to wojna już trwa. Na razie o niskiej intensywności, ale dlaczego wykluczamy jej wejście w gorącą fazę?

CZEMU SŁUŻY OFENSYWA KREMLA

Na obecną ofensywę narracyjną i propagandową Kremla trzeba patrzeć pod tym kątem. Jednym z jej celów może być, bo takie są techniki opracowanej jeszcze za czasów komunistycznych wojny psychologicznej, zohydzenie państw Europy Środkowej w oczach ich sojuszników. Podważenie naszej moralnej prawomocności, przedstawienie nas w kategorii sojuszników Hitlera, wiarołomców i hipokrytów, a przy tym wiecznie uprawiających politykę „ponad miarę, nierealistyczną i opartą na uprzedzeniach oraz resentymentach", służyć może również osłabieniu europejskich więzi sojuszniczych.

Ta taktyka zbiega się z tym, o czym otwarcie piszą dziś rosyjscy specjaliści zajmujący się ewolucją sztuki wojennej. Otóż ich zdaniem, jedna z fundamentalnych zmian sprowadza się do rozmycia granicy wojny i pokoju. Działania nieregularne, ataki w cyberprzestrzeni, propaganda, dezinformacja, zastraszanie są obecnie tak samo przejawem wojny jak tradycyjny konflikt zbrojny. Nie trzeba używać czołgów, aby osiągnąć cele polityczne. Ale oczywiście i Rosja tego nie robi, nie można „w ciemno" rezygnować z możliwości uruchomienia kawalerii pancernej.

Gdyby patrzeć na to, co się dzieje obecnie w relacjach Polska, Europa Środkowa a Federacja Rosyjska z tej perspektywy, to wojna już trwa. Na razie o niskiej intensywności, ale dlaczego wykluczamy wejście jej w gorącą fazę?

Nawet jeśli z obecnych opresji uda nam się wyjść obronną ręką, to musimy uprawiać politykę, kierując się przekonaniem, że w najbliższych latach rosyjski potencjał wojskowy, polityczny i gospodarczy wzrośnie, nie zaś osłabnie.

eprasa.pl 3a5bfae0f4



#MeToo przed sądem

Oskarżycielek było ponad sto, ale w chwili rozpoczęcia procesu Harveya Weinsteina zostały ich zaledwie dwie. I nie ma żadnej gwarancji, że hollywoodzki producent rzeczywiście zostanie skazany za gwałt i molestowanie seksualne. To, co miało być wielkim triumfem ruchu #MeToo, dawno zamieniło się w farsę



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Ten proces nie stanowi referendum w sprawie ruchu #MeToo ani referendum w sprawie molestowania seksualnego czy praw kobiet" – zadeklarował sędzia przewodniczący James Burke podczas wyboru ławników do długo oczekiwanego procesu Harveya Weinsteina, hollywoodzkiego producenta filmowego, zwanego „królem Oscarów". Proces ruszył w ubiegłym tygodniu w Nowym Jorku.

ANGELINA JOLIE, SALMA HAYEK I INNE

67-letni Weinstein miał przez ostatnie 30 lat gwałcić i molestować aktorki oraz

eprasa.pl 3a5bfae0f4

pracownice jego firmy produkcyjnej The Weinstein Company. Skandaliczne zachowanie wpływowego producenta było tajemnicą poliszynela w Tinseltown, czyli mieście tandety, jak jest często nazywane Hollywood. Nie to, że nikt nigdy nie złożył na niego skargi. W 2015 r. modelka Ambra Battilana Gutierrez wniosła na niego skargę do policji. Weinstein miał ją złapać za piersi i wsadzić jej rękę pod spódnicę. Ale prokurator okręgu Manhattan Cyrus Vance odmówił wniesienia oskarżenia. Złośliwcy twierdzą, że Weinstein zapłacił za to prokuratorowi, współfinansując jego kampanię o reelekcję, zresztą udaną. Skandal wybuchł dopiero dwa lata później, po publikacji artykułów w „New York Timesie" oraz „New Yorkerze" (autorstwa Ronana Farrowa), w których trzy kobiety oskarżyły producenta o gwałt. Uruchomiło to prawdziwą lawinę oskarżeń ze strony mniej lub bardziej znanych aktorek i modelek, w tym Gwyneth Paltrow, Angeliny Jolie, Rose McGowan, Daryl Hannah i Salmy Hayek. Tak zrodził się ruch #MeToo, czyli „ja też".

Nie mijał dzień bez doniesień o przewinieniach magnata filmowego, który stał się uosobieniem „brudnego, starego faceta" (dirty old man), wykorzystującego swoje wpływy, by wymuszać na zależnych od niego aktorkach i pracownicach seksualne przysługi oraz następnie zmuszać je do milczenia. Choćby aktorkę Mirę Sorvino, partnerkę życiową Quentina Tarantino, którego filmy wyprodukował, zaczynając od „Wściekłych psów". Podobnie jak gwiazdę filmów „Kill Bill" Umę Thurman. Rozpoczął się osobliwy moralny remanent w Hollywood: z jednej strony kobiety wyznające doznane krzywdy, z drugiej mężczyźni wyznający swoje winy, ze zmową milczenia na czele. To wszystko okraszone głośnymi protestami ruchu #MeToo pod egidą aktorki Rose McGowan, przekonanej feministki, przeciwko mizoginii i seksizmowi w przemyśle filmowym. W którym, jeśli wierzyć oskarżycielkom Weinsteina, producent filmowy był wszechpotężną postacią, której wszyscy się bali. Na tyle, że nikt wcześniej nie odważył się pisnąć na jego temat słówka. Upadek Weinsteina był dotkliwy. Jego firma produkcyjna zbankrutowała i większość Hollywood się od niego odwróciła, włącznie z jego bratem i partnerem biznesowym Bobem. Opuściła go także młoda żona, zabierając z sobą dzieci. „On jest zupełnie sam, odizolowany od świata. Bardzo się boi, że trafi do więzienia" – twierdzi Jeffrey Lichtman, nowojorski prawnik, który zaprzyjaźnił się z producentem.

> Większość kobiet ułożyła się z producentem. Albo ich sprawy uległy przedawnieniu, albo dowody są tak słabe, że wybrały drogę cywilną. To pozwoli im zawalczyć o sowite odszkodowania. Ugody odmówiła m.in. była modelka z Polski Kaja Sokoła

Tyle że Weinstein jest twardy. Należy do pokolenia, które wywalczyło sobie swoją pozycję ciężką pracą oraz agresywną strategią biznesową. Tak łatwo się nie podda.

PIENIĄDZE I GRA NA WSPÓŁCZUCIE

Wypowiedzi, jak ta Lichtmana, mają zresztą wywołać współczucie dla niego. Podobnie jak chodzik, którym Weinstein się posługuje na sali sądowej, i trzy numery za duża marynarka, w której producent pochylony nad chodzikiem wygląda nędznie. Taki przygarbiony, wychudzony. W mailu wysłanym do „New York Timesa" producent się zarzeka, że się zmienił. Uczestniczy w 12-krokowym programie dla uzależnionych od seksu, spotyka się z terapeutą. „Zrozumiałem, że jestem słaby" – pisze.

Nie jest to bynajmniej równoznaczne z przyznaniem się do winy. Wręcz przeciwnie. Weinstein utrzymuje, że nigdy żadnej kobiety do seksu nie przymuszał, oraz wskazuje na „transakcyjny" charakter relacji, które utrzymywał z aktorkami i swoimi pracownicami. Seks w zamian za karierę w Hollywood. Mimo optymizmu panującego na otwarciu procesu trudno będzie mu więc udowodnić, że było inaczej. Prawnicy producenta zamierzają przedstawić dowody na to, że oskarżające go kobiety po domniemanych gwałtach i molestowaniu dalej utrzymywały z nim przyjazne relacje, nawet wysyłały mu maile z podziękowaniami, prosząc o kolejne „prywatne" spotkania. Tak jak aktorka Jessica Mann, która dziękowała mu pisemnie za to, „co dla niej robi, że go kocha i że byłoby wspaniale go znowu zobaczyć". Nie jest to bynajmniej przypadek odosobniony. Takich listów i maili mają być tuziny. Tyle że w chwili otwarcia procesu z ponad stu oskarżycielek zostały tylko dwie, a sześć wystąpi w roli świadków, w tym aktorka Annabella Sciorra, by wykazać, że Weinstein „polował" na kobiety. Ustanowić pewien wzór zachowania. Ta strategia okazała się bardzo skuteczna w przypadku Billa Cosby'ego. Pierwsza z oskarżycielek Weinsteina pragnie zachować anonimowość. Drugą jest była asystentka producenta Mimi Haleyi, która twierdzi, że wymusił na niej akt seksualny w 2006 r. w swoim nowojorskim apartamencie. Weinstein w tej sprawie jest oskarżony o pięć przestępstw: gwałt pierwszego stopnia, gwałt trzeciego stopnia, przestępstwo seksualne pierwszego stopnia oraz dwa przestępstwa o charakterze drapieżnym. Formalnie grozi mu za to nawet dożywocie. W rzeczywistości jest to jednak słowo przeciwko słowu, a dowodów fizycznych brak. Skazanie Weinsteina nie będzie więc wcale takie proste.

Dlatego większość kobiet ułożyła się z producentem. Albo ich sprawy uległy przedawnieniu, albo dowody są tak słabe, że wybrały drogę cywilną. To pozwoli im zawalczyć o sowite odszkodowania. Ugoda miałaby opiewać na

Fot. lev radin / Shutterstock

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Fot. Denis Makarenko / Shutterstock

47 mln dol. Koszty pokryje jednak nie Weinstein, ale firma ubezpieczeniowa, która pomaga jego firmie produkcyjnej The Weinstein Company wyjść z długów. Zgodnie z warunkami umowy pieniądze trafią do kobiet, które złożyły pozwy, oraz ich prawników. Jak podaje „The Guardian", jest ich co najmniej 30, więc żadna z nich nie otrzyma więcej niż 500 tys. dol. Na dodatek producent nie będzie musiał się przyznać do winy. Dlatego niektóre z nich, w tym była modelka z Polski Kaja Sokoła, odmówiły jej podpisania. Liczą, że uda im się wywalczyć więcej pieniędzy poza skargą zbiorową.

A przecież nie tak miało być. Sprawa Weinsteina miała być ostatecznym triumfem ruchu #MeToo. Walką o sprawiedliwość i prawa kobiet. Tymczasem zamieniła się w walkę o pieniądze. Jak donosi „New York Times", Weinstein dobrze się przygotował na taki obrót sprawy. Sprzedał niemal wszystkie swoje nieruchomości, gromadząc ok. 60 mln dol. na ewentualne zadośćuczynienia. Przed sądem stoi więc nie tylko on, lecz także ruch #MeToo. Wynik procesu będzie bowiem ostateczną oceną skuteczności feministycznych happeningów z udziałem znanych gwiazd. A było ich niemało. Demonstracje uliczne z udziałem Rosanny Arquette, flash moby, ubieranie się na czarno na galach, wynagradzanie kobiet na Oscarach i Złotych Globach, hashtagi, wreszcie półnaga modelka Emily Ratajkowski z napisem „Pieprzyć Weinsteina" na ramieniu. Wszystko to będzie na nic, jeśli Weinstein się wywinie.

ZASADY HOLLYWOOD

Tymczasem proces, jeszcze zanim się na dobre rozpoczął, już zamienił się w farsę. Ze względu na emocje, jakie budzi sprawa, sąd borykał się ze znalezieniem ławników. Ostateczny skład ławy przysięgłych oprotestowały obie strony. Znalazła się w nim m.in. kobieta, która napisała książkę o „brudnych, starych facetach" polujących na młode dziewczyny. O mały włos ławnikiem zostałaby także modelka Gigi Hadid, która nie tylko zna Weinsteina, lecz ma o nim jak najgorsze zdanie. Prokuratura upierała się, że nadaje się do tej roli. Prawnicy producenta skarżyli się wielokrotnie na „karnawałową atmosferę w sądzie", jednak ich wniosek o przeniesienie procesu w inne miejsce, gdzie nie generowałby takiego medialnego cyrku, został odrzucony. Prokuratura natomiast miała pretensję do producenta o lekceważący stosunek do sądu – zamiast śledzić proces, ostentacyjnie bawił się telefonem. Będziemy więc mieli okazję zapoznać się z wersją obu stron – Weinsteina i jego oskarżycielek – oraz opiniami psychologów pracujących dla prokuratury, którzy wytłumaczą nam – jak pisze „Wall Street Journal" – dlaczego to zupełnie normalne, że ofiary gwałtu dziękują swoim oprawcom i starają się podtrzymywać z nimi kontakt. Dowiemy się także, czy godność kobiet, bo o to przecież w tym wszystkim rzekomo chodzi, jest ważniejsza od pieniędzy, które przecież większość z nich wybrała zamiast zeznań na procesie, który miał wywalczyć im sprawiedliwość, a ich oprawcę wysłać na długo za kratki.

Producent tymczasem pracuje nad comebackiem. Kilka miesięcy temu złożył wniosek o pozwolenie na wyjazd do Włoch, gdzie zamierzał wyprodukować film. Zaczął się także pojawiać w popularnych wśród filmowców barach i restauracjach. Gdy młody aktor podszedł do niego w jednym z barów, pytając o to, co tu właściwie robi, został wyproszony. Aktor, nie Weinstein. W rozmowie z tabloidem „New York Post" producent wyznał, że czuje się pokrzywdzony, że jego wkład w karierę wielu kobiet – aktorek i reżyserek – został zupełnie zapomniany. Straszne, można by rzec, gwałcił i molestował, a i tak myśli tylko o sobie. Tyle że, po pierwsze, oskarżony jest niewinny, póki nie zostanie mu udowodniona wina, a po drugie, Hollywood i zasady to dwie rzeczy, które się niemal nigdy z sobą nie stykają. Co nader wyraźnie pokazuje właśnie proces Weinsteina. Zarówno w przypadku producenta, jak i jego oskarżycielek.

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Hit tygodnia

Najmniejsze w ofercie – Ferrari Roma

Ferrari Roma nie należy do największych aut i choć obecnie jest najmniejszym oferowanym modelem, to aż tak mały nie jest (4,65 m długości, 1,97 m szerokości i 1,3 m wysokości, czyli większy od modelu Portofino) i waży 1472 kg. Czym jest Roma? Według producenta to „reinterpretacja beztroskiego stylu życia w Rzymie w latach 50. i 60.", czyli powrót do klasycznego, słodkiego życia – dolce vita. Chciałoby się rzec: dolce far niente, ale akurat nic nie robić z Ferrari? To nie do pomyślenia.

Może Roma nie jest największym samochodem, ale osiągi już są typowe dla Ferrari: do „setki" potrzebuje 3,4 s, do 200 km/h – 9,4 s, prędkość maksymalna zaś to 320 km/h – imponujące. Ale nic dziwnego, skoro pod maską znajdziemy V8 z doładowaniem o pojemności 3,9 l (co się przekłada na 620 koni i 760 Nm maksymalnego momentu obrotowego).

Na razie data premiery ani cena nie są znane, lecz spekuluje się, że może to być jeden z tańszych modeli Ferrari.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Łódź pozbędzie się aut spalinowych z centrum? Łódź to podobno najbardziej zakorkowane miasto w Polsce (w Europie na 7. miejscu, a na świecie 15. – aż się nie chce wierzyć). Jak miasto chce rozładować ten problem, czyli korki? Przez utworzenie Strefy Czystego Transportu, ale najpierw ma powstać cała infrastruktura, a dopiero potem będzie mowa o ograniczaniu ruchu pojazdów spalinowych. Do 2020 r. pojawi się w Łodzi 200 stacji ładowania samochodów elektrycznych.

Choć Saab nie produkuje samochodów już od kilku lat, to ostatnie nowe auto tej marki właśnie zostało sprzedane (przebieg zaledwie 66 km). To Saab 9-3, który należy do 420 egzemplarzy powstałych po oficjalnym zakończeniu produkcji. Cena wywoławcza wynosiła 400 tys. koron szwedzkich, a samochód został sprzedany za 465 tys. koron, czyli około 186 tys. zł.

Jaki jest rekord prędkości traktora? To pytanie to wcale nie jest żart, sam rekord zaś jest imponujący: 217 km/h. Dokonał tego Brytyjczyk Guy Martin, kierowca wyścigowy i celebryta. Co prawda ciągnik był nieco podrasowany, ale wynik znalazł się Księdze rekordów Guinnessa.

Od przyszłego roku na holenderskich autostradach dojdzie do sporej rewolucji. Limit prędkości zostanie zmniejszony ze 130 do 100 km/h. Jest to spowodowane chęcią ograniczenia emisji spalin. W ten sposób Holandia obok Cypru będzie unijnym krajem z najmniejszą dopuszczalną prędkością na autostradach. Dla przypomnienia w Polsce limit prędkości to 140 km/h.

Alfa Romeo będącą częścią koncernu FCA (czyli takie marki jak choćby: Fiat, Chrysler, Jeep, Ferrari, Maserati) ma spore kłopoty, w skrócie: nikt nie chce kupować jej aut. Dlaczego tak się dzieje, nie wiadomo. Przewidziano właśnie plan ratunkowy dla marki, ale oby nie został wprowadzony on w życie zbyt późno.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Głos rosnącej Polski i Europy

Zorganizowany przez PZU i Bank Pekao SA, przy wsparciu prezydenta Andrzeja Dudy i premiera Mateusza Morawieckiego, Dom Polski na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos sprawił, że wreszcie weszliśmy do międzynarodowej debaty o przyszłości regionu i kontynentu



MICHAŁ KARNOWSKI

Korespondencja z Davos

Odbywające się już po raz 50. Światowe Forum Ekonomiczne w Davos w Szwajcarii to niejednoznaczne miejsce. Ma w sobie siłę światowych giełd i moc decyzji o tym, gdzie trafią miliardy dolarów. Tutaj wykuwają się nieformalne trendy, hierarchie i opinie o tym, kto idzie w górę, a kto słabnie w międzynarodowej rywalizacji. Ale też dużo tutaj strojenia się w pawie pióra, sporo targowiska próżności. Dla ludzi jako tako zanurzonych w kulturze może być także miejscem refleksji o kondycji współczesnego człowieka, bo tutaj przecież umieścił akcję „Czarodziejskiej góry" Tomasz Mann.

WYRAŹNA POLSKA OBECNOŚĆ

Jedną z takich czarodziejskich gór widać także z okien budynku, w którym zbudowano Polish House – Dom Polski, pawilon wspólnie przygotowany przez dwie polskie instytucje finansowe – PZU i Bank Pekao SA. Jeszcze kilkanaście dni temu był tu sklep i za kilka dni znowu będzie – bo tak to tutaj działa. Na czas forum miasto się przebudowuje, zmienia swoje oblicze. Większość instytucji miejskich, niestety także muzea, zaprzestaje działalności i nawet mieszkańcy opuszczają domy na tydzień, by za ogromne pieniądze wynająć je tysiącom gości. A każdy przyjeżdżający ma jeden cel: przekonać pozostałych o własnej wiarygodności, dynamizmie, namówić inwestorów do wspólnych interesów.

Chodzi o to, by gdzieś na końcu procesów składających się z dziesiątek rozmów móc powiedzieć to, co w ubiegłą środę właśnie w Domu Polskim udało się premierowi Mateuszowi Morawieckiemu: – Kilka miesięcy temu w Sztokholmie spotkaliśmy się z szefem firmy AstraZeneca i rozmawialiśmy o jej dalszych inwestycjach w Polsce. Dzi-

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Podpisanie umowy o powołaniu Rady Biznesu Rosnącej Europy. W spotkaniu wzięli udział m.in. prezydent Chorwacji Kolinda Grabar-Kitarović, prezydent Polski Andrzej Duda, prezydent Łotwy Egils Levits, premier Estonii Jüri Ratas, ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher, prezes Banku Pekao Marek Lusztyn, prezes PZU Paweł Surówka, wiceprezes Goldman Sachs John Rogers, wiceprezes Google Karan Bhatia

Fot. Fratria

siaj z ogromną radością mogę ogłosić, że uzgodniliśmy nowe inwestycje, i to w obszarze, na którym bardzo mi zależy, czyli badań, rozwoju, wdrożeń – tam, gdzie wartość dodana jest bardzo wysoka, gdzie są dobrze płatne miejsca pracy. To jest ten typ inwestycji, na których Polsce bardzo zależy.

Obecny na tej samej konferencji prezes firmy AstraZeneca Leif Johansson powiedział, że w jego ocenie warto w Polsce inwestować: – Ja również się cieszę, że uzgodnienie zostało zawarte. Jako firma mamy 30-letnie doświadczenie działalności w Polsce. Widzimy atrakcyjność inwestowania tutaj, przyjazne warunki, wysoki poziom nauki i duże zrozumienie dla skomplikowania naszej branży – podkreślił Johansson. Według nieoficjalnych informacji wartość inwestycji to 1,5 mld zł.

AMBASADA REGIONU

Ambicje są jednak dużo większe. Jednym z najciekawszych wątków tegorocznej obecności w Davos było potraktowanie polskiego pawilonu jako rodzaju ambasady całego regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Mówił o tym już w pierwszych godzinach funkcjonowania pawilonu wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin. – Przekonujemy przedsiębiorców z całego świata oraz szefów ważnych instytucji decydujących o rozwoju, że warto inwestować w Polsce, warto inwestować w naszej części Europy, że to się po prostu opłaca – mówił wicepremier. Podkreślił: – Wśród dziesięciu najszybciej rozwijających się krajów europejskich w ostatnich latach siedem to kraje naszego regionu, a liderem jest Polska. To daje nam mocny mandat nie tylko do tego, żeby przedstawiać się jako lider regionu, ale również mieć dobrą perspektywę rozwoju w następnych latach.

Prezes PZU Paweł Surówka oceniał w rozmowie z tygodnikiem „Sieci": – Bardzo mnie ucieszyło, że wśród naszych partnerów, gdy przygotowywaliśmy ten szeroki wymiar tegorocznej obecności w Davos, nie było prezesa, polityka, który by powiedział, że ten pomysł mu się nie podoba. Nikt więc tego nie postrzega w regionie jako zagrożenia, a wielu widzi w tym szansę. Jest dla wszystkich naturalne, że Polska, największa w regionie, najbardziej rozpoznawalna marka, w jakiejś mierze bierze odpowiedzialność za to, co ją otacza. Proszę zwrócić uwagę na takie sprawy jak 5G, bezpieczeństwo cybernetyczne, Via Carpatia – tu nikt nie powinien być sam, trzeba je analizować i realizować wspólnie.

TRÓJMORZE GOSPODARCZE

Wątek ten pojawił się też w wypowiedzi prezydenta Andrzeja Dudy podczas jednego z najważniejszych w mojej ocenie wydarzeń w Domu Polskim, czyli dyskusji zatytułowanej „Rosnąca Europa: ekonomiczna witalność centralnej i wschodniej Europy". Zestaw uczestników był imponujący: obok prezydenta Polski obecna była prezydent Chorwacji Kolinda Grabar-Kitarović, prezydent Łotwy Egils Levits, premier Estonii Jüri Ratas, ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher, prezes PZU Paweł Surówka, prezes Banku Pekao SA Marek Lusztyn, wiceprezes Goldman Sachs John Rogers, wiceprezes Google Karan Bhatia.

Prezydent Duda w swoim wystąpieniu w tym gronie przypomniał, że Europa Środkowo-Wschodnia stała się motorem gospodarczym dla całej UE, że w latach 1996–2017 gospodarki krajów tego regionu zanotowały 114 proc. wzrostu PKB na osobę w porównaniu do 27 proc. wzrostu w krajach zachodnich. – Nasze gospodarki nieustannie doganiają zachodnich konkurentów, jeśli chodzi o najważniejsze wskaźniki ekonomiczne. Wciąż jesteśmy w stanie zaoferować relatywnie niskie koszty pracy, silny kapitał ludzki, dobrze wykształconych ludzi, przyjazne środowisko podatkowe, ogromny rynek konsumencki i najlepsze lokalizacje dla zagranicznych inwestycji – mówił prezydent Duda. Podkreślił też, że „państwa Trójmorza to dziś wyjątkowe połączenie silnych gospodarek, stabilności politycznej i coraz lepszej infrastruktury, także na osi Północ-Południe".

Ta debata była też dowodem, że inicjatywa Trójmorza, czyli współpraca państw – jak to określiła w Davos prezydent Chorwacji „leżących od Bałtyku do Adriatyku" – ma ogromny potencjał wzrostu. Stąd powołanie Rady Biznesu Rosnącej Europy. Jej współinicjator, prezes PZU Paweł Surówka, tak opisuje tę ideę: – Jest ona naszym wnioskiem z wielu rozmów, jakie toczymy z inwestorami. Zwracali uwagę, że w inwestowaniu liczy się wzrost gospodarczy, który mamy, ale także skala, która musi być odpowiednio duża. Jeżeli zatem połączymy nasze rynki, sprawimy, by inwestorzy zaczęli nas postrzegać jako jeden duży, dynamicznie rosnący region, to zbudujemy jeszcze większą atrakcyjność dla inwestorów.

Jak podkreślił, „nasz region odpowiada za 11 proc. PKB Unii Europejskiej, ale reprezentuje aż 20 proc. wzrostu PKB w UE. To musi być mocniej doceniane".

W ocenie prezesa Surówki podpisane w Davos porozumienie największych firm regionu w sprawie powołania rady pozwoli Europie Środkowej i Wschodniej dołożyć do głosu politycznego także ten gospodarczy. – Od teraz Europa Środkowo-Wschodnia ma swoją radę biznesu, ma swój głos i zaangażowanych liderów, którzy chcą razem pracować nad jej promocją – dodał.

Jeden z sygnatariuszy rady (biznesmen spoza Polski) powiedział mi w kuluarach: – To może zmienić gospodarczą mapę świata.

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Prezydent Andrzej Duda w Domu Polskim na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos zainaugurował debatę „Rosnąca Europa: ekonomiczna witalność centralnej i wschodniej Europy". W drugim rzędzie prezes PZU Paweł Surówka i prezes Banku Pekao SA Marek Lusztyn

Fot. Materiały prasowe



Przekonujemy przedsiębiorców z całego świata oraz szefów ważnych instytucji decydujących o rozwoju, że warto inwestować w Polsce, warto inwestować w naszej części Europy, że to się po prostu opłaca – mówił w Domu Polskim w Davos wicepremier, minister aktywów państwowych Jacek Sasin

Fot. Fratria

Przede wszystkim dlatego, że planowany wspólny indeks giełdowy ma pozwolić inwestorom dostrzegać i lokować pieniądze w regionie jako w całości, bez konieczności rozróżniania na poszczególne, często za małe z ich perspektywy, giełdy i gospodarki.

NIE MA CZASU DO STRACENIA

Nie ulega bowiem wątpliwości, że najgorsze, co mogłoby się dziś Polsce przydarzyć, to zadowolenie z dotychczasowych osiągnięć. W Davos widać, jak konkurencyjny jest świat. Walczą o prymat największe koncerny, kontynenty, państwa. – Głównym wyzwaniem, przed którym stoimy, jest wyjście z roli „zakładu montażowego" i rozwinięcie silnych specjalizacji w perspektywicznych niszach wysoko technologicznych, w których firmy z Europy Środkowo-Wschodniej mogą pojawić się nie tylko jako podwykonawcy, ale także jako prawdziwi liderzy. Tylko w ten sposób firmy z naszego regionu mogą stać się globalnymi liderami – mówił w Davos prezes Banku Pekao SA Marek Lusztyn. W jego ocenie polska gospodarka ma solidne podstawy do dalszego rozwoju. – Finanse są zdrowe, budżet Polski jest bardzo zbilansowany, Polakom z roku na rok żyje się coraz lepiej, co widać po tempie wzrostu płac i wzroście konsumpcji. W Banku Pekao SA widzimy, jak wielu Polaków może pozwolić sobie na zakup mieszkania, zaciągając pożyczkę hipoteczną – podkreślał w rozmowie z tygodnikiem „Sieci".

Co ciekawe, w ocenie prezesa Lusztyna nie tylko wielkie koncerny z udziałem skarbu państwa, ale także firmy prywatne będą coraz ambitniej rozpychały się w świecie: – Widzę, że bardzo wiele polskich firm rodzinnych, które z nami współpracują od lat, bardzo urosło, wzmocniło się. Dziś mogą już myśleć, i coraz częściej to robią, o ekspansji zagranicznej, o rozwoju, przejęciach innych firm. Wsparcie tych firm w tych wyzwaniach to zadanie i banku, i państwa. Polish House w Davos to też ruch w tę stronę. Zaprosiliśmy tu, wspólnie z PZU, wielu naszych polskich klientów. I w tym roku skorzystali z tej okazji wyjątkowo licznie. Nasza obecność tutaj buduje też rozpoznawalność naszej gospodarki, wskazuje kontekst. To również ma znaczenie.

Także w polskim pawilonie minister finansów Francji i przedstawiciele międzynarodowych instytucji finansowych rozmawiali o walce z nadużyciami podatkowymi. I przyznawali, że Polska jest w tym obszarze od kilku lat wzorem dla całej Europy.

– Davos to wydarzenie globalne. Spotykają się tu przywódcy państwowi, światowi, globalne i regionalne firmy. Jeżeli Polska chce być silna gospodarczo, jeśli chce jeszcze



Premier Mateusz Morawiecki i szef potężnej firmy AstraZeneca Leif Johansson ogłosili, że koncern zainwestuje w Polsce 1,5 mld złotych – i to w obszarze, na którym nam najbardziej zależy, czyli badań, rozwoju, wdrożeń, nowoczesnej produkcji

Fot. Fratria

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Fot. Fratria

Dużym echem odbiła się debata o walce z nadużyciami podatkowymi w Unii Europejskiej. Wśród panelistów byli premier Mateusz Morawiecki oraz francuski minister gospodarki i finansów Bruno Le Maire (z lewej)

mocniej wpinać się w gospodarczy światowy obieg, to musi być tutaj obecna. Tym bardziej że my musimy świat gonić, a on nie stoi w miejscu. Jeżeli prześpimy rewolucję technologiczną związaną z digitalizacją, automatyzacją procesów, innowacyjnością, to na dziesięciolecia stracimy swoją szansę. Cieszę się, że Bank Pekao SA może wspomagać w podejmowaniu tych wyzwań polskie firmy. Podobnie jak fakt, że współorganizowany przez nas tegoroczny Dom Polski w Davos nabrał tak mocno regionalnego charakteru, że wybrzmiał tu głos Europy Środkowo-Wschodniej. To wszystko podkreśla odpowiedzialność, jaką czujemy w Banku Pekao SA za polską gospodarkę – podkreśla w wypowiedzi dla „Sieci" wiceprezes Pekao SA Tomasz Styczyński.

Prezes PZU Paweł Surówka dodaje: – Dom Polski w Davos to miejsce dla polskich firm, które budują swoją pozycję międzynarodową, do spotkania z międzynarodowym światem biznesu, polityki i nauki. I cieszy, że z tego korzystają.

DZIEDZICTWO LECHA KACZYŃSKIEGO

Warto tu cofnąć się w czasie, widzieć szerszy kontekst. Kiedy prezydent Lech Kaczyński w czasie swojej kadencji zarysował program Polski ambitnej, która dzięki sile gospodarki, wielkości geograficznej, jakości elit i zdolności łączenia państw Europy Środkowo-Wschodniej rozpycha się nieco w Europie, podawano to w wątpliwość. Każdy z jego kroków w tym kierunku – od powiedzenia Rosji „nie", gdy agresją na Gruzję próbowała zastraszyć obszar postkomunistyczny, przez wsparcie przejęcia przez Orlen litewskiej rafinerii w Możejkach, po działania na rzecz uwolnienia się od zależności energetycznej od Rosji – był krytykowany.



Fot. Fratria

Dom Polski – Polish House w Davos

Do rosyjskiego gazu mieliśmy być przecież przywiązani na wieki, na dodatek po najwyższych w Europie cenach, polski LOT wcale nie musiał być polski, a Orlen i służby państwowe miały już zawsze patrzeć przez palce na rzekę przemycanych paliw (750 cystern dziennie!).

Cóż, nikt nie mówił, że będzie łatwo, nie wszystko się udaje, konkurencja też przeszkadza, jak może. Ale sporo udało się osiągnąć. Okazało się, że LOT może nie tylko przynosić zyski, ale i myśleć o przejęciu niemieckich linii Condor, co dałoby mu podwojenie rocznej liczby klientów.

Orlen inwestuje w przemysł petrochemiczny, wpłaca gigantyczne pieniądze do budżetu państwa, zwiększa procent polskich produktów w swojej ofercie, rozważa funkcjonowanie pod własną marką w Czechach i Niemczech.

Polska jest w grze, Polska się rozpycha – choć z szacunkiem dla konkurentów. Nie zawsze wszystko wychodzi, ale często też bywa, jak w Davos, że efekty są nadspodziewanie dobre. Bez wątpienia wektor polityki gospodarczej został przestawiony. Dzięki sensownemu zarządzaniu ocalałymi przed prywatyzacją zasobami publicznymi choć trochę nadrabiamy słabość, którą był i jest brak kapitału, dobrze opisany w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju premiera Morawieckiego. Czy aby nie w tym właśnie tkwi przyczyna tej lawiny, która co jakiś czas spada na obóz rządzący dziś krajem ze strony tej zagranicy, która najlepiej zarabiała na Polsce pasywnej, uległej, wyprzedającej wszystko?

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Kosmiczna rozgwiazda

Polskie Linie Lotnicze LOT są trzecim przewoźnikiem, który oferuje bezpośrednie połączenie z najnowocześniejszym i jednym z największych lotnisk na świecie Pekin-Daxing. Docelowo port ma obsłużyć nawet 100 mln pasażerów rocznie. To naturalny partner dla planowanego polskiego CPK



MARCIN WIKŁO

Korespondencja z Pekinu

Budynek lotniska Beijing-Daxing robi kosmiczne wrażenie. Zbudowany na kształcie sześcioramiennej rozgwiazdy, ze sklepieniem z jasnych paneli, w których dyskretnie ukryte jest oświetlenie. Całość dopełnia wypolerowana marmurowa podłoga. Odbijając obraz z sufitu, powoduje niezwykły efekt wizualny. – Proszę spojrzeć na ilość prześwitów i naturalnego światła, które dociera nawet do najniższych poziomów. Już na etapie wstępnego planowania byliśmy zdeterminowani, by wykorzystywać jak najwięcej zielonej energii – mówi Wang Qiang, zastępca kierownika działu biznesu lotniczego Pekin-Daxing, który oprowadzał grupę dziennikarzy z Polski.

DO CHIN CODZIENNIE

LOT jest dopiero trzecią linią lotniczą, (po British Airways i fińskim Finnairze), która lata na Daxing. Mimo to liczby i tak już są imponujące. – Od września do końca grudnia 2019 r. obsłużyliśmy 3 mln pasażerów. W tym roku planujemy, że będzie to 27 mln podróżnych – powiedział Wang Qiang.

Gdyby udało się zrealizować pierwotny plan i uruchomić połączenie w październiku ubiegłego roku, polski przewoźnik byłby pierwszy. W rozmowie z nami prezes Rafał Milczarski mówi, że obecność na Daxingu z biznesowego punktu widzenia wydaje się oczywistością. Na razie nie ma tutaj tłoku, ale w ciągu miesięcy będzie gęsto, a my mamy już swoje sloty (godziny startów i lądowań).

– Skorzystaliśmy z szansy, jakie daje nowo otwarte lotnisko Pekin-Daxing. Gdybyśmy tego nie zrobili, byłby to wielki błąd – dodał Milczarski. – W ciągu 10 lat chcemy latać dużo więcej razy do Chin. Mam nadzieję,

eprasa.pl 3a5bfae0f4

że na lotnisko Pekin-Daxing będzie to co najmniej codziennie. Jednocześnie będziemy wykonywać codzienne rejsy na stołeczne międzynarodowe lotnisko w Pekinie. Docelowo chcielibyśmy na jedno z tych lotnisk latać dwa razy dziennie przez siedem dni w tygodniu. Czy tak się stanie? Zadecyduje potencjał rynku i efekty porozumień bilateralnych między Polską a Chinami – powiedział w rozmowie z PAP.

REKORDOWE TEMPO

Gwiaździście położone rękawy, które łączy centralna część terminala, powodują, że pasażerowie w zasadzie wszędzie mają blisko. Taki był plan brytyjskiej architekt irackiego pochodzenia Zahy Hadid z firmy Zaha Hadid. W czerwcu ubiegłego roku z pomysłu dyrekcji CPK odbyły się warsztaty architektoniczne, podczas których pracownie prezentowały wizualizacje polskiego portu. Projektanci z Zaha Hadid Architects także wzięli w nich udział.

Warto dodać, że inwestycja w Pekinie powstała w rekordowym czasie pięciu lat. Według chińskich mediów był to wydatek o równowartości blisko 50 mld zł, choć inne źródła twierdzą, że koszta mogły wzrosnąć nawet do blisko 70 mld zł.

Lądując na Daxingu, najpierw można dostrzec przede wszystkim gigantyczny plac budowy. Z planowanych siedmiu pasów, do tej pory oddano cztery. Początkowo będzie tutaj obsługiwanych 72 mln pasażerów i przewożonych ponad 20 mln ton cargo. Celem jest 100 mln pasażerów.

Port Beijing-Daxing jest położony ok. 50 km na południe od centralnego placu Tiananmen. Na lotnisko można dojechać autostradą lub koleją. W planach jest uruchomienie szybkiego pociągu (długość linii ok. 100 km) pomiędzy Daxingiem a lotniskiem Capital, które mieści się na północy metropolii.

Te obliczenia są istotne w kontekście Centralnego Portu Komunikacyjnego, którego uruchomienie jest planowane na 2027 r. – Warto się przyglądać Daxingowi, by wdrażać wszystkie sukcesy takich projektów, a niedociągnięcia eliminować – powiedział prezes PLL LOT. Nie ukrywa, że właśnie w uruchomieniu CPK upatruje szansy na rozwój polskich linii lotniczych. – W ciągu dekady liczba rejsów pomiędzy naszym docelowym lotniskiem, czyli CPK, a różnymi miejscami w Chinach, może sięgnąć nawet 100 połączeń tygodniowo – dodał.



16.01.2020 r. po raz pierwszy dreamliner PLL LOT wylądował na lotnisku Pekin-Daxing



JAK NIE W CHINACH

Potężny gmach Daxingu sprawia wrażenie pustego. Plan rozwoju portu naszkicowany jest jednak na tyle realnie, że zwiedzając terminal, mamy świadomość, że już za kilka miesięcy będzie tutaj naprawdę tłoczno. Cała infrastruktura jest bardzo nowoczesna, na każdym kroku są kamery, a mimo to zwracają uwagę żołnierze, którzy stoją dwójkami na prowizorycznych schodkach i obserwują przechodzących. Dodatkowy monitoring? A może nie wszystkie kamery są już uruchomione? Tego oczywiście nikt nam oficjalnie nie wyjaśni.

Taka jest specyfika Chin. Z jednej strony mamy szczelnie ocenzurowany internet, można zapomnieć o przeglądaniu Facebooka, Twittera czy odbieraniu poczty z Gmaila, z drugiej wielobarwne ulice wyglądają jak większość światowych stolic. Można zjeść w McDonald's, KFC, Burger Kingu czy zrobić zakupy w Zarze lub H&M. Podobnie jest na nowym pekińskim lotnisku. Dużo opowiada się wręcz o wojnie handlowej z Chinami, ale jeśli na Daxingu zachce nam się kawy, to zawsze możemy wpaść do amerykańskiego Starbucksa. Jest ich tutaj 10.

Zdjęcia: M. Czutko

eprasa.pl 3a5bfae0f4

O co tu naprawdę chodzi

Brukselę i wszystkich źle Polsce życzących irytuje to, że chcemy być poważnym i liczącym się krajem, w którym panuje porządek, a nie wyłącznie dostarczycielem kapitału i taniej siły roboczej oraz dużym rynkiem zbytu dla zagranicznej produkcji



JANUSZ SZEWCZAK



Skoro Komisja Europejska, Parlament Europejski i Komisja Wenecka, same łamiąc unijne traktaty i kompletnie nie licząc się z faktami ani realiami prawnymi, żądają zablokowania w Polsce prawa, którego jeszcze nawet nie ma i nie wiadomo, jakie ono ostatecznie będzie, to na pewno nie o prawo i praworządność tu głównie chodzi. Gra idzie o znacznie poważniejsze i groźniejsze sprawy, znacznie bardziej fundamentalne: tu chodzi o Polskę, o jej przyszłość, o władzę, o wpływy i gigantyczne pieniądze.

Chodzi o zablokowanie szybkiego rozwoju Polski, wyhamowanie rosnącej polskiej konkurencji gospodarczej i eksportowej (rekordowa nadwyżka w handlu zagranicznym w ub.r. – ok. 4 mld euro). A przede wszystkim chodzi o odsunięcie od władzy ludzi, którzy zablokowali bezkarny wypływ za granicę setek miliardów złotych (tylko w latach 2007–2015 na kwotę 260 mld zł), nie tylko w ramach walki z tzw. mafiami vatowskimi, ale i niepłaconym CIT, hazardem czy cenami transferowymi, co daje kolejne 150 mld zł. Tu rzecz idzie o rosnące aspiracje Polaków, rolę i znaczenie Polski nie tylko w Europie, ale w nowym geostrategicznym rozdaniu współczesnego świata. Niemiecka gazeta „Die Welt" ostrzega, że już niedługo Polska będzie mieć więcej czołgów niż Niemcy i Francja łącznie. Co to się porobiło w tej Europie?

Jak widać po działaniach totalnej opozycji, a i „zdrajców ci u nas dostatek" oraz tzw. pożytecznych idiotów, koniecznie chcą oni zaszkodzić własnemu krajowi, łamiąc liczne artykuły ustawy zasadniczej, w tym art. 82 Konstytucji RP, który mówi o wierności obywateli wobec Rzeczypospolitej i działaniu dla dobra wspólnego, ale też art. 129 i 128 kk. Nikt dziś tak nie szkodzi praworządności, konstytucji i demokracji jak właśnie polska opozycja, ale przyczyny tych działań przeciwko Polsce są zupełnie inne, niejurystyczne. Organizacja wymiaru sprawiedliwości w Polsce to tylko użyteczny pretekst dla naszych przeciwników, inspirowany przez wewnętrzną opozycję z marszałkiem Senatu Tomaszem Grodzkim na czele, którego niektórzy nazywają już cesarzem, choć sam nie potrafi rzetelnie wytłumaczyć się z łapówkarskich oskarżeń, które non stop padają pod jego adresem.

Polska jest dziś na mapie Europy symbolem sukcesu gospodarczego, polityki prorodzinnej i społecznej oraz nowej wizji rozwoju i ładu społecznego opartego na tradycyjnych wartościach. Jesteśmy coraz bardziej dynamiczni, skuteczni i stajemy się coraz bardziej suwerenni, zwłaszcza w sferze energetycznej. Ciągle niestety dla lewacko-liberalnej Unii Europejskiej jako naród jesteśmy zbyt konserwatywni, zbyt

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 3a5bfae0f4

chrześcijańscy i zbyt odporni na ideologię LGBT, multikulti, na eutanazję, aborcję na życzenie, na weganizm, ekologizm, genderyzm i neomarksizm. Mamy zbyt dobre relacje ze Stanami Zjednoczonymi, chcemy skutecznie wzmacniać własną armię i obronność i już to robimy, ciągle nie podoba nam się Nord Stream II, nie godzimy się na nową, fałszywą wersję historii obwiniającą Polaków o wszelkie zbrodnie i bezeceństwa. Chcemy należnych nam, a dotąd niewypłaconych odszkodowań wojennych za niesłychane niemieckie zbrodnie, straty i zniszczenia.

> Organizacja wymiaru sprawiedliwości w Polsce to tylko użyteczny pretekst dla naszych przeciwników, inspirowany przez wewnętrzną opozycję z marszałkiem Senatu Tomaszem Grodzkim na czele

Mamy wreszcie zrównoważony budżet państwa, kupujemy złoto, zwiększamy dochody podatkowe (o ok. 100 mld zł rocznie), dokonujemy przekopu Mierzei Wiślanej, chcemy mieć wielki własny port lotniczy (CPK), zbudować Baltic Pipe, Via Carpatia, znacząco wzmacniać polskie firmy i koncerny, by liczyły się w Europie, i nie tylko Orlen SA czy PKO BP są tu tego doskonałym przykładem. Chcemy, by zyski z ciężkiej pracy Polaków pozostawały w kraju i były sprawiedliwie dzielone. I to właśnie jest nie do wybaczenia i nie do zaakceptowania przez możnych tego świata. Brukselę i wszystkich źle Polsce życzących irytuje to, że chcemy być poważnym i liczącym się krajem, w którym panuje porządek, a nie wyłącznie dostarczycielem kapitału i taniej siły roboczej oraz dużym rynkiem zbytu dla zagranicznej produkcji. Tu chodzi właśnie o owe gigantyczne pieniądze, o coroczne 100 mld zł zysków zagranicznych koncernów i sieci handlowych transferowanych rokrocznie z Polski, o blisko 80 mld zł, które już trafiły do polskich rodzin w ramach programu 500+, a które to pieniądze dotychczas odpływały w siną dal, do różnych kosmopolitycznych gangów i tzw. przyjaciół królika. Tu chodzi o 100 mln ton przeładunku towarów w polskich portach, co staje się poważną konkurencją dla portów w Hamburgu, Bremie i Rotterdamie, a nie o wsparcie kabotyńskich popisów niektórych przedstawicieli tzw. kasty sędziowskiej. Tu nie chodzi nawet o to, by przy dziecku nie mówić po niemiecku, a w Senacie po angielsku, to nie jest żadna odsiecz dla „Marszu Tysiąca Fartuszków" w drodze do przedszkola demokracji, tu chodzi o wielkie interesy i wielkie lody, jakie bezkarnie kręcono przez lata w kraju nad Wisłą.

Coraz więcej ludzi w Europie dostrzega, że Polska to oaza bezpieczeństwa, porządku i perspektyw. Widzi też i to, że w demokratycznej Francji policja pałuje niemiłosiernie już nie tylko tzw. żółte kamizelki, ale nawet sędziów i prawników na terenie sądów, a nad Wisłą jest taka wolność, że opozycja może się cieszyć nawet samowolą i bezkarnością.

Ostatnim niemieckim wsparciem na wschodnim froncie praworządności wydaje się wpis w mediach społecznościowych byłego premiera Donalda Tuska. Tak oto napisał on o obecnej władzy: „Wyprowadzają Polskę z Unii, niszczą sądy, by bezkarnie kraść, szczują jednych Polaków przeciw drugim. Głosujesz na nich? Masz prawo. Ale nie masz prawa dłużej udawać, że tego nie widzisz. Bo, widzisz". I to właśnie jest prawdziwy głos zaniepokojenia elit europejskich i unijnych, tym co dzieje się w Polsce. Bo kiedyś to naprawdę można było, zwłaszcza za rządów Donalda Tuska, bezkarnie rabować portfele Polaków i budżet państwa, i to na gigantyczne kwoty. Ale to się skończyło i długo nie wróci. W ustach Donalda Tuska teza o bezkarnej kradzieży i szczuciu przeciw Polakom wydaje się wyjątkowo ryzykowna, tym bardziej że to właśnie za jego premierowania Polska bez żadnego szemrania podpisała niezwykle kosztowny i okradający nas na lata pakiet klimatyczny, a w 2012 r. to jego rząd pożyczył na wieczne nieoddanie MFW 24,3 mld zł na tzw. ratowanie strefy euro, mimo że w niej nie jesteśmy. Czyż można było głupiej szastać polskimi pieniędzmi?

Wrogowie Polski mają czym się martwić, bo bezprecedensowa w ostatnich dziesięcioleciach operacja grabienia polskich dochodów podatkowych i naszych portfeli została zatrzymana, a neokolonialne podejście do naszego kraju przestało być społecznie akceptowane.

REKLAMA



8/0120/F

eprasa.pl 3a5bfae0f4



Pustynny finisz Polaków

Po 12 dniach morderczej walki z pustynią zawodnicy ORLEN Team wreszcie przekroczyli upragnioną metę. Pokonanie 7,5 tys. km w ekstremalnych warunkach to wielkie osiągnięcie samo w sobie, a jeśli jeszcze miejsce w klasyfikacji generalnej jest niezłe, to możemy mówić o pełni szczęścia. Maciej Giemza, Martin Prokop, Kuba Przygoński i Kamil Wiśniewski wrócili z Arabii Saudyjskiej zmęczeni, ale też pełni chęci do powrotu na wymagającą trasę za rok

Polscy zawodnicy zwracali uwagę na wielkie zróżnicowanie trasy tegorocznego Dakaru i to, że państwo Saudów dysponuje pod tym względem niemal nieskończonymi możliwościami (przypomnijmy – Arabia Saudyjska jest niemal siedmiokrotnie większa od Polski), co jest znakomitym prognostykiem przed kolejnymi edycjami rajdu.

– Teren jest bardzo ciekawy i fajny, mamy tutaj powrót do prawdziwego pustynnego rajdu, myślę, że jeśli w kolejnych latach w organizację włączą się sąsiednie kraje, to będzie jeszcze lepiej. Myślami jesteśmy już przy następnym Dakarze, bo ten nie poszedł po naszej myśli – Kuba Przygoński

Polscy kibice największe nadzieje wiązali z reprezentantem ORLEN Teamu Kubą Przygońskim pilotowanym przez Niemca Timo Gottschalka. Polak w klasie samochodów startuje od 2016 r. i co roku zalicza progres – w Dakarze 2019 zajął czwartą lokatę, więc tym razem celem było podium. O tym, że nie uda się go osiągnąć, wiadomo było już po pierwszym etapie: z powodu awarii skrzyni biegów w Mini załoga straciła sześć godzin. Później przytrafiła się jeszcze jedna usterka, więc ostatecznie od najlepszych Przygońskiego dzieliło ponad osiem godzin. To nie znaczy, że polsko-niemiecka ekipa się poddała – wspaniała sportowa postawa pozwoliła im dwukrotnie zakończyć etapy na drugiej pozycji, a łącznie aż ośmiokrotnie znajdowali się w pierwszej dziesiątce. Tym samym sukcesywnie przesuwali się w górę tabeli i ostatecznie zakończyli Dakar na 19. pozycji, więc za rok chcą wziąć rewanż na niegościnnych arabskich piaskach.

– To był bardzo długi i wyczerpujący rajd, tym bardziej się cieszymy, że dojechaliśmy do jego mety. Nie jesteśmy do końca zadowoleni z naszej postawy, mieliśmy po drodze kilka problemów na etapach, liczyliśmy na lepszy rezultat – Martin Prokop

Sportowa złość jest również udziałem debiutanta w barwach ORLEN Teamu Martina Prokopa jadącego wespół z Viktorem Chytką. Czeska załoga również nie ustrzegła się problemów technicznych i ostatecznie finiszowała na 12. pozycji. Z pewnością nie jest to wynik, który Prokopa satysfakcjonuje – podobnie jak Przygoński kierowca liczył na wynik w okolicach podium i już teraz odgraża się, że za rok ten plan zrealizuje. W klasie samochodów najszybszy okazał się Carlos Sainz, który od trzeciego etapu był liderem. Dla Hiszpana był to już trzeci triumf w Dakarze, tyle samo razy najtrudniejszy rajd świata wygrywał Katarczyk Nasser Al-Attiyah, który tym razem był drugi. Podium uzupełnił 13-krotny triumfator Dakaru Francuz Stephane Peterhansel, który wyśrubował rekord wygranych etapów do kosmicznego poziomu 80 zwycięstw. Czołowa trójka zażarcie z sobą rywalizowała i nie dopuściła do głosu innych ekip, choć warto jeszcze wspomnieć o niezłym, 13., miejscu debiutującego w rajdzie Fernanda Alonsa, mistrza Formuły 1.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 3/0120/F

epresa.pl



– Ukończenie pierwszego Dakaru w Arabii Saudyjskiej to jest bardzo cenne doświadczenie, biorąc pod uwagę kolejne edycje, które się tu odbędą. Bardzo się cieszę, że dojechałem do mety, bo to zawsze jest fajne uczucie, zwłaszcza na rajdzie Dakar – Maciej Giemza

ORLEN Team miał w klasie motocykli dwóch reprezentantów, ale Adam Tomiczek skończył udział w rajdzie po czwartym etapie z powodu bliskiego spotkania z głazem i wywołanej nim kontuzji pleców. Znacznie lepiej Dakar wspominać będzie Maciej Giemza, który osiągnął postawiony przed sobą cel – ukończył wyścig w pierwszej dwudziestce, na 17. miejscu. Najlepszy etapowy rezultat Polak osiągnął w ostatnim dniu, zajmując dziewiątą lokatę. Oby za rok udało mu się zająć podobną pozycję w generalce. Bezkonkurencyjny okazał się Amerykanin Ricky Brabec jadący na hondzie, który tym samym zakończył ciągnącą się od dwóch dekad dominację maszyn KTM. Dobrze prezentowali się kolejni w klasyfikacji Pablo Quintanilla z Chile i ubiegłoroczny triumfator Toby Price. Polak Krzysztof Jarmuż skończył na 44. miejscu. Trasa rajdu okazała się dla motocykli niesłychanie wymagająca, co skutkowało wycofaniem się całej masy kierowców. Niestety, Dakar 2020 zostanie również zapamiętany z powodu tragicznej śmierci weterana Paulo Goncalvesa na skutek odniesionych w wypadku obrażeń. Dla Portugalczyka był to 13. udział w wyścigu.

– Czuję się na tyle dobrze, że mógłbym się ścigać jeszcze przez tydzień, musielibyśmy tylko włożyć dużo pracy w quada, żeby móc rywalizować z innymi, osiągać dobre prędkości i podnieść jego wytrzymałość – Kamil Wiśniewski

Znakomitą piątą pozycję w klasyfikacji generalnej w klasie quadów zajął jadący w ORLEN Teamie Kamil Wiśniewski, tym samym pobijając swój rekord sprzed roku, gdy był szósty. Jadący na maszynie Yamaha kierowca najmilej będzie wspominał dziesiąty etap, w którym udało mu się najszybciej dojechać do mety. Poza Wiśniewskim ze świetnej strony zaprezentował się też borykający się z technicznymi problemami debiutant Arkadiusz Lindner który zajął 12. miejsce, zamykając tym samym stawkę. Ale pamiętajmy, że akurat w tym rajdzie samo jego ukończenie jest nie lada wyczynem. Trzecie zwycięstwo na quadzie odniósł Chilijczyk Ignacio Casale finiszujący przed Simonem Vitse'em z Francji. W klasie ciężarówek znów triumfował rosyjski kamaz – drugie zwycięstwo w karierze odniósł Andriej Karginow, na podium znalazł się również jego rodak Anton Szibalow i Białorusin Siergiej Wiazowicz. Polska załoga z Robertem Szustkowskim i Jarosławem Kazberukiem ukończyła rajd na 18. pozycji, z kolei międzynarodowe ekipy Darka Rodewalda i Szymona Gospodarczyka były odpowiednio 6. i 9. Wśród pojazdów SSV najszybszy okazał się amerykański zespół tworzony przez Caseya Curriego i Seana Berrimana. Polskie zespoły Domżała-Matron znalazły się na 13. (synowie) i 30. (ojcowie) pozycji.

Dakar 2020 przeszedł do historii. Możemy być pewni, że gdyby nie nieszczęsne awarie, Kuba Przygoński włączyłby się do walki o podium, a Martin Prokop zająłby miejsce w pierwszej dziesiątce. Ale to także jest elementem dakarowej próby i bogatsi o to doświadczenie kierowcy za rok bez wątpienia pokażą, na co ich stać. Podobnie będzie z Kamilem Wiśniewskim, który przy większym „dokręceniu" sprzętu powinien rywalizować o pierwszą trójkę, oraz z motocyklistami ORLEN Teamu – Maciej Giemza jest po prostu coraz szybszy, a żądny udanego powrotu na pustynię Adam Tomiczek także nie powiedział ostatniego słowa. Wszystkim zawodnikom wspieranym przez PKN ORLEN gratulujemy i trzymamy kciuki, żeby Dakar 2021 był jeszcze lepszy od tegorocznego.

Michał Muzyczuk

ORLEN TEAM W RAJDZIE DAKAR 2020

Jakub Przygoński i **Timo Gottshalk** (samochód) – 19. pozycja
Martin Prokop i **Viktor Chytka** (samochód) – 12. pozycja
Maciej Giemza (motocykl) – 17. pozycja
Kamil Wiśniewski (quad) – 5. pozycja
Adam Tomiczek (motocykl) – nie ukończył



KRZYSZTOF PUTERNICKI PODRÓŻNIK

Od Nordkapp po Kapsztad

Od ponad 20 lat – czyli od pierwszej wizyty w Afryce – podczas kolejnych podróży w najmniej oczekiwanych miejscach natrafiałem na polskie ślady. Często nieoczywiste, skomplikowane, ale też dające ciekawą, różnorodną perspektywę tego, co nam znane, bliskie. Choćby parę lat temu spotkałem w Afryce człowieka, który wyjechał z kraju w latach 70. ubiegłego wieku. W pamięci pozostała mu Polska z tamtych, mocno zdefiniowanych, czasów. Rozmowy z nim były niezwykłym doświadczeniem.

Podobnych, a zarazem zupełnie innych spotkań miałem tak wiele, że postanowiłem w końcu o nich opowiedzieć. W ten sposób narodził się reporterski cykl „Polskie ślady". Emisja pierwszej części, przedstawiającej podróż przez Europę, rozpoczęła się w TVP1 na początku tego roku (do pierwszych odcinków można wciąż sięgnąć w internecie; premierowe pokazywane są w sobotnie przedpołudnia, a powtórki m.in. w TVP Polonia, co niedzielę o godz. 18.50).

Projekt objął trasę wiodącą przez dwa kontynenty (drugim jest Afryka). Punkt startu był symboliczny. Wyruszyłem z Przylądka Północnego (norweskie Nordkapp) i położonego na nim, najdalej wysuniętego w tej części Europy kontynentalnego siedliska, do którego mogłem dojechać samochodem (bo tym właśnie środkiem komunikacji się przemieszczam).

W liczącej kilkadziesiąt domów osadzie spotkałem Adama, który od dekady dosłownie gwarantuje przetrwanie mieszkańcom Gjesvaer. Jest złotą rączką, naprawia wszelkie usterki, a gdy mocno sypnie, odśnieża jedyną drogę, która łączy osadę ze światem.

Z Gjesvaer ruszyłem na południe. Przez Finlandię i – po przeprawie promem – Estonię i Łotwę, wciąż mało znane, a niezwykle inspirujące, kraje. Potem była Litwa i Białoruś, gdzie m.in. usłyszałem przepiękną i niezwykle wzruszającą historię związaną z młodzieńczymi latami Witolda Pileckiego.

W kolejnym etapie podróży niesamowite wrażenie zrobiła na mnie bukowińska tolerancja. Fenomen, na który natknąłem się w geograficzno-polityczno-religijnej enklawie. Bukowina to rejon leżący między Karpatami Wschodnimi a środkowym Dniestrem (po II wojnie światowej podzielono go między Ukrainę i Rumunię). Od setek lat – niezależnie od historycznych zawirowań i podziałów – żyją w niej w zgodzie, we wspierających się społecznościach: muzułmanie, chrześcijanie i żydzi. Zachowując narodową tożsamość. Mieszka tu też wielu Polaków.

W rumuńskich Karpatach trafiłem na wioski w stu procentach polskie, których mieszkańcy posługują się polskim językiem i tradycjami w piękny sposób zatrzymanymi w czasie od XVIII w., kiedy ich przodkowie trafili w te rejony. W Kosowie gościłem u – urodzonego jeszcze w Jugosławii, a ukształtowanego pod skrzydłami Krzysztofa Pendereckiego – muzyka; twórcę hymnu Kosowa, sercem wciąż niezwykle oddanego Polsce. To on wyjaśniał mi zawiłości współczesnych Bałkanów i doprowadził do polskiego kontyngentu stacjonującego w Kosowie. Jak się okazało, niosącego lokalnej społeczności także wymierną, codzienną pomoc np. w budowie czy wyposażeniu szkół.

Europejski szlak doprowadził mnie do Hiszpanii. W Barcelonie trafiłem do studia, w którym nagrywany jest najstarszy i wciąż niezwykle chętnie oglądany w Katalonii, satyryczny program telewizyjny. Nosi tytuł „Polacos". Tak, nieco pogardliwie, ale i z respektem Hiszpanie nazywają mieszkańców Katalonii – z powodu ich uporu i tego, że się nigdy nie poddali.

Podróż przez Europę zajęła mi dziesięć tygodni. Minimum trzy miesiące będę wędrował, rejestrując „Polskie ślady" w Afryce. Wyruszam na ten kontynent już w lutym. Najdalej wysuniętym na południe miejscem, do którego zamierzam dotrzeć, będzie Kapsztad w RPA. Przygotowania oraz przebieg wyprawy można śledzić na Facebooku oraz Instagramie. W jednym z afrykańskich odcinków opowiem m.in. o pierwszym premierze, potem także prezydencie Togo, czarnoskórym Nicolasie... Grunitzkym.

Jolanta Gajda-Zadworna





SŁODKO-SŁONY

Kasza z kapustą

ANNA MONICKA

Parę lat temu, w czasie wakacyjnego szwendania się po Warmii i Mazurach, natrafiliśmy na przerobiony na karczmę Stary Młyn. W urokliwym budynku można było podziwiać wiekowe żarna i inne elementy zabytkowego mechanizmu oraz mnóstwo przedmiotów codziennego użytku, z których korzystać musieli mieszkańcy tych ziem przed wojnami: sieci, żaki, worki, skrzynki, lampy. Generalnie miejsce było sympatyczne, domowe, widok na jezioro koił nerwy, a jedzenie było świetne. Do dziś pamiętam, co zamówiłam. Pierogi, bo kocham wszystkie, ale te zrobiły na mnie piorunujące wrażenie. Nie były nafaszerowane żadnymi frykasami, lecz swojską kaszą gryczaną wymieszaną z kwaszoną kapustą. Na tym wszystkim leżał spory kleks kwaśnej śmietany. I było to genialne.

Przypomniałam sobie o tym farszu niedawno, gdy szukałam pomysłu na placki. Chodziły za mną od dawna ziemniaczane, ale z nimi jest zawsze dużo roboty. Postanowiłam więc zrobić gryczane, a żeby nadać im jednak trochę ciekawszy smak – posiekałam moją ukochaną kapustę charsznicką i czerwoną cebulę. Na pół kilograma kaszy wystarczyły dwie duże garście i jedna ładna cebula. Masa nie wyglądała może zbyt apetycznie, ale fajnie pachniała. Wbiłam w nią dwa jajka i dodałam trochę mąki orkiszowej, żeby związać to specyficzne ciasto.

Pozostała kwestia obróbki cieplnej. Nie jem smażonych potraw, bo przeszkadza mi zapach smażeniny. Wyjątek robię dla pokrojonych w talarki ziemniaków, które przyrumienione na patelni nie mają sobie równych, zwłaszcza podlane zsiadłym mlekiem.

Postanowiłam użyć blachy i papieru do pieczenia. 15 minut w piekarniku wystarczyło – placuszki wyszły genialne. Zajadaliśmy się nimi przez dwa dni, podawałam je z czosnkowym jogurtem. Ale gdy zaniosłam do pracy – na spróbowanie – grane były rozmaite twarożki, łosoś, a nawet kawior, bo koleżanki uznały, że spokojnie można placuszkami zastąpić bliny i wiejskie przyjęcie zamienić w wypasioną ucztę. Potem opatentowałam kolejny pomysł – masę kaszowo-kapuścianą rozłożyłam na dnie formy i upiekłam trzy płaty, które można nasmarować farszem – np. z białego serka z łososiem i koprem – i zwinąć jak roladkę lub ułożyć piętrowo.

Przygotowanie każdego z tych dań zajmuje góra pół godziny. Warto potrenować przed postem, ale też jeść je jak najczęściej, bo są zdrowe i sycące.

Fot. Shutterstock, archiwum autorki



WILCZYM OKIEM

Ostrea, czyli ostryga

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W kraju takim jak Polska może się wydawać to dziwaczne, lecz pośród wszystkich zwierząt spożywanych przez ludzi na świecie jednymi z najistotniejszych dostarczycieli białka zwierzęcego są mięczaki. W niektórych rejonach, np. w Japonii czy w wielu regionach Pacyfiku, są jego głównym źródłem.

Mięczaki plasują się na bardzo wysokim miejscu w diecie człowieka nie tylko pod względem masy sięgającej milionów ton rocznie, lecz także rozmaitości i wielości gatunków. Spożywanych jest tak wielu przedstawicieli typu *Mollusca*, że sam spis ich nazw jest tematem na bardzo obszerne opracowanie lub fascynujący malakologiczny atlas – dość powiedzieć, że jadanych jest grubo ponad tysiąc różnych gatunków ślimaków, ośmiornic, kałamarnic, mątw, wielotarczowców czy małży. O dawności takich żywieniowych zwyczajów świadczą wielkie usypiska muszli małży jeszcze z epoki kamiennej, powstałe w miejscach uczt kolejnych pokoleń naszych przodków.

Na czołowe miejsce pośród spożywanych mięczaków wysuwają się ostrygi, czyli małże z rodzaju *Ostrea*, spośród których największą sławą cieszy się ostryga jadalna *Ostrea edulis*. Jeszcze 200 lat temu ławica ostryg, która rozpoczynała się w Hiszpanii, sięgała aż po Skandynawię. Zapotrzebowanie na ostrygi i wynikające z niego przełowienie (jak pisze prof. Falniowski, w 1864 r. tylko Londynie sprzedano 500 mln tego rodzaju mięczaków) sprawiło, że z gatunku masowego ostrygi jadalne stały się niezwykle rzadkie. Żeby uchronić je przed całkowitym wyginięciem, poniewczasie ograniczono pozyskanie, np. pozwalając łowić ostrygi raz do roku, przez 45 minut, na sygnał dany wystrzałem z działa.

Podczas prób ratowania gatunku, powtarzanych wielokrotnie i na różne sposoby w XIX i XX w., opracowano wprawdzie sposoby hodowli szlachetnej ostrygi jadalnej, lecz jednocześnie sprowadzając i wsiedlając u wybrzeży Europy inne gatunki ostryg, np. z Japonii i Ameryki Północnej, zawleczono wraz z nimi choroby, pasożyty czy ślimaki, które bardzo szybko rozprzestrzeniły się i dodatkowo wyniszczały gatunek rodzimy. I choć obecnie w niektórych rejonach hodowla udaje się całkiem nieźle, odtworzenie dawnej, wielkiej, dzikiej europejskiej ławicy jest już raczej niemożliwe.

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Gdy Oświęcim stał się Auschwitz



Pudła rezonansowe Kremla tłumaczą, że łagodny ton przemówienia Putina w Jerozolimie to dyplomatyczny kunszt. A ja myślę, że to Trump wytłumaczył Netanjahu, że jednak całego świata nie da się traktować jak Rosji, gdzie można najbezczelniej, w żywe oczy kłamać, nie przejmując się konsekwencjami, bo nikt bełkotu cara nie ośmieli się zakwestionować. I Netanjahu skłonił Putina do pohamowania historycznej fantastyki, bo inaczej kompromitacja dotknie także jerozolimską uroczystość. Na chwilę musiał więc Putin zrozumieć, że cywilizowany świat to nie sowiecki łagier, kagebowskie szkolenie ani enerdowskie media.

Ważne były słowa wiceprezydenta USA Mike'a Pence'a. Nie wiem, czy za sprawą polskiej dyplomacji (jeśli tak – brawo), czy też wzrostu kompetencji amerykańskich doradców. Powiedział on, że nazwa polskiego miasta Oświęcim została przez nazistów zamieniona na niemiecką nazwę Auschwitz. Znaczy to, że naziści jednak woleli mówić po niemiecku. I „chcieli zniszczyć polską kulturę".

To ważne słowa, ale niewystarczające. Ważniejsze jest to, że Niemcy wraz z Sowietami zniszczyli polskie państwo. I właśnie zniszczenie polskiego państwa było warunkiem Holokaustu (podobnie jak pierwsze unicestwienie polskiego państwa – rozbiory – radykalnie pogorszyło sytuację polskich Żydów, zaborcy odebrali im wiele praw i przywilejów). W polskim Oświęcimiu i wśród Polaków kilkaset lat mieszkało kilkadziesiąt pokoleń Żydów. Napaść niemiecko-rosyjska i zniszczenie polskiego państwa pozwoliły demokratycznie wybranemu rządowi Niemiec i administracji tego państwa przeprowadzić Zagładę.

8 października 1939 r., wówczas najściślej współpracujący z Rosją, kanclerz Hitler polską miejscowość Oświęcim wcielił do III Rzeszy Niemieckiej. Odtąd była ona częścią Landkreis Bielitz, Regierungsbezirk Kattowitz, Provinz Oberschlesien. W roku 1940 Niemcy utworzyli tam obóz przeznaczony do osadzania Polaków. W latach 1940–1945 zamordowali w nim ok. 80 tys. Polaków, obok ok. 900 tys. Żydów i kilkudziesięciu tysięcy innych narodowości.

Niemcy utworzyli 1634 obozy koncentracyjne – na terenie Rzeszy i krajów okupowanych, głównie Polski, jako że była „domem europejskich Żydów". W niemieckich obozach pracowało 70 tys. niemieckich funkcjonariuszy (głównie SS i gestapo). Po wojnie osądzono 1,7 tys. z nich, czyli 2,5 proc.

20 stycznia 1942 r. w Berlinie-Wannsee rząd Niemiec (Reichssicherheitshauptamt, Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy) podjął decyzję o „Endlösung der Judenfrage", „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej", czyli przemysłowym wymordowaniu narodu. Była ona konsekwencją opracowanej przez niemieckich profesorów idei uzyskania dla Niemów przestrzeni życiowej (Lebensraum). Kosztem unicestwienia lub zniewolenia Żydów i Słowian. Głównym koordynatorem akcji został Obersturmbannführer Adolf Eichmann. Świetny organizator.

W dziele tym uczestniczyły rządy oraz aparaty państw sojuszniczych i kolaboranckich Rzeszy Niemieckiej z niemal całej Europy. W tym Francja. Rząd francuski zachęcał do wydawania Żydów, złożono kilkaset tysięcy donosów. Policja francuska wyłapała i dostarczyła na transporty do niemieckich obozów zagłady, w tym do Auschwitz, ok. 75 tys. francuskich Żydów. Podziemny rząd polski wydawanie Żydów Niemcom uznawał za zdradę i karał za nie śmiercią.

Polska i Ukraina były jedynymi krajami, w których za pomoc udzieloną Żydom Niemcy karali śmiercią całe rodziny. W innych krajach za pomoc Żydom groził mandat, utrata pracy, rzadko bardziej surowe kary, często nie groziło nic. Za udzielanie pomocy Żydom Niemcy zamordowali co najmniej tysiąc Polaków, w tym wiele kobiet i dzieci. Mimo to Polacy zdołali ocalić przed „Endlösung der Judenfrage" ok. 70 tys. Żydów. Wedle szacunków historyków ocalenie jednego Żyda wymagało pomocy ok. 25 Polaków.

Z załogi obozu Auschwitz, liczącej 8 tys. esesmanów, przed sądem postawiono 743. Z tego 673 w Polsce. Na Zachodzie Europy przed sądem postawiono 70 esesmanów oprawców z Auschwitz. 7 tys. esesmanów oprawców z Auschwitz spokojnie dożyło swych dni, pobierając zacne emerytury w Niemczech, Europie Zachodniej lub Ameryce i ciesząc się powszechnym szacunkiem. Osądzono 1 proc. Naprawdę „pamiętamy"?

Gdyby sowiecka Rosja nie współdziałała ściśle z Niemcami i nie napadła na Polskę 17 września 1939 r., gdyby najeźdźcy wspólnie nie zniszczyli polskiego państwa, nie tylko 6 mln Żydów by ocalało, ale także kilkadziesiąt milionów ludzkich istnień innych narodowości. Gdyby Oświęcimia nigdy nie zamieniono na Auschwitz...

Maciej Pawlicki

eprasa.pl 3a5bfae0f4

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Przeciw humbejwinom


www.wojciechreszczynski.pl

Sądzę, że projekt ustawy chroniącej wolność słowa i badań na polskich uczelniach wywoła krytykę środowisk uniwersyteckich

Coraz trudniej komentuje się wydarzenia z frontu walki „nadzwyczajnej kasty" z rządem Zjednoczonej Prawicy. Sprawy nabrały zbyt dużego tempa. Teraz dopiero widać, jak potężnym arsenałem różnych artykułów i paragrafów dysponują zawodowi prawnicy. Jak dramatyczna w sumie staje się walka sędziów w obrębie jednej instytucji (Sąd Najwyższy) podzielonych na zwolenników (większość) „by było, jak było" i reformatorów (mniejszość) spod znaku dobrej zmiany.

Pozostaje czekać na rozstrzygnięcie tej bezpardonowej walki. Na razie jest jak u Sienkiewicza: „Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma". Opozycja silniejsza Senatem, który przejął zadanie centrum walki z rządem i koordynatora politycznego wsparcia z zagranicy, po wyborze nowego przewodniczącego Platformy Obywatelskiej złapie silny wiatr w żagle, a jeśli szefem zostanie Borys Budka, konflikt społeczny ulegnie dalszej polaryzacji.

Może zatem odpowiedź na pytanie z gatunku ponadczasowych – czy zwycięży u nas postęp? Czy siły progresu, jak lubią się nazywać wszelacy liberałowie, zdominują życie społeczne, tę sferę, którą komuniści nazywali „nadbudową", czyli media, naukę, oświatę, edukację, kulturę i obyczajowość. Odpowiedź brzmi tak, jeżeli w sposób stanowczy nie zatrzyma się fali progresu zadomowionego od lat na Zachodzie i eksportującego w świat lewackie postmarksistowskie idee.

Wicepremier, minister nauki i szkolnictwa wyższego Jarosław Gowin zapowiedział szybką prezentację projektu ustawy chroniącej wolność słowa i badań na polskich uczelniach. To reakcja na skandaliczny ostracyzm wobec prof. Ewy Budzyńskiej na Uniwersytecie Śląskim. Jej naukowe wypowiedzi na temat aborcji, homoseksualizmu i brak aprobaty dla ideologii gender stały się powodem postawienia jej przed komisją dyscyplinarną z wnioskiem o ukaranie. W swoim uzasadnieniu rzecznik dyscyplinarny prof. Wojciech Popiołek zarzucił prof. Ewie Budzyńskiej wypowiedzi „o charakterze wartościującym" i „homofobiczne" oraz „brak tolerancji". Już wcześniej na Śląskim Uniwersytecie Medycznym zwolniono z pracy naukowca za wykład „Homoseksualizm a zdrowie". Tu donos do władz uczelni złożyły środowiska LGBT, a na UŚ studenci, widać już wcześniej zindoktrynowani w liceach.

Rok temu w jednym z olsztyńskich liceów prezentowałem wykład o historiozoficznym dorobku prof. Feliksa Koneczego. Przypomniałem stare Arystotelesowskie prawdy, uwagi na temat etyki naturalnej, starszej od katolickiej, opartej na porządku nadprzyrodzonym, a także tradycyjnej definicji małżeństwa jako cechy główne naszej cywilizacji. Kwestie te nie wzbudziły większego zainteresowania zebranych. Za mało było w nich akcentów o wolności i tolerancji, na co zwróciła uwagę pani nauczycielka, zbierając liczne brawa od uczniów. Jak widać, nie miałem prawa narzucać cudzego, ale także własnego światopoglądu. Odczułem więcej niż dyskomfort, gdyż wydawało mi się, że młodzi ludzie, podążając za prawdą, idą raczej pod prąd konformistycznym poglądom. Tak było w moich czasach, gdy wrażliwsza i nie taka mała przecież część młodzieży odrzucała marksistowską indoktrynację.

O tym, że studenci mogą stanowić zagrożenie dla wolności słowa i nauki, dowiedzieliśmy się np. z najstarszego w Europie włoskiego uniwersytetu La Sapienza w Rzymie. Parę lat temu zaprotestowali przeciwko obecności ojca św. Benedykta XVI na inauguracji 705. roku akademickiego. Uznali, że jest to ingerencja w wolność uczelni i do wystąpienia papieża nie doszło. Odczytano jedynie tekst wystąpienia biskupa Rzymu, a w nim przypomnienie, że „prawdziwy, głęboki początek uniwersytetu leży we właściwym człowiekowi pragnieniu poznania". Tak oto młodzi ludzie, studenci, zanegowali odwieczną potrzebę człowieka rozumnego, czyli poszukiwanie prawdy.

Sądzę, że projekt ustawy chroniącej wolność słowa i badań na polskich uczelniach, zapowiedziany przez ministra Jarosława Gowina, wywoła krytykę środowisk uniwersyteckich. Podobnie jak próby reformowania wymiaru sprawiedliwości, pod kątem jego realnej odpowiedzialności za działania i zaniechania, odbierane są jako zamach na niezawisłość sędziowską i praworządność. Nowa ustawa powinna nie tylko chronić wolność słowa, ale tak jak w przypadku ustaw sądowych i powołanej w Sądzie Najwyższym Izby Dyscyplinarnej dawać prawo do karania tych, którzy tę wolność jawnie i brutalnie łamią.

Pomni doświadczeń Zachodu możemy ustrzec się wielu negatywnych zjawisk, o ile tylko potrafimy wyciągać właściwe wnioski ze szkody, jaką w życiu społecznym wyrządza tzw. polityczna poprawność i ta nadgorliwość europejskich humbejwinów, zawsze gorsza od piekła.

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Potrzebna jest wiedza



Alina Czerniakowska

Gdy dzisiaj słuchamy wypowiedzi Władimira Putina, i różnych innych rosyjskich przywódców i im podobnych, przychodzą na myśl zdarzenia z naszej niedawnej historii. Niedotrzymywanie umów, zawartych sojuszów, nie mówiąc o danym słowie – dla nich było i jest rutyną. Wystarczy przypomnieć 17 września 1939 r. – nóż w plecy Polski walczącej z Niemcami czy nawoływanie do powstania w Warszawie, po czym bezczynność, patrzenie zza Wisły na zagładę miasta. Wcześniej Stalin zabronił lądować samolotom alianckim niosącym pomoc Warszawie.

Jakby tego było mało, polscy oficerowie Armii Krajowej uwierzyli słowom sowieckiego oficera, przyszli na powojenne spotkanie w Pruszkowie pod Warszawą, dali się wywieźć do Moskwy z gen. Leopoldem Okulickim „Niedźwiadkiem", ostatnim komendantem głównym Armii Krajowej, na czele. (Późniejszy słynny proces szesnastu w Moskwie). O nich napisał kpt. Zbigniew Sojczyński „Warszyc", dzielny żołnierz wyklęty, twórca i dowódca wielkiej powojennej formacji wojskowej, Konspiracyjnego Wojska Polskiego: „Dali się zgarnąć jak stado baranów, po raz kolejny góra AK uwierzyła diabłom z Kremla".

Pamiętamy, jak jeszcze niedawno świętowane było u nas zakończenie II wojny światowej. 9 maja każdego roku nasze media przepełnione były sowiecką retoryką, powtarzały za propagandą rosyjską o wyzwalaniu nas przez Armię Czerwoną, a zapominały o strasznym terrorze, zbrodniach NKWD, SMERSZ i innych zbrodniczych służb instalowanych wówczas masowo na terenie całego naszego kraju. Tak zaczynała się trwająca blisko pół wieku okupacja rosyjska w Polsce.

Warto przy tej okazji przypomnieć o wydarzeniach mało znanych, doskonale obrazujących politykę rosyjską, pełną fałszu, skrytobójczych zasadzek, pokrętnych ideologii i tłumaczeń – w efekcie naszych wielkich tragedii narodowych. Mało kto wie o tym, że praktycznie przez całą okupację Warszawa była co pewien czas bombardowana przez lotnictwo radzieckie, zachowujące pozory walki z Niemcami. Zresztą nie tylko Warszawa. Wystarczy wymienić chociażby takie miasta, jak Grodzisk, Sokołów Podlaski zrównany z ziemią, centrum Białegostoku wyparowało, a w Lublinie całe dzielnice przestały istnieć po nalotach sowieckich. Za czasów PRL panowało absolutne milczenie na ten temat.

W Warszawie od 1941 r. rosyjskie samoloty bombardowały ludność cywilną, warszawiacy byli wściekli, że sojusznicy nie trafiali w niemieckie obiekty, tylko bomby spadały na warszawskie dzielnice mieszkaniowe i zabijały cywilów. Nocny nalot z 20 na 21 sierpnia 1942 r., bombowce dalekiego zasięgu najpierw rzuciły na miasto jaskrawe światło, a potem spadały bomby na dzielnice mieszkaniowe: willowy Żoliborz, Marszałkowską, Mokotów. Wśród ludności polskiej wybuchła panika. Niemcy zachowywali się spokojnie, wiedzieli, że nie są na celowniku ruskich bombowców – dawno uzgodniona zmowa w ramach paktu Ribbentrop–Mołotow. Jak podają źródła i zachowane dokumenty, tylko w tym jednym nalocie zginęło 200 osób, rannych było ponad 800, zburzone budynki, wille. 2 września 1942 r. dochodzi do następnego, jeszcze silniejszego nalotu. Kilkadziesiąt bombowców nadlatuje falami, rzucając ciężkie bomby burzące i zapalające. Tym razem obiektami są szpitale – Przemienienia Pańskiego, Dzieciątka Jezus i hale targowe na Koszykach i Kercelaku, 400 zabitych, wielu rannych, ponad 100 domów rozwalonych.

Gdy znaleziono groby polskich oficerów w Katyniu, polski rząd w Londynie zwrócił się do Czerwonego Krzyża o wydanie opinii na ten temat. Ta prośba tak oburzyła kierownictwo radzieckie, że w nocy z 12 na 13 maja 1943 r. dochodzi do silnego nalotu na Warszawę, bomby 500-kilogramowe nie spadają na Niemców, zrozpaczeni mieszkańcy chronią się w piwnicach, pęknięte rury topią ludzi. Rosjanie bezkarnie z niepojętym cynizmem zrzucają ulotki: „Bracia Polacy! Już czwarty rok krwawi wasza Ojczyzna w jarzmie hitlerowskiej okupacji". Podziemny „Biuletyn Informacyjny" opisujący naloty pyta: „Nieudolność czy zbrodnia". Jakoś wtedy i przez wiele dziesiątek lat później nikt nie miał odwagi powiedzieć, że bomby nie były adresowane do Niemców, tylko do Polaków. Ta prawda wyraźnie obnażyłaby fałsz, kłamstwa i zbrodnie skrywane przez całe lata PRL, ale też w III RP.

Dzisiaj, gdy wrogowie Polski nasilają kłamliwą propagandę, próbując oskarżyć nas o swoje zbrodnie i winy, musimy nie bać się odkrywać prawdę, docierać do zapomnianych dokumentów historycznych, skrywanych, niewygodnych zarówno dla Rosji, jak i dla Niemiec oraz ich sojuszników w międzynarodowych układach. Musimy mówić pełnym głosem w imieniu polskiej racji stanu. Bohaterstwo naszych poprzednich pokoleń zobowiązuje nas, nie wolno milczeć, bo inni napiszą naszą historię tak, jak zechcą.

Dobrze, że obecne władze, prezydent Andrzej Duda i premier Mateusz Morawiecki, potrafią jasno i stanowczo bronić naszego dobrego imienia, zarówno przed wrogami zewnętrznymi, jak i wewnętrznymi. „Tylko solidna wiedza pozwoli nam zwyciężać w tej machinie na słowa, walce trudniejszej od militarnej" – powtarzał w wywiadzie do mojego filmu dokumentalnego prof. Józef Garliński, pozostający od wojny w Londynie, żołnierz AK, powstaniec Warszawy, więzień oświęcimski, autor głośnej bezkompromisowej książki „Fighting Auschwitz" („Walczący Oświęcim").

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Reklama | 53/0120/F

eprasa.pl 3a5bfae0f4

CO MNIE WZRUSZA

Uciekam do wspomnień



Katarzyna Łaniewska

Trafiłam na audiobook ze wspomnieniami o znakomitym aktorze Aleksandrze Żabczyńskim i jego żonie Marii. Uczyłam się o nich na studiach. Miałam zaszczyt po zrobieniu dyplomu w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej spotkać ich w Teatrze Polskim zaangażowana przez Arnolda Szyfmana, twórcę i ówczesnego dyrektora. Żabczyński to amant filmu polskiego, teatru dramatycznego i licznych rewii. W filmie „Zapomniana melodia" śpiewał: „Piosenka nie da zapomnieć ci, tęsknić już będziesz ogromnie, co dzień, co noc, piosenka wyciśnie ci łzy, piosenka zapłacze jak my". Występowała tam również aktorka, którą znałam z teatru Syrena – Helena Grossówna. Śpiewali razem, płynąc kajakiem: „Ach jak przyjemnie kołysać się wśród fal". Piosenki te zostały ze mną. Pięknie śpiewał, taki przystojny i elegancki. Ja jestem niestety „śpiewająca inaczej", tzn. fałszuję, ale wydobyłam sobie z siebie tyle talentu, by na pianinie mojego brata wystukać nuty piosenki.

Nie przypuszczałam, że moje losy się tak potoczą, że zostanę koleżanką Aleksandra Żabczyńskiego. Grałam z nim w paru sztukach, w „Lecie w Nohant" Iwaszkiewicza, w cudownej komedii Swinarskiego „Achilles i panny."

Po próbach pan Aleksander zapraszał nas, młode aktorki, do restauracji przy Foksal, gdzie był obrotowy barek. Można było wybierać dania. Czarując i uwodząc nas (w dobrym tego słowa znaczeniu), mówił: „Proszę wybierać". Z garderoby męskiej wiedziałyśmy, że kiepsko było u niego z pieniędzmi. Wybierałyśmy więc tanie dania – jajko w sosie chrzanowym lub sałatkę jarzynową. Sama rozmowa z nim była prawdziwą ucztą. W czasie grania jednej ze sztuki odwrócił się do mnie i powiedział cicho: „Pastylka". Wiedziałam, że choruje na serce, zbiegłam ze sceny i pobiegłam do garderoby męskiej. Tam pan Janek rzucił mi pastylkę, zjechałam ze schodów, pan Aleksander włożył ją pod język, przedstawienie trwało. Mnóstwo takich historii pamiętam. Po politycznej odwilży w Polsce w Sali Kongresowej Żabczyński miał zaśpiewać „Czerwone maki". Orkiestra już gra, ale śpiewu brak. Pan Aleksander przy trzeciej nieudanej próbie oświadczył: „Przepraszam, ja nie mogę tego zaśpiewać. Ja to przeżyłem, tam jest krew moich kolegów". Był szlachetnym, cudownym człowiekiem.

Chciałabym wrócić do tych smutnych peerelowskich, ale jakże pięknych czasów w teatrze.

REKLAMA

LECZENIE BEZ KOLEJEK

Indywidualne Ubezpieczenia Zdrowotne w placówkach wybranych Spółdzielczych Kas



SALTUS UBEZPIECZENIA

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

www.saltus.pl/zdrowotne

eprasa.pl 3a5bfae0f4

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Klątwa Szczepańskiego



Witold Gadowski

Młodsi czytelnicy zapewne nie kojarzą już postaci „krwawego" Macieja Szczepańskiego, dyktatora TVP, który usiłował wciskać polskiej publiczności propagandę bolszewickiego sukcesu nieco bardziej wyrafinowanymi metodami niż jego poprzednicy. Za czasów Szczepańskiego TVP została zmodernizowana na tyle, że mogła być sprawnie wykorzystywana do szczucia na niewygodnych ludzi i promowania uległych wobec rządzącej partii kreatur. Tak rosły kariery, których cień do dziś wisi nad polskimi mediami. Następcy Szczepańskiego, i to zarówno ci, których wysłała na ten stołek PZPR, jak i ci, którzy przyszli po rzekomej klęsce komunistów, ciągle opowiadali o tym, że ich „misją" jest tworzenie mediów publicznych – prawdziwej telewizji, która będzie niezależna od świata polityki i pozwoli na stworzenie na polskim rynku wzorca działania mediów, które opłacane są z kieszeni obywateli.

Na deklaracjach zawsze się jednak kończyło. Nikomu nie udało się stworzyć telewizji publicznej, która miałaby w sobie choć odrobinę niezależności i braku serwilistycznego odruchu niskiego kłaniania się władzy. Były czasy, że korytarze Woronicza pełne były hipokryzji, mówiło się wiele o niezależnej telewizji i jednocześnie w rękawiczkach skręcano kark dziennikarzom, którzy w to nieopatrznie uwierzyli.

Teraz przynajmniej reguły gry stały się jasne, bez hipokryzji. Jacek Kurski uprawia telewizję miłą władzy i dzięki temu utrzymuje się na chybotliwym stołku prezesa TVP. Telewizja jest co prawda nadal finansowana ze środków publicznych, ale nikt nie ma już wątpliwości, że jest telewizją rządową. Nie wchodzę w rozważania, czy to dobrze, czy źle. Po prostu Kurski nie ukrywa mechanizmów rządzących TVP. Jak choćby faryzeuszowsko czynił to jego poprzednik Juliusz Braun, który do końca udawał, że kieruje obiektywną telewizją.

Pozostaje pytanie: czy mrzonki o stworzeniu w Polsce prawdziwych mediów publicznych należy bezpowrotnie odłożyć? Tak, przestańmy udawać, że nie wiemy, o co chodzi. Telewizję, jak ruski zegarek, nakręcił nieboszczyk Szczepański i tak ona wiruje do dziś. Gdyby chcieć prawdziwie zreformować tę instytucję (czego na pewno nie chcą politycy), to należałoby wpuścić tam do rządzenia dziennikarzy, a na to nie poważy się – jak widać – żadna ekipa rządowa. To wymaga zbyt wielkiego zaufania do zawodu dziennikarza. To po prostu nierealne.

Szczęściarze



Lech Makowiecki

Jesteśmy wielkimi szczęściarzami. 75 lat bez wojen (z wyjątkiem lokalnych „incydentów" w byłej Jugosławii i na Ukrainie) to wyjątkowy okres w historii Starego Kontynentu. Wymierają ostatni świadkowie działań wojennych: frontowi żołnierze, partyzanci, więźniowie obozów koncentracyjnych, cudem ocaleni z powstania warszawskiego czy wołyńskiej rzezi cywile. Wraz z nimi zanika wiedza o zagrożeniach i znajomość mrocznej strony świata. Kolejne pokolenia wychowanych w bezpiecznym dobrobycie Europejczyków znają konflikty zbrojne wyłącznie z telewizyjnych relacji.

Jeśli więc razi kogoś widok setek tysięcy porąbanych maczetami Tutsi (Rwanda), masowe egzekucje chrześcijan (Nigeria), sceny podrzynania niewiernym gardeł na plaży (Libia) czy pokrwawione zwłoki dzieci w ruinach (Aleppo) – zawsze może przełączyć kanał na ulubioną telenowelę, koncert, mecz czy program przyrodniczy. Matrix uspokaja, usypia, ogłupia. Bawmy się, cieszmy się życiem, nam nic nie grozi! Popkultura też starannie unika kasandrycznych tonów, a uczelnie taśmowo formatują zastępy infantylnych kosmopolitów. Odgórnie zaszczepiany pacyfizm neguje, ruguje i ośmiesza tradycyjną waleczność Polaków (vide: zmasowany hejt na WOT). „Róbta, co chceta" wypiera naszą solidarność i umiejętność działania w grupie.

Zdroworozsądkowa strategia przetrwania przegrywa z kapitulanctwem i tolerancją dla wszystkiego co obleśne. Gdy ideologia gender rozmywa męskość, zderzenie z realnym dżihadem czy specnazem będzie bolesne. Dotąd polskie elity – wykrwawiane przez liczne powstania i wojny – odradzały się jak Feniks z popiołów dzięki mocnemu zakorzenieniu w rodzinie, tradycji i wierze. Postępująca demoralizacja, fałszywa narracja historyczna i kryzys w Kościele spowodować mogą nieodwracalne zmiany tożsamościowe. Wystarczy popatrzeć dziś na Szwedów (potomków walecznych wikingów), na katolickich (niegdyś) Irlandczyków czy karnych i pracowitych (do niedawna) Niemców.

39/0120/F

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Schizma prawników



Jerzy Jachowicz

Blisko trzy tygodnie temu zainicjowana została owocna współpraca między Polską a Komisją Wenecką. W czasie, kiedy przedstawiciele Komisji Weneckiej przebywający drugi dzień z wizytą w Warszawie wchodzili na teren polskiego Senatu, dwaj wybitni znawcy prawa w jednym z gabinetów Uniwersytetu Warszawskiego od trzech dni intensywnie pracowali nad stworzeniem pewnej opinii. Delegacja Komisji została uroczyście powitana przez reprezentację senatorów.

Tymczasem dwaj polscy specjaliści, profesorowie Marcin M. i Wojciech S., byli już na etapie szlifowania raportu mającego przybrać kształt wstępnej opinii Komisji Weneckiej, jaką marszałek prof. Tomasz Grodzki wieczorem tego dnia miał zaprezentować Senatowi. Opinia miała umożliwić bogatą i jeszcze ciekawszą dyskusję nad ustawami sądowymi niż dotychczasowa debata publiczna. I pozwolić na obiektywne podjęcie przez Senat decyzji, co dalej z ustawą. Nie muszę nikomu tłumaczyć, jak piekielnie trudnego i odpowiedzialnego zadania podjęli się polscy badacze, cieszący się wielkim autorytetem.

– Wojtek, tam, gdzie napisałeś: „Ziobro będzie wszystkich trzymał za pysk", proponuję zmienić na „Zostanie zwiększony wpływ ministra sprawiedliwości na postępowanie dyscyplinarne".

– Marcin, w twoim kawałku też. Zamiast „PiS niszczy sądownictwo", zróbmy „Projekt stanowić może zagrożenie dla niezależnego sądownictwa". – Więcej języka dyplomacji.

– Okey. Pamiętaj, żeby we wnioskach wyeksponować groźbę „schizmy prawnej".

– Przepraszam na chwilę – powiedział prof. Marcin M., odbierając komórkę. – Tak, powinniśmy zdążyć – rzucił do słuchawki.

– Wyobraź sobie, dzwonił marszałek. Powiedział, że jeśli się wyrobimy na czas, ma dla nas wspaniałą wiadomość. W razie jakichkolwiek kłopotów z płucami, teraz czy w przyszłości, gwarantuje nam bezpłatne leczenie u siebie w szpitalu. Bez żadnych dodatkowych kosztów.

– No, tego by jeszcze brakowało, żeby od nas brał – skwitował prof. Wojciech S.

PS Inicjały luminarzy polskiej nauki w tym felietonie są fikcyjne. Nie mogą więc one być kluczem do identyfikacji prawdziwych postaci.

Narty, sanki, snowboard?

Ubezpiecz się na zimowy wyjazd

już od 8 zł za dzień!

Sprawdź

22 444 44 44

www.link4.pl lub zapytaj Agenta

LINK4



REKLAMA

Składka 56,11 zł (8 zł za dzień) dla jednej osoby na 7 dni. Cena uwzględnia rabat za zakup polisy przez Internet. Region Europa obejmuje: koszt leczenia + Assistance SU 300 tys. zł, OC w życiu prywatnym na 300 tys. zł oraz amatorskie uprawianie sportów zimowych. Szczegółowy zakres ubezpieczenia i wyłączenia sprawdź w OWU na www.link4.pl

eprasa.pl 3a5bfae0f4

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Nie odpuszczać



Aleksander Nalaskowski

Tego felietonu nie mogłem nie napisać. I nie dlatego, że tak bardzo chciałem to zrobić, ale dlatego, że samo życie mnie do tego przymusiło. A piszę go bez przyjemności. Oto rzecznik dyscyplinarny tej uczelni wystąpił do komisji dyscyplinarnej o ukaranie doktor habilitowanej, profesor Uniwersytetu Śląskiego Ewy Budzyńskiej za... No właśnie, tu zaczynają się schody i strzelista niekompetencja pana rzecznika. Powiedziałbym nawet niekompetencja na poziomie analfabetycznym. Profesorka, socjolog rodziny, została oskarżona przez jakąś grupę studentów o głoszenie treści homofobicznych i „niezgodnych ze stanem nauki". A pan rzecznik zareagował jak pies Pawłowa, czyli uznał, że pracownika trzeba ukarać i tyle.

I tutaj trzeba zadać kilka pytań. Po pierwsze, skąd pan rzecznik wie, że owe niegodziwości zostały popełnione? Czy polega tylko na donosie „studentów nieheteronormatywnych", ma jakieś nagrania, słyszał ów inkryminowany wykład, widział wiarygodne notatki z zajęć? Nic o tym nie wiadomo. Wiadomo jedynie, że otrzymał donos, na który dyscyplinarnie zareagował. Tak jak jesienią ub.r. przyczyną „afery Nalaskowskiego" był donos organizacji homoseksualnych, tak tutaj donos miał charakter wewnętrzny. Nie wiadomo też, czy był przez władze uczelni weryfikowany. To już nawet tak można? Ja przynajmniej dostarczyłem materiału w postaci felietonu, ale prof. Ewę Budzyńską oskarżono o to, co powiedziała, a nie napisała. Zatem została „przedstawiona do ukarania" za odczucia homoseksualistów i lesbijek, za to, że „się poczuli", że było im źle, że nie dostali masażu ego, nie usłyszeli pochwały sodomii?

Po drugie, kto ostatecznie zdecydował, że to, co mówiła ta profesorka, było „nie takie"? Tutaj pana rzecznika z UŚ zapraszam na konsultacje, a właściwie to po prawniczą kindersztubę, do rzecznika dyscyplinarnego UMK. Wykazał bowiem stosowną klasę, uznał, że nie jest wszechwiedzący i powołał biegłego do oceny mojego okropnego występku. A kto i na jakim materiale pracował, dokonując oceny wykładu prof. Budzyńskiej? A jakie kompetencje naukowe w tym zakresie ma rzecznik UŚ? Mocno podejrzewam, że żadne. Jeśli jest inaczej, to proszę o dowody. Ale tak rug-cug!

Po trzecie, co oznacza zarzut zawarty w donosach, że coś jest niezgodne ze stanem wiedzy naukowej? Na Boga, to już decydują o tym studenci? To studenci nadają doktoraty, habilitacje i występują o profesorskie tytuły? To oni recenzują złożone do wydawnictw prace naukowe, oni dokonują ewaluacji osiągnięć naukowych pracowników na wydziale? Czy rzecznik dyscyplinarny uczelni jest rzecznikiem studentów, czy strażnikiem dyscypliny prawnej w Alma Mater? Gdybym chciał być złośliwy i bardzo potoczny, to powiedziałbym, że ów funkcjonariusz z UŚ to jakiś sztywny głupol. Ale tak oczywiście nie powiem.

Ewidentnie do całej sprawy można stosować pojęcie ideologicznej cenzury. To jej wręcz laboratoryjna, poglądowa ilustracja. Można ją będzie przywoływać w akademickich podręcznikach. Wykład profesorki był „niesłuszny, bo był niesłuszny", „był homofobiczny, bo był homofobiczny", a postępowanie rzecznika było słuszne, bo rzecznik UŚ przecież się nie myli. A jeśli się myli, to pomyłkowo, a tym samym się nie myli. Brawo UŚ, brawo rektorskie władze, brawo rzecznik!

Nie słyszałem nic o reakcji kolegów ukaranej profesorki z Rady Wydziału. A jakże się tam mają moi tamtejsi koledzy? Wolą mówić studentom o trudnych wyborach, niż takich wyborów dokonywać? Są solidarni ze złem? Boją się jak większość? A co na to profesorowie z Wydziału Prawa i Administracji? Nie mają nic do powiedzenia? Nie buntują się i spokojnie wykładają studentom prawne pryncypia? Podobnie było w moim przypadku, ale myślałem, że to regionalna specyfika. Teraz już na serio myślę o regule.

Nie dajmy spokojnie żyć tej obrzydliwej hydrze III RP! Jeśli Opatrzność chce, byśmy stanęli na barykadzie, to stawajmy i walczmy

W tym wszystkim prof. Ewa Budzyńska zdecydowała się na krok ostateczny – zrezygnowała z pracy na tej uczelni. I moim zdaniem to ogromny błąd. Tak nie wolno! Studenccy homodonosiciele, rzecznik, a pewnie jakaś część kolegów profesorki dostali nagrodę i pretekst do otwierania szampana. To, na co nie mógł się poważyć JM Rektor UŚ razem z rzecznikiem homostudentów, to własnymi rękami zrobiła pani profesor. Ale tak się nie walczy, tak się tylko przegrywa. Nie wolno rezygnować ze zmiany tego, co zmienić można! Trzeba wycofać tę decyzję, wziąć łebskiego Saczkowskiego jako pełnomocnika i walczyć. Czy słyszał ktoś o skazańcu, który się dobrowolnie powiesił? Nie odpuszczajmy nawet wtedy, gdy dopada nas beznadzieja. Nie dajmy spokojnie żyć tej obrzydliwej hydrze III RP! Jeśli Opatrzność chce byśmy stanęli na barykadzie, to stawajmy i walczmy, aby wnuki się za nas nie wstydziły.

eprasa.pl 3a5bfae0f4

PRZEZ ŚWIETLIK

Duch Piątka

„Jeśli mam mówić szczerze, faktycznie nie ma tu mnie, bo sam w siebie nie wierzę” – narzekał duch ateisty w wierszyku Andrzeja Waligórskiego i myślałem do tej pory, że nieco podobnie jest z historiami dość regularnie opowiadanymi przez publicystów „Gazety Wyborczej” na temat tego, jak to rzekomo rządy PiS sprzyjają Rosji. Dominika Wielowieyska w komentarzu z zeszłego tygodnia przekonała mnie, że to jednak nie z cynizmu, a z zaangażowania. Spiralne konstrukcje, zaklęte schody i tajemne przejścia, które potworzyły się w dziurawym mózgu pisarza Tomasza Piątka, i głosy w głowie, które powiedziały mu, że Antoni Macierewicz to rosyjski szpion, opanowały już całą Czerską, łącznie z osobami, które kiedyś uchodziły tam za rozsądniejsze od innych, jak wspomniana redaktor Wielowieyska. To już przeszłość.



Na czym opiera się analiza Wielowieyskiej? Ano sprawa wygląda tak. Putin atakuje Polskę i wykorzystuje swoje agentury do tego, by dowodzić, że podczas II wojny światowej to my byliśmy oprawcą, a nie ofiarą, by wzmocnić PiS. Na kanwie walki o historię z Rosją Polacy będą głosowali na radykałów od Kaczyńskiego, a nie siły tolerancji i rozsądku, zapewne w rodzaju pani Jachiry czy pani Żukowskiej (tej, która pocieszne żartowała sobie z właśnie co zmarłego sędziego Trybunału Konstytucyjnego). Dzięki wzmacnianiu PiS Putin wypisze Polskę z Unii Europejskiej, a potem to już rosyjskie bazy w Legnicy i Duda z Ławrowem odbierający defilady wojsk rosyjskich na warszawskim placu Konstytucji.

Tę analizę warto rozwinąć, bo rzeczywiście, jeśli zacząć swoje myślenie kierunkować w stylu rodem wziętym z wielkiego pisarza promowanego przez „Gazetę Wyborczą”, to wszystko się składa w jedną wielką całość. Skąd wzmocnienie za PiS obecności wojsk amerykańskich w Polsce, skoro PiS to wybrańcy Putina? To proste. Przecież amerykańska lewica Trumpowi zarzucała, że też jest ruskim szpiegiem. Żołnierze, których przysyła do Polski, to tak naprawdę nie są Amerykanie, tylko zakamuflowany specnaz. Wołodia już nawet nie musi zielonych sweterków przysyłać do Polski, już tu są.

A co z niemiecko-rosyjską rurą, której wykonawcy mają zostać obłożeni sankcjami? To przecież była Rura Przyjaźni. Za gaz, w drugą stronę, Niemcy mieli przez nią sączyć demokrację. Mógłbym tak ciągnąć dalej, ale po co? Wystarczy zajrzeć do „Gazety Wyborczej”. Lepiej jednak pójść na spacer.

REKLAMA



11/0120/F

eprasa.pl 3a5bfae0f4

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Bronek w spódnicy

Kandydatka Platformy na prezydentkę dostarcza nam sporo rozrywki

Są wypowiedzi, które przechodzą do historii, przekazują je pokolenia i stają się kanonem. Producentów powiedzonek godnych komicznych annałów mamy w naszej epoce wręcz zatrzęsienie. Kiedyś brylował Lech Wałęsa, ostatnio zachwycał nas liczbą kuriozalnych lapsusów Ryszard Petru, bardzo dobrze plasował się w tej konkurencji także mistrz gaf Bronisław Komorowski. Duże nadzieje pokładamy we wschodzącej gwieździe rozbawiania audytorium, Małgorzacie Kidawie-Błońskiej. W ramach kampanii prezydenckiej postanowiła rozprawić się pryncypialnie z Jarosławem Kaczyńskim.



Ryszard Makowski

Co prawda prezes nie bierze udziału w wyścigu do Belwederu, ale publiczne sponiewieranie go jest w kręgach zbliżonych do Targowicy zawsze dobrze widziane. Pretendentka odpaliła petardę mającą kompletnie obnażyć kociarza z Żoliborza. MK-B: „A jak wiemy, Jarosławowi Kaczyńskiemu nie zależy na świecie, na Europie, jemu zależy tylko na Polsce". „Co to się działo, co to się działo, pół uzdrowiska ze śmiechu się skręcało". Z tym że szkolenie medialne, jakie przeszła MK-B, nie poszło na marne. Ręce miała dobrze splecione i tembr głosu pełen rzeczowej troski. Godny pochwały jest też profesjonalizm reporterki TVN. Nie parsknęła śmiechem ani nie klepała się z uciechy po udach.

Bronisławowi Komorowskiemu w decydującym etapie kampanii dokooptowano „podpowiadaczkę". Słynne: „Przytulmy panią". W przypadku Małgorzaty Kidawy-Błońskiej trwają prace techniczne, by jej zamontować prompter na stałe.

eprasa.pl 3a5bfae0f4

***Zawistowski prezentuje:* Uchwała SN**



***Wycinki z* przeszłości**







W tygodniach, gdy egoizm niektórych przedstawicieli pokolenia milenialsów (o czym bardzo ciekawie napisała w poprzednim numerze „Sieci" Aleksandra Rybińska) uderza w brytyjską rodzinę królewską, traktowaną przez nowo mianowane księżniczki jak dwuletnia trampolina do kariery, my przekornie przypominamy dwa znaczki pocztowe, które pokazują trwałość tej społecznej instytucji. Na pierwszym, niedatowanym, ale wedle filatelistycznych albumów pochodzącym z 1955 r., widzimy królową Elżbietę II dwa lata po koronacji. Na drugim jej zdjęcie ślubne z 1947 r. (choć na znaczku wydanym w 1977 r.). Trzeci element naszej rubryki to znaczek upamiętniający srebrne gody, czyli 25-lecie pożycia małżeńskiego, wydany w 1972 r. I do dzisiaj nic się u tej królewskiej pary nie zmieniło.

Różnie w życiu bywa, ale trudno nie zatęsknić do takich wzorców. To ma swoje znaczenie.

(mk)

Nie wspominając o pomniku?



***Leszek* Długosz**

Wiersz bez komentarza. Sam się objaśnia. Objaśniam niezorientowanym: Kazimierz Wierzyński – piewca młodości, radości, urody świata, sportu... Na emigracji tworzył motywowany potrzebą prawdy, wolności i godności, „potrzebą narodową"... Wielu uważa go za najwybitniejszego polskiego poetę XX w. (prof. Maria Dłuska). Jawi mi się pytanie: czy w Warszawie stoi gdzieś choćby popiersie Go upamiętniające?

Kazimierz Wierzyński (1894–1969)
„Na rozwiązanie Armii Krajowej"

Za dywizję wołyńską, nie kwiaty i wianki –
Szubienica w Lublinie. Ojczyste Majdanki.

Za sygnał na północy, bój pod Nowogródkiem –
Długi urlop w więzieniu. Długi i ze skutkiem.

Za bój o naszą Rossę, Ostrą Bramę, Wilno –
Sucha gałąź lub zsyłka na rozpacz bezsilną.

Za dnie i noce śmierci, za lata udręki –
Taniec w kółko: raz w oczy, a drugi raz w szczęki.

Za wsie spalone, bitwy, gdzie chłopska szła czeladź –
List gończy, tropicielski: dopaść i rozstrzelać!

Za mosty wysadzone z ręki robotniczej –
Węszyć gdzie kto się ukrył, psy spuścić ze smyczy.

Za wyroki na katów, za celny strzał Krysta –
Jeden wyrok: do tiurmy. Dla wszystkich. Do czysta!

Za Warszawę, Warszawę, powstańcze zachcianki –
Specjalny oddział śledczy: „przyłożyć do ścianki".

* * *

Zwinąć chorągiew z masztu. Krepą jest zasnuta
Za dywizję Rataja, Okrzei. Traugutta.

Pociąć sztandar w kawałki. Rozdać śród żołnierzy,
Na drogę, niech go wezmą. Na sercu niech leży.

8 lutego 1945

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 3a5bfae0f4

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Dziecinada



Postęp ludzkości, a już na pewno w krajach Unii Europejskiej, poszedł tak daleko, że w relacjach międzynarodowych panują dziś zasady altruizmu. Gdy jakieś państwo nie potrafi zadbać samo o siebie, to inne kraje mu pomogą. Gdyby jakaś władza krzywdziła swych obywateli, to aż tak bardzo nie trzeba się niepokoić, gdyż o słuszne interesy Polaków, o sprawiedliwość w naszym kraju zatroszczą się Francuzi, Czesi albo i Niemcy.

Przeczytali państwo powyższe zdania uważnie? Kto się z tym zgadza? No tak, pytanie jest źle skierowane. Czytelnicy tygodnika „Sieci" zapewne uznają taką wizję za skrajnie naiwną, sądząc, że państwa i narody najlepiej dbają same o siebie. Ale są także w naszym społeczeństwie osoby myślące, że w gruncie rzeczy nie tylko ludzie są z natury dobrzy, ale podobną dobrocią cechują się współczesne państwa oraz organizacje międzynarodowe.

WOLNOŚĆ BŁĄDZENIA

No dobrze, mamy wolność słowa, ludzie mogą sobie mieć dowolne wyobrażenia o tym, jak działa świat. Ludzie, tzw. zwykli obywatele – tak. Ale czy podobna naiwność – nieważne, czy wynikająca z cech charakteru, czy z niewiedzy – na temat reguł polityki międzynarodowej przystoi osobom biorącym na siebie odpowiedzialność za dobro wspólne, czyli politykom?

PRZEDE WSZYSTKIM

17 stycznia br. w Zwoleniu prezydent RP powiedział: „Nie będą nam tutaj w obcych językach narzucali, jaki ustrój mamy mieć w Polsce i jak mają być prowadzone polskie sprawy. Szanowni państwo, tak, tu jest Unia Europejska. Tak, oczywiście, i bardzo się z tego cieszymy, że jest, ale przede wszystkim tu jest Polska".

Do głosów krytyki tych słów Andrzeja Dudy dołączyła kandydatka na urząd prezydenta Małgorzata Kidawa-Błońska: „Z takim zdumieniem i zakłopotaniem słucham tych słów o tym, że nie można martwić się o Polskę i martwić się o wolność Polaków, mówiąc o tym w języku francuskim, czeskim czy niemieckim. (...) To nie są obcy, to jesteśmy my, Polacy, którzy są członkami wspólnoty Unii Europejskiej (...) A ja bym chciała, żebyśmy ze sobą rozmawiali, uśmiechali się i współpracowali. Bo wtedy będziemy bezpieczni".

Cukierkowa wizja Unii Europejskiej ma niewiele wspólnego z realną polityką, która w znacznej mierze toczy się za kulisami

POLITYKA BEZ SZTUCZNEGO UŚMIECHU

John J. Mearsheimer, wybitny amerykański politolog, autor świeżo wydanej po polsku książki „Tragizm polityki mocarstw", należy do badaczy wnikliwie i bez złudzeń przyglądających się arenie stosunków międzynarodowych. Nie sposób tu streścić jego wielowymiarowej koncepcji, skupmy się zatem na jednym motywie.

Mearsheimer podkreśla, że „państwa skazane są na bezwzględną rywalizację". Nawet te kraje, które jako cel postawią sobie życie w pokoju, nie są wolne od rywalizacji. Dzisiejszy przyjaciel jutro może się okazać wrogiem. Każdy kraj ma swoje interesy i to one wyznaczają ramy wzajemnych relacji.

Czy gdyby pani marszałek miała za sobą podobne lektury albo rozmowy z analitykami badającymi rzeczywiste procesy, czy gdyby serio przejmowała się międzynarodową pozycją Polski, to tak nieodpowiedzialnie snułaby utopijne wizje altruistycznej polityki? Czy głosiłaby, że do tego, by zagwarantować bezpieczeństwo, wystarczy się międzynarodowo uśmiechać i ładnie, w różnych językach, rozmawiać?

SOJUSZE

Aby je tworzyć, nie wystarczy przyjaźnie się uśmiechać i powtarzać, że jesteśmy jedną wspaniałą wspólnotą. Bezpieczeństwa nie gwarantuje sama „fajność" Unii Europejskiej, która dzięki funduszom strukturalnym tak wspaniale poprawiła warunki naszego życia. Fundusze to nie są prezenty od św. Mikołaja. Polska nie tylko wnosi wkład do budżetu unijnego, ale przede wszystkim udostępnia swój rynek. Unia jest jednocześnie wspólnotą i polem wewnętrznej konkurencji. Nie wolno o tym zapominać.

Bezpieczeństwa nie gwarantuje deklarowanie ogromnego poparcia społecznego dla UE, jakie odnotowujemy w Polsce. Cukierkowa wizja Unii Europejskiej ma niewiele wspólnego z realną polityką, która w znacznej mierze toczy się za kulisami.

Czy sprawowanie funkcji głowy państwa przez kogoś, czyje wyobrażenia tak dalece rozmijają się z rzeczywistością, nie oznaczałoby poważnego zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

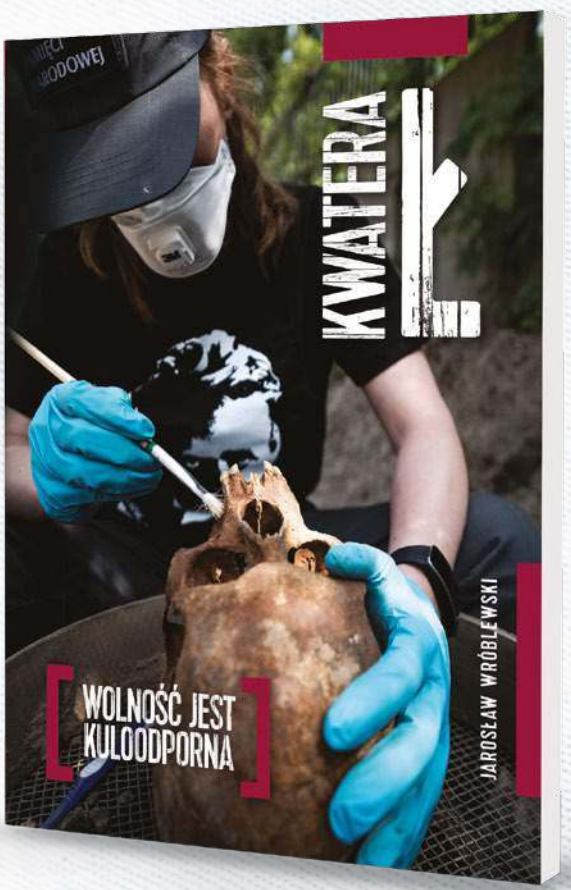
eprasa.pl 3a5bfae0f4

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

wSIECI HISTORII

100 książek w prezencie



ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:
tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę „Kwatera Ł” otrzymasz **GRATIS**!



ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70
prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Sprawdź dostępność książek na **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

eprasa.pl 3a5bfae0f4

24 lutego w tygodniku SIECI

ukaże się kolejny dodatek z olimpijskiego cyklu

POLACY

NA IGRZYSKACH OLIMPIJSKICH

- historia igrzysk
- sukcesy Polaków
- największe olimpijskie gwiazdy



PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl 3a5bfae6f4